

LUCY MAUD MONTGOMERY

ANIA Z SZUMIĄCYCH TOPOLI

Tytuł oryginału angielskiego Anne of Windy Poplars

Wydanie skrócone

Przełożyła Aleksandra Kowalak-Bojarczuk

PIERWSZY ROK

I

List od Ani Shirley, magistra nauk humanistycznych, kierowniczki wyższej szkoły w Summerside, do Gilberta Blythe, studenta medycyny na Uniwersytecie Redmondskim w Kingsporcie.

Szumiące Topole
Aleja Duchów, Summerside
Wyspa Księcia Edwarda
Poniedziałek, 12 września

Najdroższy!

Czy zwróciłeś uwagę na adres? Czy kiedykolwiek słyszałeś coś równie uroczego? „Szumiące Topole” to nazwa mojego nowego domu. Uważam, że jest piękna, podobnie jak „Aleja Duchów”, która zresztą oficjalnie nie istnieje. Ulica ta właściwie nosi nazwę Trydenckiej, ale nikt tak jej nie nazywa. Tylko czasem w „Kurierze Tygodniowym” można znaleźć wzmiankę o ulicy Trydenckiej, a wówczas mieszkańcy Summerside spoglądają na siebie ze zdumieniem i pytają jeden drugiego: „Gdzie też to może być?”

Aleja Duchów jest... nie, doprawdy nie wiem, skąd wzięła się ta nazwa. Pytałam już o to Rebekę Dew, ale potrafiła mi powiedzieć tylko tyle, że Aleja Duchów zawsze była Aleją Duchów i że przed laty opowiadano historie o duchach, które tu straszyły. Ona zaś osobiście nigdy nie spotkała w alei żadnego stworzenia bardziej podobnego do ducha niż ona sama.

Wybiegam jednak w moim opowiadaniu za daleko naprzód. Przecież Ty jeszcze nie wiesz, kto to jest Rebeka Dew. Ale poznasz ją. O tak, poznasz ją niebawem. Jestem pewna, że Rebeka Dew zajmie poczesne miejsce w mojej korespondencji.

Zapada zmierzch... (A propos, czy „zmierzch” to nie urocze słowo?)

Wolę je daleko bardziej niż „zmrok”. Brzmi miękko jak aksamit, zamyka w sobie wszystkie cienie odchodzącego dnia i... no, jest po prostu właśnie takie jak zmierzch). Za dnia należę do świata, a w nocy władzę nade mną przejmują marzenia senne i wieczność. Ale o zmierzchu należę tylko do siebie... i do Ciebie. Dlatego też o tej porze właśnie zamierzam pisać do Ciebie. Ale to nie będzie list miłosny. Stalówka w moim piórze drapie i nie mogę nią pisać listów miłosnych. Nie umiałabym też zapewne zdobyć się na taki list, gdyby stalówka była zbyt ostra lub zbyt tępa. A więc będziesz otrzymywał ten rodzaj listów tylko wtedy, gdy

znajdę idealnie dobrą stalówkę. Teraz opiszę Ci mój nowy dom i jego mieszkańców. Gilbercie, oni, a właściwie one, są tak kochane!

Przyjechałam wczoraj, aby wynająć pokój. Pani Małgorzata Linde towarzyszyła mi pod pretekstem zakupu kilku drobiazgów, lecz faktycznie po to, by znaleźć mi odpowiednie lokum. Pomimo że ukończyłam studia uniwersyteckie i uzyskałam tytuł magistra, nie przestała uważać mnie za niedoświadczone młode stworzenie, które wymaga troski, rady i pomocy.

Nie przewidywałam kłopotów ze znalezieniem pokoju, ponieważ w ciągu ostatnich piętnastu lat kierownikom szkoły w Summerside wynajmowała mieszkanie niejaka pani Tomaszowa Pringle. Jednakże nagle stwierdziła, że ma już dość kłopotów z lokatorami i nie przyjmie mnie. Z uprzejmą odmową spotkałam się również w kilku innych miejscach, a parę następnych mnie z kolei nie odpowiadało. Chodziłyśmy po mieście całe popołudnie, aż zrobiliśmy się sine ze zmęczenia i upału. Rozboliła nas - a przynajmniej mnie - głowa. Byłam skłonna z rozpaczą porzucić poszukiwania. I wtedy właśnie... „zjawiła się” Aleja Duchów. Wstąpiłyśmy do pani Braddock, przyjaciółki pani Linde. To ona powiedziała, że może „wdowy” wynająć mi pokój.

- Słyszałam, że szukają sublokatora, aby móc wypłacać pensję Rebecce Dew. Nie będą w stanie trzymać jej dłużej, jeśli nie zdobędą trochę więcej pieniędzy. A gdy Rebeka Dew odejdzie, kto będzie doił tę ich czerwoną krowę?

Pani Braddock utkwiała we mnie surowe spojrzenie, jak gdyby myślała, że to ja powinnam tę krowę doić. Czułam jednak, że tylko uroczysta przysięga z mojej strony przekonałaby ją, że rzeczywiście będę to robiła.

- O jakich wdowach mówisz? - spytała pani Linde.

- O cioci Kasi i cioci Misi - powiedziała pani Braddock, jakby każdy, nawet nieświadom rzeczy magister nauk humanistycznych, powinien o tym wiedzieć. - Ciocia Kasia to wdowa po kapitanie MacComber, pani Amazowa MacComber, a ciocia Misia to pani Lincolnowa MacLean, także wdowa. Wszyscy mówią o nich „ciocie”. Mieszkają przy końcu Alei Duchów.

Aleja Duchów! To przesądziło sprawę. Poczułam, że m u s z ę zamieszkać z wdowami.

- Chodźmy do nich zaraz - błagałam panią Linde. Wydawało mi się, że jeśli będę choć trochę zwlekała, Aleja Duchów zniknie z rzeczywistego świata...

- Możecie do nich pójść, ale o tym, czy panią zatrzymają, zdecyduje Rebeka Dew. To ona faktycznie sprawuje rządy w Szumiących Topolach, mogę panią zapewnić.

Szumiące Topole! Nie, to nie mogła być prawda. Miałam wrażenie, że śnię. Pani Linde stwierdziła zaś, że nazwa taka jest śmieszna dla domu.

- Och, to kapitan MacComber ją wymyślił. Wiesz przecież, że to był jego dom. Zasadził wokół topole i był z nich bardzo dumny, chociaż rzadko bywał w domu, a już nigdy na dłużej. Ciocia Kasia mawiała, że to przykre, ale nie zdołałam stwierdzić z pewnością, co miała na myśli - jego krótkie pobyty w domu „czy też to, że w ogóle przyjeżdżał. Hm, myślę, że przyjmą panią, panno Shirley. Rebeka Dewjest doskonałą kucharką, a już po prostu mistrzynią w przyrządzaniu sałatki z gotowanych ziemniaków. Jeśli Rebeka panią polubi, to będzie pani u nich jak u Pana Boga za piecem. Jeśli nie... ha, wtedy nic się nie poradzi. Słyszałam, że nowy urzędnik bankowy poszukuje pokoju, więc może będzie wołała jego. Śmieszne, że Tomaszowa Pringle nie przyjęła pani. Summerside jest pełne Pringle'ów i półkrwi Pringle'ów. Określa się ich mianem Królewskiej Rodziny. Musi pani pozyskać ich sympatię, panno Shirley, bo inaczej nie poradzi sobie pani w szkole. Oni zawsze tutaj rządzą... Jest nawet ulica imienia kapitana Abrahama Pringle'a. Pringle'owie to prawdziwy klan. Przewodzą mu dwie starsze panie z Klonowego Wzgórza. Słyszałam, że nie bardzo panią lubią.

- Ależ dlaczego? - wykrzyknęłam. - Przecież mnie nawet nie znają!

- Ich kuzyn w trzeciej linii starał się o posadę kierownika szkoły i wszyscy uważają, że powinien być ją dostać. Cała paczka Pringle'ów płakała ze złości, gdy przyjęto pani kandydaturę. Cóż, tacy są ludzie i takimi musimy ich brać. Pringle'owie z pewnością będą dla pani słodcy jak miód, ale nie przestaną działać na pani szkodę. Nie chcę pani przerażać, ale uważam, że im wcześniej się pani o tym dowie, tym lepiej uzbroi się pani do walki z nimi. Mam nadzieję, że zdoła pani ich upokorzyć. Nie będzie pani miała nic przeciwko obecności Rebeki Dew przy stole podczas posiłków, prawda? Widzi pani, ona nie jest służącą. Jest daleką krewną kapitana. Gdy są goście, nie siada do stołu, ale skoro pani wynajmie u nich pokój, nie będzie panią uważała za gościa.

Zapewniłam zaniepokojoną panią Braddock, że z przyjemnością będę jadła w towarzystwie Rebeki Dew, i skłoniłam panią Linde do wyjścia. Chciałam dotrzeć do Szumiących Topoli wcześniej niż urzędnik bankowy. Pani Braddock odprowadziła nas do drzwi.

- I niech pani stara się nie ranić uczuć cioci Misi. Jest taka wrażliwa, biedactwo. Łatwo ją dotknąć. Nie ma aż tylu pieniędzy co ciocia Kasia, chociaż ciocia Kasia wcale nie ma ich dużo. Poza tym ciocia Kasia naprawdę kochała męża... to znaczy swego męża, a ciocia Misia nie lubiła... to znaczy, nie lubiła swojego. Ciekawe, prawda? Lincoln Mac -

Lean był wielkim dziwakiem, ale ciocia Misia uważała, że wszyscy utrzymują tak tylko po to, żeby zrobić jej przykrość. Całe szczęście, że dziś jest sobota. W piątek ciocia Misia nie zechciałaby nawet zastanawiać się, czy warto panią przyjąć. Można by przypuszczać, że to raczej ciocia Kasia powinna być przesądna, prawda? Wdowa po żeglarzu... Marynarze zazwyczaj są przesądni. Tymczasem nie ona, lecz ciocia Misia jest zabobonna, chociaż jej mąż był cieślą. Swego czasu uważano ją za piękność. Biedactwo!

Zapewniłam panią Braddock, że uczucia cioci Misi będą dla mnie święte, mimo to jednak towarzyszyła nam dalej.

- Na pani miejscu nie wchodziłabym do ich domu frontowymi drzwiami. Używają ich tylko przy wyjątkowych okazjach. Sądzę, że nie otwierały ich od pogrzebu Amazego... Niech pani wejdzie od kuchni. Klucz zazwyczaj leży na zewnętrznym parapecie okiennym pod doniczką. Jeśli więc nikogo nie będzie w domu, może pani wejść i poczekać w środku. I cokolwiek by się działo, niech pani pod żadnym pozorem nie zachwyca się kotem, bo Rebeka Dew go nie znosi.

Obiecałam, że nie będę zachwycać się kotem, i wreszcie udałyśmy się w drogę. Wkrótce znalazłyśmy się w Alei Duchów. Jest to niewielka, boczna uliczka, biegnąca ku polom. W oddali widać zamykające ją niebieskawe wzgórze. Po jednej stronie ulicy nie ma zabudowań; roztacza się stąd widok na faliście opadające ku przystani łąki. Po drugiej stronie stoją trzy domy.

Pierwszy z nich to po prostu dom, nie można o nim powiedzieć nic więcej.

Drugi wygląda imponująco i ponuro - wielki budynek z czerwonej cegły, z oknami na poddaszu, spadzistym dachem i żelazną balustradą na szczycie. Ledwo go widać poprzez rosnące wokół świerki i jodły. Musi być okropnie ciemny w środku.

Trzeci i ostatni to właśnie Szumiące Topole. Stoi na rogu, pomiędzy zarośniętą zieloną trawą ulicą a prawdziwą wiejską drogą, którą ocieniają wysokie drzewa.

Od razu pokochałam ten domek. Istnieją domy, które, trudno powiedzieć dlaczego, wywierają głębokie wrażenie od pierwszego spojrzenia. Takie właśnie są Szumiące Topole. Jak Ci je opisać?! Jest to biały budyneczek - bardzo biały, z bardzo zielonymi okiennicami, wieżyczką w rogu i oknem na poddaszu. Niski kamienny murek odgradza go od ulicy. Wokół rosną w równych odstępach wysmukłe topole. W tyle znajduje się ogród, w którym kwiaty i warzywa tworzą cudowną mieszaninę barw. Słowa te jednak nie oddają prawdziwego czaru Szumiących Topoli. Jest to dom o własnej osobowości i ma w sobie coś, co przypomina mi Zielone Wzgórze.

- To jest właśnie dom dla mnie. Z pewnością był mi przeznaczony - powiedziałam impulsywnie. Pani Linde spojrzała na mnie niepewnie. Widać powątpiewała w przeznaczenie.

- Będziesz miała daleko do szkoły - rzekła.

- To nie szkodzi. Przyda mi się trochę ruchu. Och, niech pani spojrzy na ten cudowny klonowy zagajnik przy drodze.

Pani Linde rzuciła okiem w tę stronę i powiedziała tylko:

- Mam nadzieję, że komary nie za bardzo dadzą ci się we znaki.

- Och, oby nie. Nie znoszę komarów. Jeden wystarczy, żebym nie zmrużyła oka przez całą noc. Odpędza sen o wiele lepiej niż nieczyste sumienie.

Byłam rada, że nie musiałyśmy wchodzić frontowymi drzwiami. Nie wyglądały zachęcająco - dwuskrzydłowe, wielkie, ozdobione płytkami z czerwonego szkła. Wcale nie pasują do Szumiących Topoli. Małeńkie zielone drzwi kuchenne, do których prowadzi wąska ścieżynka wyłożona kamyczkami, są o wiele bardziej sympatyczne. Ścieżka wiję się wśród nienagannie utrzymanych trawników, na których rosną lwie paszcze, groszek pachnący, śnieżne lilie, boże drzewka, białoróżowe stokrotki i, jak je nazywa pani Małgorzata Linde, „pinie”. Oczywiście nie wszystkie kwitną o tej porze roku, ale łatwo sobie wyobrazić, że robią to wspaniale we właściwym dla siebie czasie. W odległym zakątku rosną róże, a zarośnięta bluszczem ceglana ściana oddziela ogród od ponurego domu sąsiadów. Spomiędzy listeczków bluszczu wyłaniają się zakurzone zielone drzwi ukoronowane wygiętą w łuk drewnianą kratą. Biegna po niej pnąca winna latorośl, więc sędzę, że drzwi dawno już nie były otwierane. Poza nimi widać ogród zarośnięty jak dżungla.

Zaraz za furtką spostrzegłam rosnącą przy ścieżce kępę koniczyzny. Wewnętrzny impuls kazał mi zatrzymać się przy niej. I wyobraż sobie, Gilbercie, że obok moich stóp znalazłam trzy czterolistne koniczyнки. Jakże nie wierzyć w tak dobry omen? Nawet Pringle'owie byliby wobec niego bezradni. Poczułam też, że urzędnik bankowy nie ma żadnych szans.

Drzwi kuchenne były uchylone, więc widocznie zastałyśmy kogoś w domu i nie musiałyśmy zaglądać pod doniczkę. Zapukałam. Otworzyła nam Rebeka Dew. Od razu wiedziałam, że to jest Rebeka Dew - nikt inny nie mógł tak wyglądać. Trzeba przyznać, że imię i nazwisko pasują do osoby.

Rebeka Dew ma około czterdziestu lat i gdyby pomidor miał czarne włosy, małe błyszczące czarne oczka, malutki zadarty nos i wąskie usta, byłby do niej bardzo podobny. Wszystko w tej kobiecie jest za krótkie - ręce, szyja, nogi i nos. Wszystko - oprócz uśmiechu. Jej uśmiech dosłownie sięga od ucha do ucha.

Ale wówczas nie uśmiechała się. Sprawiała wrażenie osoby dość ponurej, gdy spytałam, czy mogłabym zobaczyć się z panią MacComber.

- Czy ma pani na myśli panią kapitanową MacComber? - spytała z naganą w głosie, jakby w tym domu mieszkał co najmniej tuzin pań MacComber.

- Tak - odpowiedziałam potulnie.

Rebeka Dew zaprowadziła nas do salonu i pozostawiła samym sobie. Pokój sprawia miłe wrażenie. Może jest w nim trochę za dużo narzut na meblach, ale za to promieniuje spokojem i ciepłem, a ja tak bardzo to lubię. Wydaje się, że wszystkie meble od lat stoją na tych samych miejscach. A jakie są czyste! Żaden kupny środek do polerowania nie byłby w stanie nadać im takiego połysku. Domyśliłam się, że zawdzięczają go ciężkiej pracy Rebeki Dew. Na kominku w butelce pływa mały model statku pod pełnymi żaglami. Wzbudził on ogromne zainteresowanie pani Linde. Zastanawiała się, jak też zdołano umieścić go w butelce, i stwierdziła, że nadaje on pokojowi marynarski charakter.

Weszły wdowy. Od razu mi się spodobały. Ciocia Kasia jest wysoka, szczupła i siwa, w typie Maryli. Sprawia wrażenie osoby dość surowej. Za to ciocia Misia jest malutka i wydaje się skłonna do marzeń. Swego czasu była zapewne bardzo ładna. Obecnie jedynym śladem jej urody są oczy - wielkie, brązowe i pełne ciepła.

Wypowiedziałam swoją prośbę i wdowy spojrzały na siebie.

- Musimy poradzić się Rebeki Dew - rzekła ciocia Misia.

- Bez wątpienia - potwierdziła ciocia Kasia.

Zgodnie z tym wezwano z kuchni Rebekę Dew. Razem z nią wszedł wielki maltański kot z białą piersią i białym kołnierzem. Miałam ochotę go pogłaskać, ale wspomniawszy ostrzeżenie pani Braddock zignorowałam jego obecność.

Rebeka Dew spojrzała na mnie bez cienia uśmiechu.

- Rebeko - odezwała się ciocia Kasia, która, jak zauważyłam, nie traci słów nadaremnie. - Panna Shirley chce wynająć u nas pokój. Nie sędzę, byśmy mogły ją przyjąć.

- A to dlaczego? - spytała Rebeka Dew.

- Obawiamy się, że byłby to dla ciebie zbyt duży kłopot - powiedziała ciocia Kasia.

- Przywykłam do kłopotów - odparła Rebeka Dew.

Nie mogę, mówiąc o niej, używać tylko imienia, Gilberte. To jest niemożliwe... chociaż wdowom nie sprawia trudności. Zwracają się do niej „Rebeko”. Nie mam pojęcia, jak im się to udaje.

- Jesteśmy za stare, żeby mieć dom pełen młodych ludzi - upierała się ciocia Misia.

- Mówcie za siebie - odparowała Rebeka Dew. - Ja mam tylko czterdzieści pięć lat i ciągle jeszcze jestem w pełni sił fizycznych i umysłowych. I ja sędzę, że byłoby przyjemnie, gdyby ktoś młody spał pod tym samym dachem co my. W każdym razie dziewczyna jest lepsza od chłopca. Chłopak paliłby papierosy przez cały dzień i noc, jeszcze by zaproszył ogień i spalił nas w łóżkach. Jeśli musicie wynająć komuś pokój, wynajmijcie go jej. Taka jest moja rada. Ale oczywiście to jest wasz dom.

„Powiedziała i zniknęła” - jak pisał Homer. Wiedziałam już, że decyzja zapadła, ale ciocia Misia poleciła mi, abym obejrzała pokój i zobaczyła, czy będzie mi odpowiadał.

- Damy pani pokój na wieży, kochanie. Nie jest zbyt duży, ale za to zimą można w nim podłączyć piec. Ma też bardzo ładny widok z okna na cmentarz.

Pokoik okazał się bardzo mały. Prowadzą doń boczne schodki. Jest dość mały, ale nie aż tak, jak ten okropny pokój, w którym mieszkałam przez pierwszy rok w Kingsporcie. Jedno okno wychodzi na zachód, a drugie na północ. Trzecie znajduje się w narożnej ścianie wieży. Stoją pod nim półki na książki. Podłogę pokrywa pleciony dywanik. Łóżko jest tak gładko zasłane barwną kapą, że wydaje się bluźnierstwem spać na nim. Dodatkowego dostojęństwa nadaje mii wspinały baldachim. A co najlepsze, jest tak wysokie, że wchodzi się do niego po schodkach, zrobionych specjalnie w tym celu. Na dzień chowa się je pod łóżko. Prawdopodobnie kapitan MacComber przywiózł całą tę maszynię z którejś ze swych zamorskich podróży.

W kącie stoi mały kredensik, którego półki wysłane są białym papierem powycinanym we wzorki. Na drzwiach widnieją namalowane bukiety kwiatów. Przy oknie leży okrągła, niebieska poduszka z wgłębieniem pośrodku. Przypomina duży niebieski pączek. W rogu stoi śliczna toaletka z półką na miskę, mydelniczkę i dzbanek z gorącą wodą. Na drugiej półce siedzi porcelanowa biała dama w różowych pantoflach, ze złocistą szarfą i czerwoną porcelanową różą w złotych porcelanowych włosach. W szufladzie ozdobionej mosiężną gałką leży moc ręczników.

Gdy weszliśmy, poprzez zasłony koloru dojrzałego zboża lało się z zewnątrz światło, zdobiąc białe ściany najcudowniejszą tapetą drżących cieni... tapetą żywą i co chwila inną. Wszystko to nadawało pokoikowi wygląd tak radosny, że poczułam się najbogatszą dziewczyną na świecie.

- Na pewno będzie ci tutaj dobrze - powiedziała pani Linde, skoro stamtąd wyszliśmy.

- Obawiam się, że po nieograniczonej swobodzie, jaką cieszyłam się w Ustroniu Patty, tu będę się czuła skrępowana - odparłam przekornie.

- Swoboda! - pani Małgorzata Linde ze zgrozzeniem pociągnęła nosem. - Swoboda! Nie mów jak Jankeska, Aniu.

Wprowadziłam się dzisiaj. Oczywiście z żalem opuszczałam Zielone Wzgórze. Bez względu na to, jak długo przebywam z dala od niego, w chwili gdy nadchodzą wakacje, jestem znów jego częścią, jakbym nigdy nie wyjeżdżała z Avonlea.

Serce mnie boli, że musiałam opuścić moich ukochanych. Ale lubię Szumiące Topole i czuję, że one także mnie lubią. Zawsze wiem, czy lubi mnie dom, w którym mieszkam.

Mam piękny widok z okien. Tak, podoba mi się nawet widok na stary cmentarz otoczony wysokimi jodłami. Prowadzi doń wijąca się pośród pól droga, wzdłuż której biegą rowy pełne soczystej zielonej trawy. Z okna wychodzącego na zachód widzę zatokę, hen, aż po majaczące w oddali, zamglone wybrzeże. Kołyszają się żaglówki, a statki zmierzają „ku nieznany portom” ...Jakiż to fascynujący zwrot! Jakie w nim pole do wyobraźni! Z północnego okna roztacza się widok na przydrożny zagajnik. Ciemna zieleń klonów i białe pnie brzoź przyciągają spojrzenie. Wiesz, że zawsze oddawałam niemal bałwochwalczą cześć drzewom. Kiedy na redmondskim kursie przerabialiśmy Tennysona*, bardzo współczułam biednej Enonie”, która opłakiwała swoje utracone sosny.

Pomiędzy cmentarzem i zagajnikiem rozciąga się dolina, przecięta czerwoną wstążką drogi, wzdłuż której stoją białe domki. Niektóre doliny są piękne - chyba dzięki przyjemności, jaką sprawia ich widok. Daleko na horyzoncie widać moje błękitne wzgórze. Postanowiłam nazwać je Królem Burz. Wymyślanie takich nazw to moja pasja.

Gdy zechcę, będę mogła spędzać urocze samotne godziny w moim pokoju. Czasem bardzo miło jest być samą. Zaprzyjaźnię się z wiatrami. Będą wzdychać, płakać i szemrać wokół mojej wieży - zielone wiatry wiosenne, błękitne wiatry lata, karmazynowe jesieni, białe zimy. Ostre, porywiste wiatry wszystkich pór roku.

Mam nadzieję, kochany, że wiatr będzie także śpiewał wokół naszego Wymarzonego Domu. Ciekawe, gdzie znajduje się ten nie znany nam jeszcze dom. Kiedy będę go bardziej kochała - o zmroku czy o brzasku? Dom przyszłości, w którym będziemy się kochać i pracować razem, w którym przeżyjemy wiele zabawnych przygód... W starości pośmiejemy się na ich wspomnienie. Starość! Czy my zestarzejemy się kiedykolwiek, Gilberte? To chyba niemożliwe.

Z okna w lewej ścianie mojej wieży widać dachy domów miasta, w którym pozostanę co najmniej przez rok. Pod tymi dachami mieszkają nie znani mi jeszcze ludzie. Znajdę wśród

* Alfred Tennyson (1809-1892) - późnoromantyczny poeta i dramaturg angielski.

nich przyjaciół... a także wrogów. Niestety wszędzie spotyka się ludzi tego typu co Pye'owie. Ukrywają się pod różnymi nazwiskami. Obawiam się, że Pringle'owie do nich należą. Szkoła zaczyna się jutro. Będę wykladała geometrię. Doprawdy, chyba nie ma nic gorszego niż wkuwanie tego przedmiotu. Błagam niebiosy, żeby między Pringle'ami nie było geniuszy matematycznych.

Spędziłam w Szumiących Topolach zaledwie pół dnia, a mam wrażenie, że znam wdowy i Rebekę Dew od dnia swoich narodzin. Prosiły, żebym mówiła do nich „ciociu”, na co zaproponowałam, aby nazywały mnie po prostu Anią.

Raz powiedziałam do Rebeki Dew „Panno Dew”. Raz mi się to udało.

- Panno jaka? - zagadnęła.

- Dew - powtórzyłam potulnie. - Czy nie tak brzmi pani nazwisko?

- Owszem. Jednak od wielu lat nie zwracano się do mnie w ten sposób i dlatego się zdziwiłam. Niech pani lepiej tak do mnie nie mówi, panno Shirley, gdyż nie jestem do tego przyzwyczajona.

- Zapamiętam, Rebeko... Dew - powiedziałam. Ze wszystkich sił pragnęłam opuścić „Dew”, ale nie udało mi się.

Pani Braddock miała rację twierdząc, że ciocia Misia jest wrażliwa. Zauważyłam to przy kolacji. Ciocia Kasia wspomniała o sześćdziesiątych szóstych urodzinach Misi. Spojrzałam na ciocię Misie i zobaczyłam, że... nie, nie wybuchnęła płaczem. Określenie to jest zbyt gwałtowne, by odpowiadało jej zachowaniu. Po prostu oblała się łzami, które ukazały się w jej wielkich, brązowych oczach, wypełniły je i powoli stoczyły się po policzkach.

- O co znów chodzi, Misiu? - dość ostro spytała ciocia Kasia.

- Ależ to były moje sześćdziesiąte piąte urodziny - powiedziała ciocia Misia.

- Och, przepraszam cię - rzekła ciocia Kasia, i znów wszystko było dobrze.

Kot jest pięknym okazem maltańczyka o złotych oczach i nienagannie przegowanym eleganckim futrze. Ciocia Kasia i ciocia Misia nazywają go Marcin, bo takie jest jego imię. Ale Rebeka Dew nie mówi o nim inaczej niż „Ten Kot”, ponieważ go nie cierpi. Ma do niego pretensję, że codziennie rano i wieczorem musi mu dawać kawał wątróbki, czyścić starą szczoteczką do zębów fotele w salonie z jego sierści i szukać go wieczorami, gdy nie wraca do domu o właściwej porze.

- Rebeka Dew nigdy nie lubiła kotów - wyjaśniła mi ciocia Misia. - A już Marcina nie znosi z całego serca. Stary pies pani Campbell (miała wówczas psa) przyniósł go w pysku dwa lata temu. Pewnie wiedział, że nie ma co próbować zaniósć go do pani Campbell.

Biedne, żalosne, małe kociątko, zziębnięte i zmoknięte, tak chude, że kości sterczały mu przez skórę. Nawet kamień by się wzruszył na jego widok. Więc Kasia i ja wzięłyśmy go do domu, czego Rebeka Dew nie może nam wybaczyć. Nie postąpiłyśmy dyplomatycznie. Powinnyśmy były go wyrzucić. Czy zauważyłaś... - ciocia Misia szybko obejrzała się na drzwi od kuchni - jak umiejętnie obchodzimy się z Rebeka Dew?

Owszem, zauważyłam i potwierdziłam to z przyjemnością. Całe Summerside i Rebeka Dew mogą sądzić, że to ona gra pierwsze skrzypce w tym domu, ale zdaniem wdów jest inaczej.

- Nie chciałyśmy wynająć pokoju urzędnikowi bankowemu. Młody człowiek byłby niepożądany w naszym domu. Ale Rebecce powiedziałyśmy, że to on z nami zamieszka. Nie chciała o tym słyszeć. Cieszę się, że jesteś u nas. Z pewnością będzie miło dla ciebie gotować. Mam nadzieję, że nas polubisz. Rebeka Dew ma wiele zalet. Wcale nie była taka schludna, gdy do nas przysła. Było to piętnaście lat temu. Raz zdarzyło się, że Kasia musiała napisać jej imię na lustrze w salonie, by pokazać, jak bardzo jest zakurzone. Nigdy więcej nie trzeba było tego robić. Rebeka Dew potrafi zrozumieć takie wskazówki. Mam nadzieję, że będziesz zadowolona ze swego pokoju, kochanie. Możesz otwierać na noc okno. Kasia nie lubi wietrzyć w nocy, ale wie, że sublokatorzy muszą mieć pewne przywileje. Śpimy w jednym pokoju i jednej nocy zgodnie z jej życzeniem okno jest zamknięte, a drugiej otwarte, bo ja bardzo lubię świeże powietrze. Wszystkie małe problemy dadzą się rozwiązać w ten sposób, prawda? Przy dobrych chęciach zawsze jest to możliwe. Nie przestrasz się, jeśli w nocy usłyszysz, że ktoś chodzi po domu. Rebeka Dew często słyszy jakieś hałasy i wstaje z łóżka, aby sprawdzić, skąd się biorą. Pewnie dlatego nie chciała, żeby zamieszkał u nas mężczyzna. Bała się, że jeszcze wpadnie na niego w koszuli nocnej. Chyba nie masz Kasi za złe, że nie jest rozmowna? Zawsze taka była. A ma tyle do opowiadania - za młodu objechała z Amazym cały świat. Ach, gdybym to ja miała tyle tematów do rozmowy. Ale nigdy nie byłam poza Wyspą Księcia Edwarda. Często zastanawiam się, dlaczego tak dziwnie się złożyło - ja uwielbiam mówić, a nie mam o czym; Kasia ma o czym, ale z kolei nie lubi mówić. Przypuszczam, że Opatrzność wie to najlepiej.

Jakkolwiek ciocia Misia jest gadułą, nie zdołała powiedzieć tego wszystkiego jednym tchem. Od czasu do czasu udawało mi się więc wtrącić parę słów, których zresztą nie słyszała.

Ciocie mają krowę, która pasie się na pastwisku niejakiego pana Hamiltona. Rebeka Dew chodzi tam, żeby ją wydoić. Mamy więc trochę własnej śmietanki, a codziennie rano i wieczorem Rebeka Dew podaje przez furtkę w murze, oddzielającym nasz ogród od sadu

sąsiadów, szklankę świeżego mleka „Kobiecie” pani Campbell. Jest ono przeznaczone dla małej Elżbiety. Kto to jest „Kobieta” i mała Elżbieta - nie wiem. Pani Campbell mieszka w sąsiednim domu, który nazywa się Wieczna Zieleń.

Chyba nie będę dziś spała. Nigdy nie mogę zasnąć w obcym domu, a co dopiero w tak dziwnym łóżku. Ale to nie szkodzi. Zawsze kochałam noc, a tę spędzę marząc o całym swym życiu - przeszłym, obecnym i przyszłym. Szczególnie o przyszłym.

Długość tego listu dowodzi, że nie mam nad Tobą litości. Pragnęłam opisać Ci wszystko, żebyś mógł wyobrazić sobie moje nowe otoczenie. Kończę, gdyż daleko nad zatoką księżyc „tonie w krainie cieni”. Muszę jeszcze napisać do Maryli. Mój list przyjdzie na Zielone Wzgórze pojutrze. Tadzio przyniesie go z poczty i nie odstąpi od kolan Maryli, gdy będzie czytała. A pani Linde uważnie nadstawi uszu. Och! Jeszcze chwila, a pogrążę się we łzach z tęsknoty za domem. Dobranoc, najdroższy.

Twoja Ania

II

26 września

Jak myślisz, gdzie czytam Twoje listy? W zagajniku przy drodze. Znalazłam tam śliczną kotlinkę porośniętą paprociami, na których liściach igrają promienie słońca. Wśród paproci wije się strumyk. Omszały pień drzewa zachęca, by na nim spocząć. Młodziutkie, wysmukłe brzozy poddają się pieszczocie wiatru. Lubię siadywać tu i wsłuchiwać się w ciszę zagajnika. Czy zauważyłeś, Gilbertcie, że jest wiele różnych rodzajów ciszy? Cisza lasów... piaszczystych wybrzeży... cisza równin... nocy... letniego popołudnia. Każda inna, bo każda przesycona innym nastrojem. Gdybym była ślepa i pozbawiona wszelkiej wrażliwości na oddziaływania zewnętrzne, z pewnością łatwo mogłabym odgadnąć, gdzie jestem - poznałabym to po rodzaju otaczającej mnie ciszy.

Szkoła zaczęła się dwa tygodnie temu. Udało mi się nieźle zorganizować zajęcia. Ale pani Braddock miała rację - Pringle'owie sprawiają mi duże kłopoty. Doprawdy nie wiem, jak rozwiązać ten problem, chociaż jestem szczęśliwą właścicielką trzech czterolistnych koniczynek. Pringle'owie, jak stwierdziła pani Braddock, są słodcy jak miód - i śliscy jak węże.

Rzeczywiście tworzą coś w rodzaju klanu. Często walczą między sobą, ale stoją w zgodnej opozycji wobec wszystkich nowo przybyłych. Doszłam do wniosku, że ludność Summerside dzieli się na Pringle'ów i tych, którzy nimi nie są.

Mam w klasie wielu Pringle'ów, a nawet w tych, którzy noszą inne nazwiska, płynie krew Pringle'ów. Przewodzi im Janka Pringle, zielonooka dziewczynka, która wygląda tak, jak zapewne wyglądała Becky Sharp* w wieku lat czternastu. Dokłada ona wszelkich starań, aby klasa mnie nie słuchała i nie szanowała. Janka robi niesłychanie komiczne miny. Co prawda, nigdy jej na tym nie przyłapałam, ale wiem, że te miny są źródłem przelotnych śmieszków, które rozbrzmiewają za moimi plecami, gdy odwrócona tyłem tłumaczę coś przy tablicy. Poza tym ta mała wiedźma nie jest głupia. Píše wypracowania, które można uznać za dalekich krewnych beletrystyki i, o biada, doskonale radzi sobie z matematyką. W jej słowach i gestach jest coś niezwykłego. Ma duże poczucie humoru, co mogłoby stworzyć między nami więź. Niestety, Janka nienawidzi mnie. Obawiam się, że upłynie dużo czasu, zanim znajdziemy wspólny powód do śmiechu.

* Becky Sharp - bohaterka powieści Williama Thackeraya „Targowisko próżności” (przyp. tłum.).

Mira Pringle, kuzynka Janki, to piękność szkolna - i okropny głuptas. Robi komiczne błędy. Na przykład dziś na lekcji historii powiedziała, że Indianie uważali Champlaina* i jego towarzyszy za bogów lub „coś nieludzkiego”.

Pringle'owie stanowią śmietankę towarzyską Summerside, tak przynajmniej twierdzi Rebeka Dew. Byłam już w dwóch domach, bo zaproszenie nowego nauczyciela na kolację należy do dobrego tonu, a Pringle'owie dbają o zachowanie pozorów grzeczności. Wczorajszy wieczór spędziłam u Jakuba Pringle'a, ojca wyżej wspomnianej Janki. Wygląda niczym profesor uniwersytetu, a jest głupi i ograniczony. Dużo mówił o dyscyplinie. Stukał przy tym w stół paznokciami, których czystości nic nie można zarzucić... wręcz przeciwnie niż jego znajomości zasad gramatycznych. Wyjaśnił mi, że wyższa szkoła w Summerside zawsze była w mocnych rękach. Prowadzili ją nauczyciele o dużym doświadczeniu pedagogicznym, przeważnie mężczyźni.

- Czy pani nie jeżdż troszkę za młoda? No, czas usunie ten mankament, i to nawet zbyt szybko - powiedział ze smutkiem.

Nie odzywałam się w ogóle, bo się bałam, że powiem za dużo. Byłam słodka jak Pringle'owie, ale nikt nie mógł mi zabronić obrzucać pana Jakuba pogardliwymi spojrzeniami. Jakże chętnie powiedziałabym mu: „Ach, ty przewrotny, głupi, stary dziadzie!”

Janka odziedziczyła rozum po matce, którą mogłabym polubić. Sprytna dziewczyna w obecności rodziców zachowywała się jak wzorowa uczennica. Odzywała się bardzo grzecznie... bardzo bezczelnym tonem. Za każdym razem, gdy mówiła „panno Shirley”, brzmiało to jak obelga. A kiedy patrzyła na moje włosy, czułam, że są czerwone jak marchewka. Na pewno żaden Pringle by nie przyznał, że mają lekko kasztanowaty odcień.

Daleko bardziej podobało mi się u Mortona Pringle'a, chociaż ten z kolei nie słucha, co się do niego mówi. W chwili gdy jego rozmówca, zagadnięty, wypowiada swoje zdanie, Morton Pringle obmyśla następny monolog.

Wczoraj dostałam list od pani Stefanowej Pringle, wdowy po Stefanie Pringle'u - Summerside obfituje we wdowy. List uprzejmy, przyjazny i pełen jadu. Emilka ma za dużo zadawane do domu. Emilka jest bardzo delikatnym dzieckiem i nie może się przepracowywać. Pan Bell nigdy nie zadawał jej pracy domowej. Jest taka wrażliwa. Trzeba ją rozumieć. Pan Bell rozumiał ją tak dobrze. Pani Stefanowa jest pewna, że ja też ją zrozumieć, jeśli się postaram.

* Samuel de Champlain (1567-1635) - francuski podróżnik, badacz Kanady, jej pierwszy gubernator. Założył miasto Quebec.

Rebeka Dew twierdzi, że wszyscy Pringle'owie oprócz dwóch starszych pań z Klonowego Wzgórza zaproszą mnie na kolację, a potem będą mnie traktować jak powietrze. Ponieważ zaś są śmietanką towarzyską Summerside, może to oznaczać wyklęcie mnie z tutejszego środowiska. No cóż, zobaczymy. Walka trwa Jeszcze jej nie przegrałam - i nie wygrałam. Mimo to czuję się dość nieszczęśliwa. Nie da się nic poradzić na niechęć i uprzedzenie. Ciągle, tak jak w dzieciństwie, pragnę, by ludzie mnie kochali. Nie mogę znieść myśli, że ktoś mnie nie lubi. Z przykrością przyznaję, że rodzice większości moich uczniów mnie nienawidzą. A przecież nie zrobiłam im nic złego i ta niesprawiedliwość bardzo mnie boli.

Mimo tych kłopotów bardzo lubię moich uczniów. Są wśród nich zdolni, ambitni i pracowici, którzy rzeczywiście chcą się czegoś nauczyć. Lewis Allen wynajmuje na mieście pokój, a ponieważ nie ma pieniędzy, by płacić, wykonuje wszystkie domowe prace u swych gospodarzy. Wcale się tego nie wstydzi. Zosia Sinclair codziennie przyjeżdża do szkoły na oklep na starej kobyle swego ojca, bo ich farma leży o sześć mil od Summerside. Te fakty podnoszą mnie na duchu. Nie dbam o Pringle'ów, jeśli tylko mogę pomagać takim uczniom. Inna sprawa, że Królewska Rodzina uniemożliwi mi pomaganie komukolwiek, o ile nie uzyskam jej sympatii.

Ale za to kocham Szumiące Topole. Jest to mój prawdziwy dom, a nie wynajmowane mieszkanie. Ciocie i Rebeka Dew mnie lubią. Nawet Marcin mnie lubi, chociaż czasem okazuje mi swoją dezaprobatę siadając do mnie tyłem. Niby przypadkiem odwraca głowę i patrzy złocistymi oczami, jaka też będzie moja reakcja. Nie bawię się z nim, gdy Rebeka Dew jest w pobliżu, żeby jej nie irytować. W ciągu dnia Marcin jest marzycielskim, wygodnickim i zadomowionym stworzeniem, Nocą zmienia się nie do poznania. Rebeka powiada, że winę za to ponoszą wdowy, które nie pozwalają mu zostać przez noc na dworze. Uważa za osobistą obrazę, że musi wieczorem wystawać godzinami na podwórzu i nawoływać go.

Wydaje się jej, że jest pośmiewiskiem wszystkich sąsiadów. Rzeczywiście woła Marcina tak stentorowym głosem, że na pewno słyszy ją całe miasto, gdy pośród ciszy nocnej rozlega się: „Kici... kici... kiiciii!” Gdyby Marcin nie nocował w domu, wdowy dostałyby ataku hysterii.

- Nikt nie wie, ile ja przeżyłam przez Tego Kota. Nikt - zapewniła mnie Rebeka Dew.

Wdowy są bardzo miłe i z każdym dniem bardziej je lubię. Ciocia Kasia nie znosi powieści, ale powiedziała, że nie zamierza kontrolować, co ja czytam. Za to ciocia Misia uwielbia powieści. Przemyca je ukradkiem z biblioteki miejskiej i chowa w skrytce razem z kartami do pasjansa i innymi drobiazgami, których nie chce pokazać siostrze. Skrytka ta

znajduje się w fotelu i nikt nawet się nie domyśla, że służy on nie tylko do siedzenia. Ciocia Misia zdradziła mi swoją tajemnicę, ponieważ, jak podejrzewam, oczekuje ode mnie zachęty i poparcia w wyżej wspomnianym przemycańcu książek do domu. Właściwie wydaje się, że nie ma potrzeby szukania schowków w Szumiących Topolach. Nigdzie nie widziałam takiej jak tutaj ilości tajemniczych kredensików. Chociaż na pewno Rebeka Dew nie pozwala, by zbyt długo pozostały tajemnicze... Co jakiś czas wyrzuca wszystko z szuflad i zażarcie je czyści.

- Dom się sam nie sprzątnie - mówi ze smutkiem, gdy wdowy protestują przeciwko tym porządkom. Gdyby znalazła książki i karty do pasjansa, pewnie nie zastanawiałaby się długo, co z nimi zrobić. Takie rzeczy do głębi przerażają jej ortodoksyjną duszę. Rebeka Dew utrzymuje, że karty są narzędziem szatana. O książkach już lepiej nie mówić. Rebeka czytuje tylko Biblię i szpalty montrealskiego „Guardiana” dotyczące życia towarzyskiego. Rozkoszuje się opisami domów, mebli i poczyną milionerów.

- Ach, czy wyobraża sobie pani kąpiel w złotej wannie, panno Shirley? - pyta z rozmarzeniem. Ale kochane z niej stworzenie. Dogadza mi, jak może. Wynalazła gdzieś stary fotel na biegunach obity wyszarżalym brokatem.

- To pani krzesło - powiedziała. - Zatrzymamy je tu dla pani.

Nie pozwala sypiać na nim Marcinowi z obawy, że oblezę sierścią i dostarczę Pringle’om nowego tematu do plotek.

Wszystkie trzy panie bardzo się zainteresowały moim pierścieniem z perełek. Ciocia Kasia pokazała mi swój pierścienek zaręczynowy z turkusami. (Obecnie go nie nosi, bo jest za ciasny.) Ciocia Misia ze łzami w oczach wyznała, że nigdy nie dostała zaręczynowego pierścienka, bo jej mąż uważał, że byłby to zbędny wydatek. Powiedziała mi o tym, gdy nakładała w moim pokoju maseczkę ze śmietanki. Robi to co wieczór, by zachować świeżą cerę. Musiałam przysiąc, że nie zdradzę jej sekretu przed ciocią Kasią.

- Ona by uważała to za karygodną próżność u kobiety w moim wieku. Rebeka też pewnie sądzi, że chrześcijanka nie powinna starać się ładnie wyglądać. Zawsze wieczorem, gdy Kasia leżała już w łóżku, wślizgiwałam się do kuchni, by zrobić sobie maseczkę. Umierałam ze strachu, że Rebeka mnie przyłapie. Ona śpi jak zajęć - z nadstawionymi uszami. Gdybym mogła codziennie wieczorem przychodzić do ciebie... O, dziękuję ci, kochanie.

Wiem już coś niecoś o naszych sąsiadach z Wiecznej Zieleni. Pani Campbell (z domu Pringle) ma osiemdziesiąt lat. Nie widziałam jej jeszcze, ale sądzę, że jest dość ponurą starą damą. Ojej służącej, niejakej Marcie Monkman, niemal równie wiekowej i ponurej, mówi się zwykle krótko „Kobieta pani Campbell”.

Mieszka z nimi Elżbieta Grayson, prawnuczka pani Campbell. Nie widziałam jej dotychczas, chociaż jestem w Summerside już dwa tygodnie. Elżbieta ma osiem lat i chodzi do szkoły publicznej. Nie spotkałam jej, bo zawsze wychodzi z domu kuchennymi drzwiami, obierając krótszą drogę.

Jej matka, a wnuczka pani Campbell, też wychowywała się u starszej pani, bo wcześniej straciła rodziców. Poślubiła niejakiego Piotra Graysona, „Jankesa”, jak by powiedziała pani Linde. Zmarła przy urodzeniu Elżbiety, a ponieważ Piotr Grayson przejął kierownictwo branżowej firmy w Paryżu i wyjechał z Ameryki, dziecko oddano pani Campbell. Mówią, że Grayson nigdy nie interesował się córką. Nie może znieść jej widoku, ponieważ odebrała życie matce. Oczywiście to są tylko plotki. Kobieta i pani Campbell nigdy nie poruszają tego tematu.

Rebeka Dew mówi, że starsze panie są zbyt surowe dla Elżbiety i dziecko nie ma łatwego życia.

- Ona nie jest taka jak wszystkie dzieci. Za poważna na swoje osiem lat. Czego to ona nie opowiada. „Rebeko - powiedziała raz do mnie - co byś zrobiła, gdybyś leżąc wieczorem w łóżku poczuła, że coś cię szczypie w nogę?” Z pewnością dziecko boi się spać samo po ciemku. A one ją do tego zmuszają. Pani Campbell mówi, że nie zniesie tchórzy w swoim domu.

Ona i Kobieta obserwują małą jak koty polujące na mysz i ciągle ją sztorcują. Wychodzą ze skóry, gdy narobi trochę hałasu. Dziecko słyszy tylko: „Cisza! Milczeć!” Zahukają biedactwo na śmierć. Ale co my możemy na to poradzić?

Rzeczywiście, co?

Chciałabym zobaczyć małą Elżbietę. Wydaje mi się, że jest to nieco patetyczna postać. Ciocia Kasia mówi, że dziewczynka prezentuje się dobrze - ciocia wyraziła to słowami: „One dobrze ją ubierają i karmią”. Ale dziecku nie starczy do życia sam chleb. Nigdy nie zapomnę, jak smutne było moje dzieciństwo, zanim przybyłam na Zielone Wzgórze.

W przyszły piątek jadę do Avonlea. Spędzę tam dwa piękne dni. Jediną przykrością będą pytania o moją pracę w Summerside.

Gilbercie, pomyśl tylko o Zielonym Wzgórzu... Jezioro Lśniących Wód pokryte niebieską przedzą mgły... Nad strumykiem klony strojne w jesienne szaty... Złocistobrazowe paprocie w Lesie Duchów i Aleja Zakochanych pełna drżących cieni tańczących wśród drzew. Jakże pragnę znaleźć się tam teraz z... z kim, jak myślisz?

Czy wiesz, Gilbercie, czasem poważnie podejrzewam, że Cię kocham.

Szumiące Topole

Wielce Szanowny i Poważany Panie,

Tak zaczynają się listy miłosne pisane przez babkę cioci Misi. Wspaniale, prawda? Zapewne, niesłuchanie pochlebiały dumie szanownego dziadka. Czy wolałbyś taki zwrot od pospolitego „Kochany Gilbercie”? Cieszę się, że nie jesteś dziadkiem cioci Misi - ani czymkolwiek. Czyż to nie cudowne, że jesteśmy młodzi i mamy całe życie przed sobą, wspólne życie?

(Ponieważ tym razem pióro Ani nie jest ani zbyt tępe, ani zbyt ostre, opuszczamy parę stronic.)

Siedzę przy oknie, spoglądając na drzewa, które kołyszą się lekko na tle bursztynowego nieba i gładkiej powierzchni zatoki. Wczoraj wieczorem poszłam na piękny spacer. Musiałam wyjść z domu, bo panował w nim niezbyt wesoły nastrój. Ciocia Misia płakała w salonie, ponieważ jej uczucia zostały zranione, ciocia Kasia płakała w sypialni, gdyż akurat była rocznica śmierci kapitana Amazego, a Rebeka Dew płakała w kuchni z bliżej nieznanych przyczyn. Nigdy dotąd nie widziałam jej płaczącej. Gdy próbowałam taktownie spytać o powód łez, odparła opryskliwie, że chyba może sobie trochę popłakać, jeśli ma na to ochotę. Zwinęłam więc żagle i wyszłam, żeby nie przeszkadzać jej w oddawaniu się temu miłemu zajęciu.

Poszłam w dół drogi, ku zatoce. Pachniało chłodnym październikowym wieczorem i świeżo zoraną ziemią. Szłam i szłam, aż zmierzch ustąpił miejsca jesiennej księżycowej nocy. Byłam sama, ale nie samotna. Prowadziłam wyimaginowane rozmowy z wyimaginowanymi przyjaciółmi i ułożyłam tyle wierszy, że dziwiłam się sama sobie. Czułam się szczęśliwa pomimo kłopotów z Pringle'ami.

Na samą myśl o Królewskiej Rodzinie wzdycham ciężko. Przykro mi wyznać, że sprawy w wyższej szkole w Summerside nie układają się dobrze. Nie ulega wątpliwości, że zorganizowano przeciwko mnie spisek.

Pringle'owie na przykład systematycznie nie odrabiają prac domowych. Odwoływanie się do rodziców nie daje żadnego rezultatu. Są uprzejmi i grzecznie się wykręcają. Wiem, że lubią mnie wszyscy ci uczniowie, którzy nie należą do Królewskiej Rodziny. Niestety jednak pringle'owski wirus nieposłuszeństwa podkopuje mój autorytet w całej klasie. Pewnego ranka postawiono mój stół do góry nogami. Oczywiście nikt nie wiedział, kto to zrobił. Nikt nie potrafił wyjaśnić, kto zostawił na moim pulpicie pudełko, z którego, gdy je otworzyłam,

wyskoczył sztuczny wąż. Wszyscy uczniowie z Królewskiej Rodziny płakali ze śmiechu na widok mojej przerażonej miny.

Janka Pringle niemal codziennie spóźnia się do szkoły. Zawsze znajduje grzeczne usprawiedliwienie, które wypowiada obraźliwym tonem. Rozsyła listy po klasie tuż pod moim nosem. Dziś w kieszeni płaszcza znalazłam obraną cebulę. Gorąco pragnęłabym zamknąć tę dziewczynę o chlebie i wodzie na tak długo, żeby zrozumiała, jak należy się zachowywać.

Ale najgorsza była moja karykatura, wyrysowana pewnego ranka kredą na tablicy: biała twarz ze szkarłatnymi włosami! Nikt nie przyznał się do autorstwa. Janka też nie. Wiem jednak, że tylko ona umie tak rysować. Bo rysunek był dobry. Na moim nosie, który, jak wiesz, stanowi moją jedyną dumę i radość, widniał garb, a usta były ustami zgorzkniałej starej panny, umęczonej wieloletnią pracą w szkole pełnej Pringle'ów. Ale to byłam ja.

Jeszcze o trzeciej nad ranem obudziłam się i wstrząsnęłam ze wstydu i przykrości na wspomnienie o tym incydencie. Czy zauważyłeś, że daleko częściej spędzają sen z powiek sprawy upokarzające niż niegodziwe?

A co o mnie opowiadają! Zarzucono mi, że obniżyłam Hatcie Pringle stopień z klasówki tylko dlatego, że nazywa się Pringle. Oskarżają mnie, że śmieję się z błędów, jakie robią moi uczniowie. (Rzeczywiście nie mogłam powstrzymać się od śmiechu, gdy Fredk Pringle powiedział, że centurion był to człowiek, który żył sto lat*.)

Jakub Pringle opowiada wszystkim, że „w szkole nie ma dyscypliny - absolutnie żadnej dyscypliny”. A po mieście krąży fama, że jestem złą.

Także i poza szkołą spotykam się z antagonizmem Pringle'ów. Summerside chyba jest całkowicie podporządkowane tej rodzinie. Nic dziwnego, że nazywa się ich Królewską Rodziną. W ubiegły piątek nie zostałam zaproszona na przyjęcie do Alicji Pringle. A gdy pani Franciszkowa Pringle zorganizowała kwestę na cele kościelne (Rebeka Dew poinformowała mnie, że panie zamierzają wybudować nową wieżę!), tylko mnie nie poproszono o udział. Podobno żona nowo przybyłego do Summerside pastora chciała mnie włączyć do chóru parafialnego, ale powiedziano jej, że jeśli to zrobi, wszyscy Pringle'owie porzucą chór. A kto wtedy będzie śpiewał w kościele? Przecież Pringle'owie stanowią większość chóru.

Oczywiście nie tylko ja jedna mam kłopoty z wychowankami. Opiekunowie innych klas często przysyłają do mnie swoich uczniów, żebym udzieliła im nagany. Och, jakże

* W jęz. angielskim istnieje słowo century - stulecie, stąd pomyłka chłopca.

nienawidzę tego słowa! Około połowa niegrzecznych to Pringle'owie. Ale nikt nie ma pretensji do innych nauczycieli - tylko do mnie.

Przedwczoraj po lekcjach zatrzymałam Jankę, żeby odrobiła zaległą od wielu dni pracę domową. Po dziesięciu minutach przed szkołą zatrzymał się powóz z Klonowego Wzgórza i w drzwiach zjawiała się panna Helena - pięknie ubrana, słodko uśmiechnięta stara dama z haczykowatym nosem, w czarnych koronkowych mitenkach na rękach. Wyglądała, jakby dopiero co wyszła z pudełka na pamiątki z tysiąc osiemset czterdziestego roku. Bardzo jej przykro, powiedziała, ale czy mogłaby zabrać Jankę? Wybiera się z wizytą do przyjaciół w Cichej Dolinie i obiecała, że przywiezie ją ze sobą. Dziewczynka wyszła z triumfem z klasy, a ja ponownie uświadomiłam sobie, że wszystkie siły sprzysięgły się przeciwko mnie.

Gdy jestem w bardzo złym nastroju, myślę, że Pringle'owie są uosobieniem wszystkich negatywnych cech Sloane'ów i Pye'ów razem wziętych. Ale wiem, że to nieprawda. Gdyby Pringle'owie nie byli do mnie tak wrogo nastawieni, na pewno mogłabym ich polubić. Czuję, że mimo wszystko większość z nich to uczciwi i pogodni ludzie. Mogłabym polubić nawet pannę Helenę. Panny Sary jeszcze nie widziałam. Nie opuszcza Klonowego Wzgórza od dziesięciu lat.

- Jest zbyt delikatna, a raczej uważa się za taką - mówi Rebeka Dew. - Wynika to po prostu z jej dumy. Wszyscy Pringle'owie są dumni, ale te dwie stare panny przekraczają już wszelkie granice. Gdyby pani słyszała, jak rozprawiają o swoich przodkach. Ich ojciec, kapitan Abraham Pringle, rzeczywiście był miłym jegomościem, czego nie można powiedzieć o jego bracie, Myromie. Pringle'owie unikają rozmowy na temat Myroma. Obawiam się bardzo, że czekają panią trudne dni Pringle'owie nie zmieniają swoich opinii o ludziach... i rzeczach. Al głowa do góry, panno Shirley! Głowa do góry!

- Chciałabym uzyskać od panny Heleny przepis na wybijane ciasto - westchnęła ciocia Misia. - Obiecywała mi go kilka razy, ale jakoś do tej pory nie dotrzymała słowa. Ten przepis pochodzi z Anglii, od kucharki starej angielskiej rodziny. Panny Pringle mają tak niezwykle eleganckie przepisy!

W fantastycznych marzeniach zobaczyłam, jak zmuszam pannę Helenę, by na klęczkach wręczyła przepis cioci Misi. Ujrzałam też Jankę jako wzór grzecznej uczennicy. Najgorsze jest to, że mogłabym z łatwością sama ją poskromić, gdyby cały klan nie popierał jej diabelskich wyczynów.

(Dwie strony opuszczone)

Pańska posłuszna służa

Anna Shirley

P S W ten sposób podpisywała swe listy miłosne babka cioci Misi.

15 października

Dowiedziałyśmy się dziś, że tej nocy dokonano kradzieży na drugim krańcu miasta. Złodziej włamał się do domu, ukradł trochę pieniędzy oraz tuzin srebrnych łyżeczek. Rebeka Dew poszła więc do pana Hamiltona prosząc, by pożyczył nam psa. Zamierza uwiązać biedne stworzenie przy werandzie. Poradziła mi też, żebym dobrze schowała swój pierścionek Zaręczynowy.

A propos, odgadłam przyczynę płaczu Rebeki Dew. Zdaje się, że tego Unia zdarzyło się coś w rodzaju domowej katastrofy. Marcin ponownie „zachował się niewłaściwie” w salonie i Rebeka Dew oświadczyła, że bezwzględnie należy coś zrobić z Tym Kotem, bo doprowadził on do strasznego stanu jej nerwy. „To” zdarzyło się już po raz trzeci w tym roku i Rebeka Dew jest przekonana, że Ten Kot robi to celowo. Ciocia Kasia powiedziała, że gdyby Rebeka wypuszczała go na dwór, skoro tylko miauczy, nie byłoby niebezpieczeństwa, że „zachowa się niewłaściwie”.

- Doprawdy to już jest szczyt wszystkiego - rzekła Rebeka Dew.

„Rezultatem tej rozmowy były łzy.

Sprawa Pringle’ów coraz bardziej się zaostrza. Wczoraj na mojej książce znalazłam bardzo niegrzeczny napis, a Homer Pringle fikał koziołki przez całą drogę do domu. Otrzymałam też pełen niegodziwych aluzji anonim. Nie sądzę, by napisała go Janka, bo chociaż istne z niej półdiabłą weneckie, do pewnych rzeczy nie byłaby zdolna. Rebeka Dew wpadła w furję i drzę na myśl, co uczyniłaby z Pringle’ami, gdyby miała ich w swojej mocy. Pewnie nawet okrucieństwa Nerona nie wytrzymałyby porównania z jej zemstą. Nie zamierzam jej potępiać... Czasem sama mam ochotę otruć Królewską Rodzinę - każdego z jej członków z osobna - przy pomocy owych wspaniałych napitków, którymi z upodobaniem posługiwali się Borgiowie.

- Zdaje się, że nie pisałam Ci jeszcze o moich kolegach - nauczycielach w Summerside. Jest ich dwoje - moja zastępczyni, Julianna Brooke, opiekunka młodszej grupy, i Jerzy MacKay, opiekun klasy przygotowawczej. O Jerzym mogę powiedzieć niewiele. Jest nieśmiały, dobrym chłopcem. Ma około dwudziestu lat. Mówi z lekkim irlandzkim akcentem, który nasuwa myśl o rozległych nizinnych pastwiskach i zamglonych wybrzeżach; jego dziadek był Irlandczykiem. Doskonale radzi sobie z klasą przygotowawczą. Lubię go, chociaż mało go znam. Obawiam się jednak, że z trudnością przyszedłoby mi polubić Julianę Brooke. Julianna ma dwadzieścia osiem lat, ale wygląda na trzydzieści pięć. Podobno miała nadzieję, że uzyska posadę kierowniczką szkoły. Przypuszczam, że żywi do mnie pretensje,

ponieważ przyjęto moją kandydaturę. Tym bardziej, że jestem od niej młodsza. Jako nauczycielka wydaje się dobrą siłą, może jest trochę zbyt surowa. Uczniowie jej nie lubią, czym się wcale nie przejmuję. Nie ma ani przyjaciół, ani krewnych, ani nawet współlokatorów w ponurym domu przy ulicy Klasztornej, gdzie wynajmuje pokój. Chodzi niedbale ubrana, nie udziela się towarzysko i cieszy się opinią złośliwej. Uczniowie panicznie się boją jej sarkastycznych uwag, w których wypowiedzianiu jest mistrzynią. Czują się obezwładnieni, gdy we właściwy sobie sposób podnosi do góry swoje szerokie, czarne brwi. Gdybym tak mogła wypróbować skuteczność działania tej metody na Pringle'ach. Nie chciałabym jednak cieszyć się wśród uczniów poważaniem wynikającym ze strachu. Pragnę, żeby moi wychowankowie mnie kochali.

Chociaż wydawałoby się, że Julianna nie powinna mieć kłopotów z krnąbrnymi uczniami, czasem przysyła do mnie najgorszych łobuzów. Najczęściej są to Pringle'owie. Wiem, że robi to specjalnie, i jestem pewna, że moje niepowodzenia sprawiają jej radość. Cieszyłaby się z całego serca, gdybym przegrała.

Rebeka Dew twierdzi, że nikomu nie udało się z Julianną zaprzyjaźnić. Wdowy kilkakrotnie zapraszały ją na niedzielne kolacje. Kochane staruszki zawsze tak postępują wobec samotnych ludzi i przygotowują dla nich pyszną sałatkę z kurczęcia. Ale Julianna nie przyjęła zaproszenia. Po paru nieudanych próbach zrezygnowały więc, bo, jak mówi ciocia Kasia, „istnieją pewne granice”.

Podobno Julianna jest bardzo zdolna, pięknie śpiewa i recytuje.

„Wysławia się” - mówi Rebeka Dew.

Ale nikt jej jeszcze nie słyszał. Ciocia Misia kiedyś prosiła ją, żeby wystąpiła na kolacji organizowanej przez Koło Dobroczynne.

- Uważam, że odmówiła w bardzo niegrzeczny sposób - twierdziła ciocia Misia.

- Po prostu odburknęła - dodała Rebeka Dew.

Julianna ma prawie męski, głęboki i niski głos, który brzmi jak grzmot, gdy jest w złym humorze. Nie jest ładna, ale mogłaby jakoś podkreślić swoją urodę. Ma ładną cerę, wspaniałe czarne włosy zawsze ściągnięte do tyłu w bezkształtny węzeł. Jej oczy pod grubymi czarnymi brwiami są bursztynowe i jasne. Ponadto ma uszy, których nie musi się wstydzić, i ręce, najpiękniejsze, jakie widziałam. Również jej usta są ładnie wykrojone. Ale ubiera się okropnie. Posiada szczególne zdolności w dobieraniu kolorów i fasonów, których nie powinna nosić. Lubuje się w przyszarzałej zieleni i różnych odcieniach szarego, choć ani zieleń, ani szary nie pasują do jej bladej cery. Z upodobaniem też nosi pasiaste sukienki, które

jej wysoką i chudą figurę czynią jeszcze wyższą i chudsza, a na domiar złego są zawsze tak wygniecione, jakby w nich spała.

Zachowuje się wręcz odpychająco. Nie znałam jeszcze osoby o równie kłótlwym - usposobieniu. Gdy spotykam ją w szkole, zawsze mam wrażenie, że myśli o mnie jakieś straszne rzeczy. Ilekroć odezwę się do niej, czuję, że powiedziałam coś niewłaściwego. Mimo to żal mi jej, chociaż wiem, że z wściekłością odrzuciłaby moje współczucie. Nie mogę jej pomóc, bo nie życzy sobie tego. Zachowuje się tak, jakby mnie nienawidziła z całego serca.

Pewnego dnia, gdy zebraliśmy się w trójkę w pokoju nauczycielskim, zrobiłam coś, co zdaje się wykroczyło nieco poza niepisane prawa szkoły. Julianna powiedziała ostro:

- Pewnie pani myśli, panno Shirley, że jest pani wyższa ponad wszelkie prawa.

Innym razem, gdy wystąpiłam z propozycją korzystnych według mnie innowacji, stwierdziła pogardliwie:

- Nie obchodzą mnie bajki.

Wreszcie, gdy pochwaliłam jej metody i wyniki pracy, spytała:

- No, a gdzie w tych całych słodkościach jest owa gorzka pigułka do przełknięcia?

Ale to, co mnie zabiło najbardziej... Raz wpadł mi w ręce jej dziennik. Spojrzałam na stronę tytułową i powiedziałam:

- Jak to miło, że ma pani na imię Julianna, a nie Julia. Julianna brzmi daleko bardziej dystyngowanie i powabnie.

Nie odpowiedziała mi ani jednym słowem, ale od następnego dnia zaczęła się podpisywać „Julia Brooke”. Gdy to zauważyłam, płakałam przez całą drogę do domu.

Dawno porzuciłabym myśl o zaprzyjaźnieniu się z nią, gdyby nie podświadome przekonanie, że pod maską szorstkości i powściągliwości ukrywa tęsknotę za przyjaźnią.

Nie wiem, czybym tutaj wytrzymała, żyjąc w atmosferze zatrutej nienawiści Julianny i Pringle’ów, gdyby nie Twoje listy, kochana Rebeka Dew i mała Elżbieta.

Gdyż wreszcie poznałam małą Elżbietę. Jest przesłodkim stworzeniem.

Trzy dni temu zaniósłłam szklankę mleka do furki w murze i zamiast Kobiety zastałam tam małą Elżbietę. Głowa dziewczynki trochę wystawała nad sztachety i jej twarz widniała w obramowaniu liści bluszczu. Jest to mała, rozmarzona, blada i złocista osóbką. Patrząc na mnie w półmroku oczy były duże i złotoorzechowe. Srebrzystozłotawe włosy, rozdzielone pośrodku i gładko przyczesane grzebieniem, spadały w falach na ramiona dziecka. W błękitnej sukience wyglądała jak królewna z krainy elfów. Jest delikatna i krucha. Sprawia wrażenie niedożywionej, lecz nie cieleśnie, ale duchowo. Wydaje się żyć bardziej

wśród nierealnych cieni księżycowych nocy niż na radosnym, oblanym słonecznym światłem świecie.

- A więc ty jesteś Elżbieta? - powiedziałam.

- Dzisiaj nie - odparła poważnie. - Dzisiejszego wieczoru jestem Elą, ponieważ kocham cały świat. Wczoraj byłam Elżbietą, a jutro zapewne będę Elunią. To zależy od mojego nastroju.

Słowa te świadczyły, że spotkałam pokrewną duszę.

- Jak miło jest nosić imię, które tak łatwo się zmienia, a zawsze pozostaje twoim własnym - powiedziałam.

Mała Elżbieta skinęła potakująco głową.

- Mogę je bardzo różnie przekształcać. Elka i Elżbietka, i Eliza, i Liza lub Elżunia. Ale nie Elżusia. Nigdy nie czuję się jak Elżusia.

- Rozumiem cię - powiedziałam.

- Czy pani myśli, że to głupio z mojej strony, panno Shirley? Babcia i Kobieta tak uważają.

- Wcale nie głupio. To bardzo mądre i miłe - odparłam.

Mała Elżbieta spojrzała na mnie ponad szklanką szeroko otwartymi oczami. Czułam, że zastanawia się, jaka właściwie jestem i czy można obdarzyć mnie zaufaniem. Widocznie oceniła mnie pozytywnie, bo poprosiła o coś - a mała Elżbieta nigdy nie zwraca się z prośbą do ludzi, których nie lubi.

- Czy mogłaby pani wziąć kota na ręce? Chciałabym go pogłaskać. Marcin ocierał się o moje nogi. Podniosłam go z ziemi, a ona wyciągnęła szczupłą rączkę i z zachwytem pogłaskała go po głowie.

- O wiele bardziej wolę koty niż małe dzieci - powiedziała patrząc na mnie z dziwnym wyrazem wyzwania na twarzy. Najwidoczniej spodziewała się pełnej oburzenia reakcji z mojej strony, ale mimo to musiała wypowiedzieć, co czuła.

- Przypuszczam, że nie miałaś zbyt dużo do czynienia z dziećmi i nie wiesz, jakie to słodkie stworzenia - powiedziałam uśmiechając się. - Czy masz własnego kotka?

- O nie, babcia nie lubi kotów. A Kobieta wprost ich nie znosi. Kobieta wyszła dziś wieczorem i dlatego mogłam tu sama przyjść. Bardzo lubię przychodzić po mleko, bo Rebeka Dew jest taka miła.

- Czy żałujesz, że nie ona dała ci je dzisiaj? - spytałam z uśmiechem.

Elżbieta ponownie potrząsnęła głową.

- Nie. Pani też jest miła. Bardzo chciałam panią poznać, ale obawiałam się, że to nie nastąpi przed nadejściem Jutra.

Rozmawiałyśmy przez parę minut, podczas gdy Elżbieta wolno sączyła mleko ze szklanki. Opowiedziała mi wszystko o Jutrze. Kobieta co prawda zapewniała ją kiedyś, że Jutro nigdy nie nadejdzie, ale mała Elżbieta uważa, że wie lepiej. Kiedyś nadejdzie... Pewnego pięknego poranka okaże się, że jest Jutro. Nie Dziś, ale Jutro. I wówczas zdarzy się tyle cudownych rzeczy. Może nawet uda jej się robić przez cały dzień tylko to, na co ma ochotę? I nikt nie będzie jej upominał? Chociaż wydaje mi się, że Elżbieta uważa, iż byłoby to zbyt piękne, aby mogło się zdarzyć kiedykolwiek - nawet Jutro. A może odkryje, co znajduje się na końcu drogi wiodącej do przystani - tej krętej drogi, podobnej do czerwonego węża? Elżbieta przypuszcza, że prowadzi ona na koniec świata. Prawdopodobnie właśnie tam istnieje Wyspa Szczęścia. Gdzieś przecież musi być. W jej przystani stoją zakotwiczone wszystkie statki, które nie wróciły do portów. Jutro Elżbieta na pewno odnajdzie tę wyspę.

- Gdy nadejdzie Jutro - powiedziała - będę miała milion psów i czterdzieści pięć kotów. Kiedy babcia nie zgodziła się, żebym miała kotka, powiedziałam jej o tym, panno Shirley. Bardzo się rozgniewała. Powiedziała: „Nie jestem przyzwyczajona, aby mówiono do mnie w ten sposób, panno Impertynentko”. Posłała mnie do łóżka bez kolacji, a ja przecież nie chciałam być impertynencka. I nie mogłam zasnąć, bo Kobieta powiedziała, że знаła dziecko, które umarło we śnie po tym, jak zachowało się impertynencko.

Gdy Elżbieta wysączyła ostatnią kropelkę mleka, pod świerkami rozległo się donośne stukanie w okiennicę. Myślę, że obserwowano nas przez cały czas. Moja mała królewna elfów pobiegła do domu. Chwilę jeszcze jej złota główka migotała na tle ciemnej ściany świerków.

- Jest to małe stworzenie o niesłychanie bujnej wyobraźni - powiedziała Rebeka Dew, gdy zdałam jej relację ze swej przygody. - Pewnego dnia Elżbieta spytała mnie: „Czy pani boi się lwów, Rebeko Dew?” „Nigdy żadnego nie widziałam, więc nie mogę ci powiedzieć” - odparłam. „Jutro będzie dużo lwów - ona na to - ale to będą miłe, przyjacielskie lwy”. „Dziecko, oczy ci się wywrócą w głowie, jeśli będziesz tak patrzyła” - powiedziałam, bo spoglądała poprzez mnie, jakbym była ze szkła, na to coś, co widziała w tym swoim Jutrze. „Mam głębokie i poważne myśli. Rebeko Dew” - odparta. Cały kłopot polega na tym, że to dziecko za mało się śmieje.

Uświadomiłam sobie, że rzeczywiście Elżbieta ani razu nie roześmiała się podczas naszej rozmowy. Pewnie nie nauczyła się śmiać. Wielki dom, w którym mieszka, jest tak samotny, spokojny i smutny. Nawet teraz, gdy świat tonie w powodzi jesiennych barw,

wygląda ponuro i nieciekawie. Mała Elżbieta jest zbyt wsłuchana w szepty, które nosi w sobie.

Myślę, że jedno z moich zadań w Summerside będzie polegało na tym, żeby nauczyć ją się śmiać.

*Pańska najczulsza
i najwierniejsza przyjaciółka
Anna Shirley*

P S Również z listu babci cioci Misi.

III

Szumiące Topole
Aleja Duchów. Summerside
25 października

Kochany Gilbercie!

Wyobraź sobie, że byłam na kolacji na Klonowym Wzgórzu. Dostałam zaproszenie napisane własnoręcznie przez pannę Helenę. Rebeka Dew była tym bardzo podniecona - nie oczekiwała, że panny Pringle kiedykolwiek zwrócą na mnie uwagę. Ale z całkowitą pewnością siebie stwierdziła, że to zaproszenie nie wypływa z dobrych intencji.

- Na pewno mają jakieś złe zamiary - powiedziała. W duchu się z nią zgadzałam.

- Musi się pani ubrać w najładniejszą sukienkę - rozkazała.

Włożyłam więc tę z kremowego jedwabiu, przypięłam do niej purpurowe fiołki i ułożyłam włosy inaczej niż zazwyczaj, z głęboką falą nad czołem, gdyż jest mi w tym uczesaniu do twarzy.

Panie z Klonowego Wzgórza są w pewien sposób zachwycające. Mogłabym je pokochać, gdyby mi pozwoliły.

Klonowe Wzgórze to wyniosły, elegancki budynek, otoczony wysokimi drzewami, które oddzielają go od innych zwykłych, pospolitych domów. Przy schodach wiodących do drzwi frontowych rośnie masa bożych drzewek, przywiezionych ze starego kraju przez pierwszego emigranta z rodu Pringle'ów. W sadzie stoi wielka postać kobieca z białego drewna. Swego czasu zdobiła dziób starego statku kapitana Abrahama Pringle'a: „Idź i zapytaj ją”. Obok portretu kapitana w salonie wisi miecz innego Pringle'a, który brał udział w bitwie pod Minden. Kapitan był ojcem panien Pringle i są one z niego nadzwyczajnie dumne.

Ponad czarnymi od dymu okapami kominków wiszą stateczne zwierciadła. W szklanych puzdrach leżą sztuczne kwiaty. Obrazy przedstawiające piękne statki sprzed wieków, wianek z włosów, zawierający włos każdego członka rodziny Pringle'ów, wielkie konchy i kapa na łożu, piękna jak w bajce, pobudzają do snucia nie kończących się marzeń.

Siadłyśmy w mahoniowych fotelach w salonie. Ściany były pokryte tapetą w srebrne pasy. W oknach wisiały zasłony z ciężkiego brokatu. Na jednym z marmurowych stołów stał piękny model statku „Idź i zapytaj ją”, z karmazynowymi burtami i białośnieżnymi żaglami. Z pułapu zwisał ogromny kryształowy żyrandol z dzwoneczkami. Szczególnie spodobało mi się wielkie, okrągłe lustro z zegarem pośrodku. Zapewne kapitan Pringle przywiózł je z

dalekich stron świata. Przepiękne. Chciałabym mieć podobne, gdy zamieszkamy w naszym Wymarzonym Domu.

Szlachetne damy były rozmowne i niesłychanie grzeczne. Panna Helena pokazała mi chyba milion lub coś koło tego fotografii Pringle'ów i wiele dagerotypów oprawnych w skórzane ramki. Wielki kot wszedł do pokoju, skoczył mi na kolana i natychmiast został przez pannę Helenę wyrzucony za drzwi. Przeprosiła mnie za ten incydent, ale podejrzewam, że potem przeprosiła także kota.

Rozmowę podtrzymywała głównie panna Helena. Panna Sara, drobna staruszka w czarnej jedwabnej sukni o wykrochmalonej na sztywno spódnicy, ze śnieżnobiałymi włosami i równie jak suknia czarnymi oczyma, ze szczupłymi, pokrytymi siecią niebieskich żyłek dłońmi, złożonymi na podołku wśród bogatych koronek, wyglądała niemal na zbyt wątłą, by mówić. Ale mam wrażenie, Gilbercie, że wszyscy Pringle'owie z panną Heleną na czele tańczą tak, jak ona im gra.

Na stole leżał piękny lniany obrus, sztucce były srebrne, woda do picia zimna, a kolacja wspaniała. Potrawy podawała służąca, która wyglądała równie arystokratycznie i nieprzystępnie jak panie domu. Panna Sara udawała głuchą, gdy się do niej odzywałam. Miałam wrażenie, że zaraz się udławię. Opuściła mnie cała odwaga. Czułam się jak mucha w sieci pająka.

Gilbercie, nigdy, nigdy nie wygram z Królewską Rodziną. Czuję już, że po Nowym Roku zrezygnuję z posady. Nie mam żadnych szans w walce z takim klanem.

Mimo to, gdy patrzyłam na ten stary dom, nie mogłam się oprzeć uczuciu litości. Kiedyś był zamieszkany... żył... ludzie rodzili się tu, umierali; ich udziałem były miłość, radość, strach, rozpacz, nienawiść. Teraz nie pozostało nic oprócz wspomnień i dumy, którymi żyją starsze panie.

Ciocia Misia jest w złym humorze, gdyż przy rozkładaniu świeżej pościeli na moim łóżku znalazła na prześcieradle zagniecenie w kształcie łyzy. Podobno oznacza to rychłą śmierć w rodzinie. Ciocia Kasia czuje się wytrącona z równowagi tymi zabobonami. Ja jednak lubię przesądnych ludzi. Nadają koloryt życiu. Świat byłby nudny, gdyby żyli na nim tylko ludzie mądrzy, dobrzy i rozsądni. O czym byśmy wówczas rozmawiali?

Przedwczoraj zdarzyła się u nas katastrofa. Marcin pozostał na dworze przez całą noc, pomimo stentorowych krzyków „kici, kici” Rebeki Dew. A gdy wrócił rano... Och, jak wyglądał ten kot! Jedno oko zapuchnięte, na mordce bryła błota, złamany pazur i brudna sierść. Ale za to ile triumfu było w jego zdrowym oku! Wdowy przeraziły się widząc, jak wygląda, a Rebeka Dew powiedziała z radością:

- Ten Kot do tej pory nie stoczył ani jednej porządnej walki. Założę się, że jego przeciwnik wygląda dużo gorzej.

Nad zatoką wisi mgła, zamazując czerwoną drogę, którą pragnie zbadać mała Elżbieta. We wszystkich ogrodach w mieście pali się chwasty i zeschłe liście. Zapach dymu i mgła czynią Aleję Duchów niesamowitym, fascynującym, zaczarowanym miejscem.

Mała Elżbieta i ja jesteśmy przyjaciółkami. Spotykamy się każdego wieczoru, gdyż teraz mała Elżbieta sama przychodzi po mleko. Kobieta leży z „bronkitem”, jak mówi Rebeka Dew. Dziewczynka czeka na mnie przy furtce. Cienie zmierzchu odbijają się w jej oczach. Rozmawiamy rozdzielone furtką, której nie otwierano od lat. Elżbieta pije mleko najwolniej, jak może, żeby przedłużyć naszą pogawędkę. Gdy wysączy ostatnią kroplę, rozlega się stukanie w okiennicę, które oznacza, że ma wracać do domu.

Jednym ze zdarzeń, których Elżbieta oczekuje Jutro, jest list od ojca. Jeszcze nigdy do niej nie napisał. Ciekawa jestem, co ten człowiek sobie myśli.

- Widzi pani, panno Shirley, on nie może znieść mojego widoku - powiedziała mi mała Elżbieta. - Ale może mógłby do mnie napisać?

- Kto ci powiedział, że on nie może znieść twojego widoku? - spytałam z oburzeniem.

- Kobieta. - (Zawsze gdy Elżbieta wypowiada to słowo, widzę Kobietę podobną do wielkiej, kanciastej litery „K”). - I to musi być prawda, bo inaczej by napisał albo przyjechał, żeby mnie zobaczyć.

Tego wieczoru była Elżunią - tylko w takim nastroju mówi o ojcu. Gdy jest Elą, robi śmieszne miny za plecami babci i Kobiety, lecz skoro przemieni się w Elżunię, żałuje tego i uważa, że powinna je przeprosić. Nigdy jednak nie ma dość odwagi, by to uczynić. Bardzo rzadko bywa Elżbietą. Wówczas ma twarz osoby, która słyszy śpiew wrózek i wie, o czym rozmawiają róże i goździki. Jest przedziwnym, wrażliwym niby liść topoli stworzonkiem i kocham ją. Do pasji doprowadza mnie myśl, że te dwie okropne stare kobiety zmuszają ją do spania po ciemku.

- Kobieta mówi, że jestem już dość duża, żeby spać bez światła. Ale ja czuję się mała, panno Shirley, bo noc jest taka wielka i straszna. W moim pokoju stoi wypchany kruk. Boję się go. Kobieta powiedziała, że on wykluje mi oczy, jeśli będę płakała. Oczywiście nie wierzę w to, panno Shirley, ale mimo to się boję. Wszystko tak szepce do siebie w nocy. Ale Jutro wcale nie będę się bała. Niczego? nawet tego, że mnie porwą.

- Czy istnieje takie niebezpieczeństwo, Elżbieto?

- Kobieta powiedziała, że tak, jeśli pójdę gdzieś sama i będę rozmawiała z obcymi ludźmi. Ale pani nie jest obcą osobą, panno Shirley?

- Nie, kochanie. Ty i ja na pewno się Jutro odnajdziemy - odpowiedziałam.

IV

Szumiące Topole
Aleja Duchów, Summerside
10 listopada

Najdroższy!

Ostatnia pieśń jesieni już przebrzmiała. Wieczory są tak chłodne, że Rebeka Dew wstawiła do mojego pokoju mały, pyzaty piecyk. Nie istnieje chyba nic, czego ta kobieta nie umiałaby zrobić. Gdy wracam ze szkoły, czeka na mnie rozpalony piecyk i rozkosznie ciepły pokój. Piecyk jest maleńki - z pewnością najmniejszy na świecie, bo mogłabym sama podnieść go do góry. Na swych czterech żelaznych nogach wygląda jak żywy, czarny pies. Skoro napelni się go brykietami i zapali je, rozżarza się na czerwono i cudownie ogrzewa mój pokój, czyniąc go jeszcze bardziej przytulnym. Myślę wtedy, że piece to wspaniały wynalazek. Siedzę teraz z opartymi o niego stopami i piszę do Ciebie na kolanie.

Prawie wszyscy mieszkańcy Summerside są na zabawie u Hardy Pringle'a. Mnie nie zaproszono. Rebeka Dew jest z tego powodu tak wściekła, że nie chciałabym być Marcinem. Lecz gdy przypomnę sobie piękną i głupią córkę Hardy'ego, Mirę, jak w klasówce próbuje udowodnić, że „kanty” są równe na podstawie podobieństwa trójkątów równoramiennych, wybaczam całemu klanowi. W zeszłym tygodniu całkiem poważnie zaliczyła drzewo genealogiczne w poczet drzew. Ale, aby być sprawiedliwą, muszę przyznać, że tak okropne błędy robią nie tylko uczniowie z Królewskiej Rodziny. Ostatnio Blake Fenton powiedział, że aligator to „duży gatunek owadów”. Oto rozkosze nauczycielskiego żywota.

Chyba spadnie śnieg. Lubię wieczory, w które czuje się, że nadejdzie śnieg. Wiatr wieje „wśród wież i drzew”, co sprawia, że mój przytulny pokój wydaje się jeszcze miłszy. Dziś wieczorem z osiki opadnie ostatni złoty liść.

Sądzę, że zaproszono mnie już do wszystkich domów - mam na myśli domy moich uczniów, mieszkających zarówno w mieście, jak i okolicy. I, Gilbercie, jestem tak chora przez konfitury z dyni. Nigdy, nigdy nie pozwól, żebym usmażyła konfitury z dyni w naszym Wymarzonym Domu!

Niemal na każdej kolacji, na którą mnie proszono, podawano konfitury z dyni. Za pierwszym razem bardzo mi smakowały - były tak złociste, że wydawało mi się, że jem promienie słońca i nieostrożnie zdradziłam się z tym. Natychmiast w mieście rozgłoszono, że lubię konfitury z dyni, i ludzie przygotowywali je specjalnie dla mnie. Wczoraj miałam iść do

pana Hamiltona. Rebeka Dew zapewniła mnie, że nie będę musiała tam jeść konfitur z dyni, gdyż Hamiltonowie ich nie lubią. Ale gdy usiedliśmy do stołu, przy swoim nakryciu zobaczyłam dzbanek z rżniętego szkła pełen konfitur.

- Nie mam konfitur z dyni własnej roboty - powiedziała pani Hamilton, nakładając mi szczerze ogromną porcję. - Ale słyszałam, że pani je bardzo lubi, więc w ostatnią niedzielę poszłam do kuzynki do Cichej Doliny i mówię: „W tym tygodniu mam na kolacji pannę Shirley, a ona przepada za konfiturami z dyni. Daj mi słoik”. Uczyniła to - oto cały dzbanek. Może pani zabrać do domu to, co pozostanie.

Szkoda, że nie widziałeś miny Rebeki Dew, gdy wróciłam od Hamiltonów niosąc prawie pełen słoik konfitur z dyni! Nikt ich u nas nie jada, więc ciemną nocą, chyłkiem, zakopaliśmy je w ogrodzie.

- Chyba nie napisze pani o tym opowiadania? - spytała Rebeka Dew z niepokojem. Od kiedy odkryła, że od czasu do czasu pisuję krótkie fantastyczne historyjki do czasopism, żyje w strachu - lub nadziei, tego nie wiem - że napiszę opowiadanie o wszystkim, co się dzieje w Szumiących Topolach. Pragnie, bym opisała Pringle'ów i nie żałowała im przykrych słów. Niestety, to Pringle'owie są obecnie górą, a walka z nimi i praca w szkole tak mnie pochłaniają, że na pisanie nie starcza czasu.

W ogrodzie pozostały tylko zwiędłe liście i suche łodygi. Rebeka Dew opatulila krzewy różane słomą i nakryła je pudłami po pomidorach. W półmroku wygląda to jak grupa czarnych, garbatych ludzi, opierających się o skrzynie.

Dostałam pocztówkę od Tadzia, który przesyła mi całusy, i list od Priscilli, napisany na papierze, który przysłał jej „przyjaciel z Japonii”. Na gładkich kartkach majaczą nierealnie zarysowane kwiaty wiśni. Zaczynają się we mnie budzić pewne podejrzenia co do tego przyjaciela. Lecz Twój list był najpiękniejszym podarunkiem, jaki ofiarował mi dzisiejszy dzień. Czytałam go cztery razy, żeby nasycić się każdym słowem - niczym pies wylizujący talerz do czysta. Nie jest to romantyczne porównanie, ale właśnie ono mi przyszło do głowy. Mimo to listy, nawet najmiłsze, nie wystarczają. Chcę zobaczyć Ciebie. Jestem zadowolona, że tylko parę tygodni zostało do Bożego Narodzenia.

V

Pewnego późnego listopadowego wieczoru Ania, siedząca w oknie swej wieży z końcem pióra w ustach, rozmarzonymi oczami spojrzała na pogrążony w mroku świat i pomyślała, że chętnie poszłaby pospacerować po starym cmentarzu. Nie była tam jeszcze, gdyż wybierała na swe wieczorne wędrówki raczej klonowy zagajnik lub drogę wiodącą do przystani. Lecz w listopadzie zawsze nastaje okres, gdy z drzew opadną wszystkie liście, a wówczas niemal nieprzyzwoitością byłoby narzucać się lasom, gdyż ich chwała ziemską przeminęła, a chwała niebiańskiej czystości i bieli jeszcze nie nadeszła. Ania zdecydowała więc, że tym razem wybierze się na cmentarz. Czuła się tak bezradna i pozbawiona ducha, że cmentarz wydawał jej się stosunkowo pogodnym miejscem. Nawiasem mówiąc, był on pełen Pringle'ów, jak twierdziła Rebeka Dew. Od lat chowali tu swoich zmarłych, przedkładając go nad nowy. Ania poczuła, że naoczne stwierdzenie, ilu niezdolnych do dalszego dokuczania ludziom Pringle'ów tam leży, podniesie ją na duchu.

Walka z Królewską Rodziną doprowadziła ją do krańca wytrzymałości nerwowej. Sytuacja wydawała się żywcem wyjęta z koszmarnego snu. Zorganizowana przez Jankę kampania nieposłuszeństwa i nieposzanowania osiągnęła szczyt. Tydzień temu Ania zadała starszej klasie wypracowanie na temat „Najważniejsze wydarzenie tygodnia”. Janka napisała doskonałą pracę - to półdiabłą było zdolne - i podstępnie zamieściła w niej obelgę, uderzającą w nauczycielkę, obelgę tak wyraźną, że nie można było jej zignorować. Ania posłała dziewczynkę do domu. Zaznaczyła też, że Janka będzie musiała ją przeprosić, nim wróci na lekcje. Wydarzenie to dołało oliwy do ognia. Między Anią i Pringle'ami wybuchła otwarta wojna. Biedaczka nie miała wątpliwości, kto wygra. Szkoła trzymała z Pringle'ami i Ani pozostawało dokonanie wyboru między zezwoleniem na powrót Janki a złożeniem rezygnacji.

Była bardzo rozgoryczona. Zrobiła wszystko, co mogła, i na pewno odniosłaby sukces, gdyby dano jej w walce uczciwą szansę.

„To nie moja wina - myślała z żalem. - Kto by pokonał przeciwnika walczącego w taki sposób?”

Lecz wracać pokonaną na Zielone Wzgórze? Znieść wypytywania pani Małgorzaty Linde i triumf Pye'ów? Nawet współczucie przyjaciół byłoby udręką. Poza tym jeśli jej porażka w Summerside zostanie rozgłoszona na całej Wyspie, nie uzyska pracy w żadnej innej szkole.

Dobrze chociaż, że nie udały im się zamiary pogwałcenia jej przy wystawieniu sztuki. Ania roześmiała się złośliwie na to wspomnienie, a jej oczy zabłysły posępną radością.

Zorganizowała w szkole Klub Dramatyczny i postanowiła wystawić krótką sztukę. Od dawna skrycie marzyła o zakupieniu sztuchów do klas. Fundusze uzyskane z przedstawienia pragnęła przeznaczyć na ten cel. Zmusiła się, żeby zaprosić do współpracy Juliannę Brooke, bo było jej żal starszej koleżanki, zawsze pozostawianej na boku. Niestety, Julianna zachowywała się tak nieprzyjemnie, że Ania gorzko żałowała swego kroku. Rzadko się zdarzało, żeby próba minęła bez przykrych uwag, które Julianna wypowiadała z lubością. Co gorsza, nalegała, żeby rolę Marii Stuart powierzyć Jance Pringle.

- Nikt inny w szkole nie podola tej roli - twierdziła. - Nikt nie ma odpowiedniej prezencji.

Ania nie była tego tak pewna. Uważała, że daleko lepszą Marią Stuart byłaby Zosia Sinclair, wysoka dziewczyna o orzechowych oczach i bogatych kasztanowatych włosach. Ale Zosia nie należała do Klubu i nigdy nie brała udziału w żadnym przedstawieniu.

- Nie chcemy tutaj żółtodziobów. Nie mam zamiaru przykładać się do imprezy skazanej na niepowodzenie - powiedziała kąśliwym tonem Julianna i Ania musiała się poddać.

Janka rzeczywiście dobrze radziła sobie z trudną rolą. Miała wrodzone zdolności aktorskie i najwyraźniej grała z przejęciem. Próby odbywały się cztery razy w tygodniu. Z pozoru wszystko szło dobrze. Janka wydawała się tak zainteresowana sztuką, że zupełnie przyzwoicie zachowywała się na próbach. Ania pozostawiła ją pod opieką Julianny, nie wtrącając się zupełnie do sprawy przygotowania jej do przedstawienia. Kilkakrotnie zauważyła na twarzy Janki uśmiech pełen posępnego triumfu, co ją zastanawiało i dziwiło. Nie mogła odgadnąć, jaka była jego przyczyna.

W parę dni po rozpoczęciu prób Ania znalazła w szatni Zosię Sinclair pograżoną we łzach. Dziewczynka pospiesznie otarła oczy i zrazu nie chciała powiedzieć, dlaczego płacze. Ale po chwili wyznała z rozpaczą:

- Tak bardzo chciałam grać w tej sztuce... być królową Marią - szlochała. - Nigdy nie miałam żadnej szansy, żeby występować. Ojciec nie pozwolił mi zapisać się do Klubu, bo musiałabym płacić składki, a każdy cent jest tyle wart. I oczywiście nie mam żadnego doświadczenia scenicznego. Zawsze kochałam królową Marię... sam dźwięk jej imienia

porusza mnie do głębi. Nie wierzę, nigdy nie uwierzę, że miała coś wspólnego z zamordowaniem Darnleya^{*}. Cudownie byłoby wyobrazić sobie przez chwilę, że nią jestem.

Później Ania doszła do wniosku, że to anioł stróż podsunął jej odpowiedź:

- Przepiszę dla ciebie tę partię, Zosiu, i przygotuję cię. To będzie dla ciebie doskonała wprawa. Poza tym, o ile sztuka odniesie sukces, mamy zamiar wystawić ją w paru miejscowościach, przyda się zastępczyni na wypadek, gdyby Janka nie mogła grać. Ale nikomu o tym nie powiemy.

Zosia nauczyła się tekstu na pamięć. Codziennie po szkole szła z Anią do Szumiących Topoli i powtarzała swą rolę w pokoju na wieży. Miło spędzały razem czas.

Sztuka miała być wystawiona w sali miejskiej w pierwszy piątek listopada. Szeroko ją rozreklamowano i miejsca były wyprzedane co do jednego. Ania i Julianna dekorowały salę przez dwa wieczory. Zawieszono kurtynę. Z Charlottetown miała przyjechać znana śpiewaczka, aby wystąpić w antraktach. Próba kostiumowa wypadła wspaniale. Janka grała znakomicie, a reszta starała się jej dorównać.

W piątek rano Janki nie było w szkole. Po południu przyszedł list od jej matki. Janka rozchorowała się na gardło. Należy się obawiać zapalenia migdałków. To rzeczywiście wielka szkoda, ale w takiej sytuacji nie może być mowy o tym, żeby wzięła udział w przedstawieniu.

Julianna i Ania spojrzały na siebie. Po raz pierwszy łączyło je wspólne zmartwienie.

- Musimy odwołać przedstawienie - powiedziała wolno Julianna. - A to oznacza niepowodzenie. W grudniu idzie za dużo innych sztuk. Zawsze uważałam, że próba wystawienia sztuki o tej porze roku jest głupotą.

- Nie zrezygnujemy - odparła Ania, której oczy były w tej chwili równie zielone jak oczy Janki. Nie zamierzała dzielić się z Julianną myślą, że zapalenie migdałków groziło Jance nie bardziej niż którejś z nich. Nawet jeśli inni Pringle'owie nie maczali w tym palców, cała ta historia była ukartowana z góry, żeby zepsuć przedstawienie, któremu patronowała Ania.

- Ach, jeśli pani tak uważa! - rzekła Julianna wzruszając ramionami. - Ale co pani ma zamiar zrobić? Znaleźć kogoś, kto przeczyta rolę? To na nic. Właściwie cała ta sztuka to popis Marii.

- Rolę tę równie dobrze jak Janka zagra Zosia Sinclair. Kostium będzie na nią pasował. Szczęśliwie to pani go ma. Dobrze, że nie dałyśmy go Jance.

Przedstawienie odbyło się przy pełnej sali. Zachwycona Zosia grała Marię - była Marią, jakiej z pewnością nie stworzyłaby Janka; w szumiących sukniach, koronkach i

^{*} Henry Stewart Darnley (1545-1567) - drugi mąż królowej szkockiej Marii Stuart, zginął wskutek spisku kierowanego przez doradcę Marii, J. H. Bothwella, rzekomo za jej zgodą.

bizuterii wyglądała jak Maria. Uczniowie wyższej szkoły w Summerside, którzy dotychczas widywali Zosię ubraną w niezgrabne, wypłowiałe i ciemne sukienki, płaszczy przypominający worek i bezkształtny kapelusz, patrzyli na nią ze zdumieniem. Natychmiast postanowiono, że musi zostać stałym członkiem Klubu Dramatycznego. Ania osobiście zapłaciła za nią składkę członkowską. Od tego dnia Zosia zaczęła „się liczyć” w kołach uczniowskich Summerside. Lecz nikomu, a najmniej samej bohaterce, nie śniło się, że tego wieczoru uczyniła pierwszy krok na drodze, która miała ją zaprowadzić do gwiazd. W dwadzieścia lat później Zofia Sinclair była jedną z najlepszych aktorek Ameryki. Ale prawdopodobnie żadne oklaski nie brzmiały w jej uszach tak miło, jak gorący aplauz, którym uczczono ją, gdy opadła kurtyna w miejskiej sali w Summerside.

Pani Jakubowa Pringle zaniósła do domu relację z przedstawienia. Oczy Janki zzieleniałyby z pewnością, gdyby nie były takie z natury. Rebeka Dew z zadowoleniem stwierdziła, że chociaż raz Janka dostała nauczkę. Prawdopodobnie obelżywe wypracowanie miało ścisły związek z tą sprawą.

Ania poszła na cmentarz porytą głębokimi koleinami drogą, między wysokimi omszałymi kamieniami i paprociami, na których srebrzyście lśnił szron. Wysmukłe topole włoskie cieszyły się ostatnimi liśćmi pozostawionymi przez listopadowe wiatry. Ich pnie rysowały się ciemno na tle odległych ametystowych wzgórz. Cmentarz był otoczony ścianą starych, mrocznych świerków, w których cieniu rysowały się ukośnie leżące nagrobki. Ania nie spodziewała się tu kogokolwiek zastać. Poczuli się więc nieprzyjemnie dotknięci, gdy w furtce spotkała pannę Walentyne Courtloe; osobę o długim delikatnym nosie, wąskich delikatnych ustach, spadzistych delikatnych ramionach i ogólnym wyglądem damy świadomej swej wartości.

Ania, jak wszyscy w Summerside, знаła pannę Walentyne. Była ona miejscową krawcową, i to, czego nie wiedziała o ludziach żywych czy umarłych, nie było godne niczyjej uwagi. Ania chciała samotnie pospacerować, gdy jednak panna Walentyna ujęła ją pod rękę i zaczęła „czynić honory” cmentarza, nie mogła uciec. Leżało tutaj równie wielu Courtloe’ów, co Pringle’ów. W żyłach panny Walentyny nie płynęła ani jedna kropla krwi Pringle’ów, a jej siostrzeniec należał do grupy ulubionych uczniów Ani. Uprzejme zachowanie się wobec niej nie wymagało więc wielkiego wysiłku.

- Jakże się cieszę, że przypadkiem przyszedłam tu dzisiaj - powiedziała panna Walentyna. - Mogę pani opowiedzieć o wszystkich ludziach tutaj pogrzebanych. Zawsze mówię, że aby przyjemnie spędzić czas na cmentarzu, trzeba znać zalety i wady umarłych. Wolę spacerować tu niż po nowym cmentarzu. Tutaj pochowane są tylko stare rodziny, a na

nowym grzebią każdego pierwszego lepszego Toma, Henryka czy Dicka. W tym rogu leżą Courtloe'owie. Mieliśmy strasznie dużo pogrzebów w naszej rodzinie.

- Chyba można to powiedzieć o każdej starej rodzinie - odezwała się Ania, gdyż panna Walentyna najwyraźniej oczekiwała od niej jakiejś reakcji.

- Ależ proszę nie mówić, że w każdej rodzinie było tyle pogrzebów co w naszej - rzekła panna Walentyna z urazą w głosie. - Jesteśmy niezwykle skłonni do zapadania na suchoty. Większość z nas umarła na tę chorobę. Oto grób mojej ciotki Elizy. Jeśli w ogóle bywali święci, należała do nich na pewno. Ale nie ulega wątpliwości, że ciekawiej rozmawiało się z jej siostrą, ciotką Cecylią. Gdy widziałam ją po raz ostatni, powiedziała do mnie: „Siadaj, kochanie, siadaj. Zamierzam umrzeć dziś dziesięć minut po jedenastej, ale to nie przeszkadza, byśmy sobie ucięły ostatnią pogawędkę”. Co dziwniejsze, panno Shirley, zmarła rzeczywiście tamtej nocy dziesięć minut po jedenastej. Czy może mi pani powiedzieć, skąd ona o tym wiedziała?

Ania nie mogła.

- Tutaj jest pochowany mój pradziadek Courtloe. Przyjechał na Wyspę w tysiąc siedemset sześćdziesiątym roku i utrzymywał się z wyrobu kołowrotek. Słyszałam, że w ciągu całego życia zrobił ich tysiąc czterysta. Gdy umarł, pastor w mowie pogrzebowej zacytował werset „praca ich postąpi za nimi”. A stary Myrom Pringle powiedział, że w takim razie za moim prapradziadkiem droga do nieba powinna być zapchana kołowrotekami. Czy pani uważa, że to było w dobrym guście?

Gdyby opinię tę wypowiedział ktoś nie należący do rodziny Pringle'ów, Ania pewnie nie odpowiedziałaby tak zdecydowanie: „Oczywiście, że nie”. Patrzyła przy tym na nagrobek ozdobiony czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, jakby również powątpiewała w dobry gust tegoż.

- Moja kuzynka Dora leży tutaj. Miała trzech mężów, ale wszyscy bardzo wcześnie zmarli. Biedna Dora, wydawało się, że nie może trafić na zdrowego mężczyznę. Ostatnim jej mężem był Benjamin Bannig - nie pochowany tutaj, leży w Cichej Dolinie obok swojej pierwszej żony - i wcale nie chciał umierać. Nie mógł pogodzić się ze śmiercią. Dora mówiła mu, że przecież odchodzi do lepszego świata. „Być może, być może - odpowiadał biedny Benjamin - ale ja naprawdę przywykłem do niedoskonałości tego”. Przyjął sześćdziesiąt jeden rodzajów lekarstw, ale mimo to długo ociagał się z umieraniem. Cała rodzina wuja Dawida Courtloe'a leży tutaj. U stóp każdego grobu rosną królewskie róże, a jak kwitną! Każdego lata przychodzę i zrywam je. Ładnie wyglądają w wazonie, a szkoda, żeby się tu marnowały, prawda?

- Przy... przypuszczam.

- Moja biedna młodsza siostra, Henryka, leży tu - westchnęła panna Walentyna. - Miała wspaniałe włosy, mniej więcej tego koloru co pani... może nie aż tak czerwone. Sięgały jej do kolan. Gdy umarła, była zaręczona. Mówiono mi, że pani też jest zaręczona. Nigdy nie chciałam wyjść za mąż, ale myślę, że miło jest być zaręczoną. Oczywiście miałam kilka okazji. Pewnie byłam zbyt wybredna... Ale panna Courtloe nie mogła wyjść za byle kogo, prawda?

Bez wątpienia była to prawda.

- Frank Digby... w tamtym kącie... pragnął mnie poślubić. Było mi trochę przykro, gdy dałam mu kosza. Ale Digby, mój Boże! Ożenił się z Georginią Troop. Zawsze spóźniała się do kościoła, żeby zrobić na wiernych wrażenie swoim wejściem i strojami. Bardzo lubiła się stroić. Pochowali ją w takiej ładnej niebieskiej sukience; uszyła ją na wesele, a w końcu posłużyła do trumny. Miała troje słodkich dzieci. Zazwyczaj siedziały w kościele naprzeciwko mnie i zawsze dawałam im cukierki. Czy pani uważa, że to niewłaściwe dawać dzieciom cukierki w kościele? Nie miętowe... to byłoby w porządku, w miętowych cukierkach jest coś religijnego, nie sądzi pani? Ale biedne dzieci ich nie lubiły.

Gdy wyczerpały się plotki o Courtloe'ach, uwagi panny Walentyny nabrały szczypty ironii.

- Stara pani Russelowa Pringle leży tu. Jestem bardzo ciekawa, czy poszła do nieba.

- Ależ dlaczego? - wyjąkała zaskoczona Ania.

- Nienawidziła swojej siostry, Anny Marii, która zmarła parę miesięcy wcześniej. „Jeśli Anna Maria jest w niebie, ja tam nie zabawię” - mówiła. A była to kobieta, która zawsze dotrzymywała raz danego słowa, kochanie... Jak wszyscy Pringle'owie. Urodziła się jako Pringle'ówna i poślubiła swego kuzyna Russela. Tutaj leży pani Danielowa Pringle - Żaneta Bird. Umarła w swoje siedemdziesiąte urodziny. Powiadają, że uważała za niestosowne umrzeć o dzień później, bo siedemdziesiątka to biblijny limit. Ludzie opowiadają śmieszne rzeczy, prawda? Podobno odejście z tego świata było jedynym wyczynem, na jaki się odważyła nie pytając męża o zgodę. Czy pani wie, kochanie, co on zrobił, kiedy kupiła kapelusz, który mu się nie zanadto spodobał?

- Nie mam pojęcia.

- Zjadł go - oświadczyła panna Walentyna uroczyście. - Naturalnie to był mały kapelusz... trochę koronek i kwiatów, żadnej skóry. Niemniej musiał być dość niestrawny. Sądzę, że potem Daniel miał przez jakiś czas okropne bóle żołądka. Oczywiście nie

widziałam go, jak jadł kapelusz, ale zapewniano mnie, że ta historia jest prawdziwa. A jak pani myśli?

- Skłonna jestem uwierzyć we wszystko o Pringle'ach - powiedziała Ania z goryczą.

Panna Walentyna serdecznie przycisnęła jej ramię do boku.

- Współczuję pani, doprawdy współczuję. Traktują panią w oburzający sposób. Ale Summerside to nie tylko Pringle'owie, panno Shirley.

- Czasem myślę, że tylko - odparła Ania z żalonym uśmiechem.

- Nieprawda. I jest wiele ludzi, którzy ucieszyliby się, gdyby pani wygrała w tej walce. Niech się pani nie przejmuje tym, co oni wyprawiają. Po prostu wlaź w nich stary diabeł i tyle. Oni bardzo ze sobą trzymają, a panna Sara pragnęła, żeby to jej kuzyn został kierownikiem szkoły.

- „Pamięci panny Kinsey” - przeczytała Ania ze zdziwieniem. - Co za niezwykle napis! Czy ona nie miała imienia?

- Nawet jeśli miała, nikt go nie znał - powiedziała panna Walentyna. - Przybyła z Nowej Szkocji i przez czterdzieści lat pracowała u Jerzego Pringle'a. Podała się za pannę Kinsey i wszyscy tak ją nazywali. Zmarła nagle i wtedy się okazało, że nikt nie znał jej imienia. Nie miała krewnych, no i nie można było się tego dowiedzieć. A więc dali na nagrobku taki napis. Jerzy Pringle pochował ją bardzo przyzwoicie i zapłacił za pomnik. Była oddanym i pracowitym stworzeniem, ale ilekroć na nią spojrzałam, uświadamiałam sobie, że urodziła się jako Kinsey. Tu leżą Jakub Morley i jego żona. Byłam na ich złotym weselu: zamieszanie, ruch, podarunki, kwiaty, dzieci, mowy, ukłony i uśmiechy, a przecież nienawidzili się serdecznie przez całe życie.

- Nienawidzili się?

- Z całego serca, kochanie. Każdy o tym wiedział. Trwało to przez lata, faktycznie niemal od dnia wesela. Kłócili się już w powrotnej drodze z kościoła po ślubie. Zawsze się dziwiłam, jakim cudem udaje im się tutaj leżeć tak spokojnie jedno obok drugiego.

Ania zadrżała. Jakie to okropne - siedzieć naprzeciwko siebie przy stole, leżeć obok siebie w nocy i nienawidzić się przez cały czas! Z pewnością musieli się kiedyś kochać. Czyż byłoby możliwe, aby ona i Gilbert... Nonsens. To tylko Pringle'owie rozstrajają jej nerwy.

- Przystojny Jan MacTabb jest pochowany tutaj. Zawsze podejrzewano, że to z jego powodu utopiła się Aneta Kennedy. MacTabbowie byli przystojni, ale nie można było wierzyć ani jednemu ich słowu. Kiedyś leżał tu kamień ku pamięci wuja Jana MacTabba, Samuela, o którym powiadano, że utonął w morzu pięćdziesiąt lat temu. Gdy niespodziewanie wrócił do domu, jego rodzina zabrała kamień z cmentarza. Człowiek, od którego kamień

kupiono, nie chciał go przyjąć z powrotem, więc pani Samuelowa zrobiła sobie z niego stolnicę. Zagniatać ciasto na płycie marmurowej! Twierdziła, że nagrobek doskonale nadaje się do tego celu. Dzieci MacTabbów przynosiły do szkoły kruche ciasteczka wypieku matki, z odcisniętymi literami i figurami... fragmentami epitafium! Rozdawały je w klasie, ale ja nigdy nie zdołałam się zmusić, żeby zjeść chociaż jedno. Jestem dość dziwna pod tym względem. Harley Pringle leży tutaj. Kiedyś przegrał zakład o wynik wyborów i musiał wozić Piotra MacTabba w taczce przez całe miasto. Wszyscy mieszkańcy Summerside wylegli, żeby to zobaczyć... Oprócz Pringle'ów, naturalnie. Oni niemal umarli ze wstydu.

- To oczywiście jest pomnik nagrobny kapitana Abrahama Pringle'a.

Pomnik ten dominował nad cmentarzem. Cztery kamienne płyty tworzyły piedestał, z którego wyrastał potężny filar z marmuru, ukoronowany dziwaczną urną. Poniżej gruby cherubinek dął w róg.

- Jakie to brzydkie - powiedziała Ania szczerze.

- O, czy naprawdę pani tak uważa? - panna Walentyna była wyraźnie zaskoczona. - Gdy go postaviono, wszystkim bardzo się podobał. Prawdopodobnie to jest Gabriel, który dmie w swoją trąbę. Wydaje mi się, że ten pomnik dodaje cmentarzowi elegancji. Kosztował dziewięćset dolarów. Kapitan Abraham był bardzo miłym starszym panem. Szkoda, że umarł. Gdyby żył, Pringle'owie nie prześladowaliby pani w taki sposób. Nie dziwię się, że Sara i Helena są z niego dumne, choć trochę już z tym przesadzają.

W bramie cmentarza Ania odwróciła się, by jeszcze raz na niego spojrzeć. Panowała dziwna, pełna niebiańskiego spokoju cisza, której nie zakłócał wiatr ani szum drzew. Długie promienie księżycowego światła z wolna docierały do ciemniejących świerków, dotykały płyt nagrobnych i pogłębiały leżące między nimi cienie. Lecz mimo wszystko cmentarz ten nie był smutnym miejscem. Po wysłuchaniu opowiadań panny Walentyny ludzie leżący tutaj wydawali się Ani żywi.

- Słyszałam, że pani pisze - powiedziała panna Walentyna z niepokojem w głosie, gdy wyszły za bramę. - Nie wspomni pani w swych nowelach o tym, co pani powiedziałam, prawda?

- Może pani być tego pewna - obiecała Ania.

- Czy pani myśli, że to źle... lub niebezpiecznie... mówić niedobrze o umarłych? - wyszeptała niespokojnie panna Walentyna.

- Nie przypuszczam - odparła Ania. - Tylko... trochę nieładnie, podobnie jak bić kogoś, kto nie może się bronić. Ale pani nie powiedziała niczego strasznego o nikim, panno Walentyno.

VI

Dziś wieczorem skierowałam swe kroki na cmentarz - pisała Ania do Gilberta po powrocie do domu. - Uważam, że zwrot „skierować kroki” jest piękny, i używam go wszędzie, gdzie mogę. Spacer ten był dla mnie rozrywką, chociaż może wydawać się śmieszne, żeby dobrze się bawić na cmentarzu. Panna Courtloe opowiadała tyle zabawnych historii. Komedia i tragedia przeplatają się w życiu, Gilbertcie, nierozdzielnie ze sobą związane. Przeraziło mnie tylko opowiadanie o dwojgu ludziach, którzy przeżyli wspólnie pięćdziesiąt lat, nienawidząc się wzajemnie. Nie mogę uwierzyć, że oni naprawdę się nienawidzili. Ktoś powiedział: „nienawiść to po prostu miłość, która zblądziła z drogi”. Jestem pewna, że pomimo nienawiści, jednak się kochali... podobnie jak ja kochałam Cię przez te wszystkie lata, kiedy myślałam, że Cię nienawidzę. Sądzę, że śmierć otworzyła im oczy. Jak to dobrze, że ja zrozumiałam to za życia. Ponadto odkryłam, że bywają przyzwoici Pringle'owie - ci, którzy umarli.

Wczoraj wieczorem, gdy zeszłam na dół do spiżarni, żeby wypić szklankę wody, zastałam tam ciocię Kasię nakładającą na twarz maseczkę ze śmietanki. Prosiła, żebym nie mówiła nic cioci Misi, która uznałaby te zabiegi za głupie. Obiecałam, że nie powiem.

Elżbieta stale przychodzi po mleko, chociaż Kobieta dawno już wyzdrowiała. Dziwię się, że małej pozwalają na rozmowy ze mną, bo przecież pani Campbell pochodzi z rodziny Pringle'ów. W ostatnią sobotę Elżbieta - sądzę, że była wtedy Elżunią - skończywszy mleko, pobiegła do domu ze śpiewem na ustach. Usłyszałam, jak Kobieta powiedziała do niej:

- Jest za daleko do niedzieli, żebyś śpiewała tę piosenkę.

Jestem pewna, że Kobieta, gdyby mogła, zabroniłaby Elżbiecie śpiewać nawet w niedzielę.

Tego wieczoru Elżbieta miała na sobie ładną sukienkę koloru ciemnego wina - rzeczywiście dobrze ją ubierają - i rzekła z rozmarzeniem:

- Gdy dziś włożyłam tę sukienkę, pomyślałam, że ładnie wyglądam, panno Shirley, i zapragnęłam, żeby tata mnie zobaczył. Oczywiście, że zobaczy mnie Jutro. Ale czasem Jutro wydaje się tak odległe... Chciałabym móc przyspieszyć bieg czasu, panno Shirley.

- Gilbertcie, jeśli kochasz mnie i ród koci, pomódl się za biednego kota o złamanym sercu. Pewnego dnia mysz przebiegła przez stopę Rebeki Dew w spiżarni. Rebeka Dew do dziś dnia jest wściekła.

- Ten Kot nic nie robi, tylko je, śpi i pozwala myszom biegać po całym domu. To już jest szczyt wszystkiego!

Gania go więc z kąta w kąt, zrzuca z jego ulubionej poduszki i - wiem, bo złapałam ją na tym - niezbyt uprzejmie pomaga mu kopniakiem wychodzić na dwór.

VII

Pewnego piątkowego wieczoru, pod koniec słonecznego grudniowego dnia, Ania pojechała na kolację do Cichej Doliny. Mieszkał tam u wuja Wilfryd Bryce. Kilka dni temu spytał nieśmiało, czy Ania nie zechciałaby towarzyszyć mu po lekcjach, aby zjeść świąteczną kolację i pozostać na sobotę. Ania zgodziła się. Chciała porozmawiać z wujem Wilfryda i namówić go, żeby nie odbierał chłopca ze szkoły. Wilfryd obawiał się, że po Nowym Roku nie wróci już na lekcje, a ponieważ był zdolny i ambitny, Ania żywo interesowała się jego losem.

Nie bawiła się zbyt dobrze na przyjęciu. Wujostwo Wilfryda byli dość dziwaczną i prymitywną parą. Tylko świadomość, że chłopiec cieszy się z jej wizyty, podtrzymywała Anię na duchu.

Sobotni ranek był wietrzny i ciemny. Zanosilo się na śnieżycę. Ania z niepokojem zastanawiała się, jak spędzić dzień. Po świątecznej kolacji, która przeciągnęła się do późnej nocy, czuła się zmęczona i niewyspana. Wilfryd w sobotę musiał pomagać wujowi w gospodarstwie, a w dziwnym tym domu nie było książek. Ania nagle przypomniała sobie starą, poobijaną marynarską skrzynię, którą poprzedniego dnia dostrzegła w holu. Skrzynia ta nasunęła jej myśl o pani Stanton. Pani Stanton spisywała historię Wyspy i kiedyś pytała Anię, czy nie mogłaby ona pomóc jej wyszukać stare dokumenty lub pamiętniki przydatne w tej pracy.

- Oczywiście mnóstwo dokumentów mają Pringle'owie - powiedziała pani Stanton do Ani. - Ale ich nie mogę prosić. Wie pani, że Stantonowie i Pringle'owie nigdy nie żyli w przyjaźni.

- Niestety, ja też nie mogę ich” prosić - odrzekła Ania.

- O, nie żądam tego od pani. Chcę tylko, żeby miała pani otwarte oczy podczas wizyt w różnych domach. Jeśli znajdzie pani stare dzienniki czy mapy, czy cokolwiek takiego - niech pani spróbuje je dla mnie uzyskać. Nie ma pani pojęcia, jakie ciekawe rzeczy już znalazłam w starych dziennikach - fragmenty dotyczące codziennego życia, które uczyniły starych, dawno zmarłych pionierów tej ziemi na powrót żywymi. Chciałabym w mojej książce zamieścić również i takie ciekawostki, nie tylko statystyki i tablice genealogiczne.

Ania spytała panią Bryce, czy nie ma jakichś starych dokumentów. Zapytana potrząsnęła głową.

- O ile wiem, to nie - powiedziała. - Chociaż - rozjaśniła się - jest tu skrzynia starego wuja Andy'ego. Może tam coś się znajdzie. Pływał z kapitanem Abrahamem Pringlem. Pójdę i spytam Duncana, czy może pani pogrzebać w tym kufrze.

Duncan wyraził zgodę, by panna Shirley „grzebała” we wszystkim, na co ma ochotę, a jeśli znajdzie jakieś stare „dokumenta”, może je sobie zabrać. Dawno już zamierzał spalić te szpargały i zrobić z kufra skrzynkę na narzędzia.

Ania zaczęła więc grzebać w rzeczach Andy'ego. Znalazła tylko dawny, pożółkły pamiętnik, a raczej dziennik, spisywany przez starego marynarza przez długie lata żeglowania po morzach. Zainteresowana i rozbawiona spędziła wietrzne popołudnie pogrążona w lekturze wspomnień Andy'ego. Całą swą wiedzę zdobył on na morzu. Odbył wiele wypraw z kapitanem Abrahamem Pringlem, którego najwyraźniej ogromnie podziwiał. Dziennik był właściwie nieortograficznie i niegramatycznie napisanym hymnem na cześć kapitana Pringle'a. Andy zachwycił się odwagą i pomysłowością kapitana. Szczególnie dużo miejsca poświęcił mężnemu zachowaniu Abrahama Pringle'a podczas niebezpiecznej walki niedaleko przylądka Horn. Mniej szacunku Andy żywił dla brata kapitana, Myroma, który też był kapitanem, ale pływał na innym statku.

„U Myromów Pringle dziś wieczorem. Żona doprowadziła go do pasji i rzucił jej w twarz szklankę wody”.

„Myrom jest w domu. Jego statek spłonął i ratowali się w łodziach. O mało co nie poumierali z głodu. W końcu zjedli Jonasza Selkirka, który się zastrzelił. Żywili się nim, dopóki statek »Mary G.« ich nie zabrał. Myrom powiedział mi o tym. Wydawało się, że uważa to za dobry kawał”.

Ania wstrząsnęła się. Beznamiętna relacja Andy'ego czyniła tę historię jeszcze bardziej przerażającą. Zamyśliła się. Dziennik nie zawierał nic, co mogło być użyteczne dla pani Stanton, lecz czy stare panny Pringle nie zainteresowałyby się wspomnieniami w dużej mierze poświęconymi uwielbianemu przez nie ojcu? A gdyby tak posłać im dziennik Andy'ego? Przecież Duncan Bryce powiedział, że może zrobić ze „starymi szpargałami” wszystko, co chce.

Nie, nie pośle. Z jakiego powodu miałyby sprawiać im przyjemność i pochlebiać ich idiotycznej dumie, i tak już wystarczająco wielkiej? Postanowiły usunąć ją ze szkoły i zdawały się odnosić sukces. One i ich klan ją pokonują.

Wieczorem Wilfryd odwiózł Anię do Szumiących Topoli. Obydwoje byli zadowoleni. Ania uprosiła Duncana Bryce'a, żeby pozwolił Wilfrydowi uczyć się w szkole w Summerside do końca tego roku szkolnego.

- Potem może uda mi się dostać na Uniwersytet Królewski na rok, a potem będę pracował jako nauczyciel i sam dalej się kształcił - powiedział Wilfryd. - Czy zdołam się kiedykolwiek pani odwdziaczyć, panno Shirley? Wuj nie uległby nikomu innemu. Lubi panią. W stodole powiedział do mnie: „Czerwonowłose kobiety mogą ze mną zrobić wszystko, co chcą”.

Ale nie sądzę, żeby to było tylko dzięki pani włosom, panno Shirley, chociaż są one bardzo piękne... Po prostu - to pani go prosiła.

O drugiej w nocy Ania obudziła się z postanowieniem, że pošle dziennik Andy'ego na Klonowe Wzgórze. Mimo wszystko trochę lubiła starsze panie. Tak niewiele przyjemności je spotykało, właściwie żyły tylko dumą z ojca. O trzeciej obudziła się ponownie i postanowiła, że nie da im dziennika. Przecież panna Sara w rozmowie z nią udawała głuchą! O czwartej znów zmieniła decyzję. Pośle dziennik. Nie będzie małostkowa. Jeszcze nie zeszła do poziomu Pye'ów. (Ania nade wszystko obawiała się, żeby się nie stać podobną do Pye'ów).

Uspokojona zapadła w drzemkę. Jak miło jest obudzić się w nocy i usłyszeć pierwszą burzę śnieżną, huczącą wokół domu... A potem zawinąć się w ciepłą kołdrę i powrócić do krainy marzeń sennych.

W poniedziałek rano starannie zapakowała stary dziennik i posłała go pannie Sarze, załączając krótki liścik:

„Droga panno Pringle!

Ciekawa jestem, czy zainteresuje Panią ten dziennik. Pan Bryce dał mi go dla pani Stanton, która spisuje historię Wyspy, lecz wydaje mi się, że dla niej nie będzie on przedstawiał żadnej wartości. Myślę, że może raczej Pani chciałaby go posiadać. „

Z poważaniem

Anna Shirley”

„Jest to okropnie sztywny list - myślała Ania - ale nie mogę pisać do nich w bardziej naturalny sposób. Wcale nie byłabym zdziwiona, gdyby pogardliwie odesłały mi dziennik”.

Pewnego błękitnego zimowego wieczoru Rebeka Dew doznała największego szoku w swoim życiu. Wśród prószącego śniegu Aleją Duchów nadjechał powóz z Klonowego Wzgórza i zatrzymał się przed głównym wejściem. Wysiadła z niego panna Helena, a za nią - ku zdumieniu wszystkich - panna Sara, która nie opuszczała Klonowego Wzgórza od dziesięciu lat.

- Idą do frontowych drzwi! - wyjąkała w panice Rebeka Dew.

- A do jakich miałyby iść Pringle'ówny? - spytała ciocia Kasia.

- Oczywiście... oczywiście... Ale te drzwi się zacinają - powiedziała Rebeka Dew tragicznym tonem. - Zacinają się, przecież pani wie. I nie były otwierane od zeszłorocznych porządków wiosennych. To już jest szczyt wszystkiego!

Drzwi frontowe zacięły się rzeczywiście, ale Rebeka Dew desperackim szarpnięciem zmusiła je, żeby się otworzyły, po czym zaprowadziła panny z Klonowego Wzgórza do salonu.

„Chwała Bogu, że napaliłam dzisiaj w tym pokoju - myślała. - Mam nadzieję, że Ten Kot nie zostawił włosów na sofie. Gdyby Sara Pringle na swej sukni znalazła włos z kociej sierści, pochodzący z naszego salonu...”

Rebeka Dew nie ośmieliła się przewidywać konsekwencji. Zawołała Anię, bo panna Sara spytała, czy panna Shirley jest w domu. Potem zamknęła się w kuchni, na pół przytomna z ciekawości, co też mogło spowodować stare panny Pringle do panny Shirley.

„Jeśli tu chodzi o jakieś dalsze prześladowania...” - myślała ponuro.

Ania schodziła na dół pełna niepokoju. Czyżby panny Pringle chciały z druzgocącą pogardą oddać jej dziennik?

Na jej widok maleńka, pomarszczona panna Sara podniosła się z fotela i bez wstępów rzekła:

- Przyszliśmy, żeby przyznać się do kapitulacji. Nie możemy zrobić nic innego - pani oczywiście wiedziała o tym, gdy przysłała nam pani tę skandaliczną zapiskę o stryju Myromie. To nie jest prawda, to nie mogła być prawda. Stryj po prostu zakpił sobie z Andy’ego Bryce’a... Andy był taki łatwowierny. Ale wszyscy nasi wrogowie chętnie uwierzą w tę plotkę. Wiedziała pani od razu, że może pani uczynić z nas pośmiewisko - lub coś jeszcze innego. Och, pani jest bardzo inteligentna. Przyznajemy to. Janka przeprosi panią i będzie zachowywała się bez zarzutu. Ja, Sara Pringle, zapewniam panią o tym. Jeśli tylko pani obieca, że nie powie pani ani pani Stanton, ani nikomu, to zrobimy wszystko. Wszystko!

Panna Sara nerwowo szarpała koronkową chusteczkę w małych dłoniach pokrytych siecią niebieskich żyłek. Najwyraźniej drżała.

Ania spojrzała na nią ze zdumieniem i przerażeniem. Biedne staruszki! Sądziły, że ona im grozi!

- Och, pani mnie zupełnie źle zrozumiała! - wykrzyknęła, ujmując szczupłe dłonie panny Sary. - Och, nigdy, nigdy nie sądziłam, że pani pomyśli, iż próbuję... Och, po prostu pomyślałam, że będzie pani chciała mieć pamiętnik, pełen tylu ciekawych szczegółów o pani wspaniałym ojcu. Nigdy nie miałam zamiaru mówić lub pokazywać komukolwiek tego fragmentu. Uważam, że jest mało istotny. Nigdy nie powiem nic nikomu!

Zapadło milczenie. Wreszcie panna Sara delikatnie uwolniła swe ręce z uścisku Ani, podniosła chusteczkę do oczu i usiadła. Na jej pomarszczonej twarzy ukazał się słaby rumieniec.

- My... źle panią zrozumieliśmy, kochanie. I... byliśmy dla pani nie mile. Czy może nam pani wybaczyć?

W pół godziny później - w którym to czasie Rebeka Dew mało nie umarła z ciekawości - panny Pringle odjechały. Spędziły czas na miłej pogawędce i dyskusji o niedrażliwych ustępach dziennika Andy'ego. W drzwiach frontowych panna Sara (która tym razem doskonale słyszała) odwróciła się i wyjęła z torebki kawałek zapisanego drobnym, kanciastym pismem papieru.

- Byłabym zapomniała. Obiecałyśmy kiedyś pani MacLean przepis na ciasto. Czy mogłaby pani go jej przekazać? Proszę też powiedzieć, że najważniejszy jest proces wyrastania ciasta - doprawdy, decydujący. Heleno, beret zjechał ci na ucho. Popraw go, zanim ruszymy. Byliśmy... byliśmy trochę podniecone, gdy wychodziłyśmy z domu.

Ania wytłumaczyła ciociom i Rebecce Dew, że panny Pringle przyjechały, aby podziękować za ofiarowany im przez nią dziennik Andy'ego. Wdowy zadowolily się jej wyjaśnieniem, ale Rebeka Dew podejrzewała, że kryje się za tym coś więcej. Wdzięczność za stary, zniszczony, poplamiony tabaką dziennik nie przywiodłaby Sary Pringle do frontowych drzwi Szumiących Topoli. Panna Shirley była skryta... bardzo skryta!

Po tym wydarzeniu Rebeka Dew przysięgła sobie:

- Zamierzam od czasu do czasu otwierać frontowe drzwi. Po prostu, żeby się nie zastały. Przeleciałam prawie przez cały dom, gdy wreszcie je otworzyłam. W każdym razie mamy przepis na ciasto. Trzydzieści sześć jajek! Gdyby panie wyrzuciły Tego Kota i pozwoliły mi hodować kury, mogłybyśmy sobie na nie pozwolić raz do roku.

Następnie Rebeka Dew pomaszzerowała do kuchni i dała wyraz pogodzeniu się ze smutnym losem, przygotowując dla Tego Kota mleko, chociaż wiedziała, że wolałby kawałek wątróbki.

Wojna Shirley - Pringle została zakończona z powodów znanych tylko Pringle'om. Całe Summerside pojęło, że panna Shirley sama jedna zdołała w jakiś tajemniczy sposób pokonać klan. Od tej pory wszyscy jego członkowie jedli jej z ręki". Janka wróciła do szkoły i potulnie przy całej klasie przeprosiła Anię. Była odtąd wzorową uczennicą, a reszta uczniów naśladowała ją. Antagonizm dorosłych Pringle'ów znikł jak mgła w słońcu. Nie było już żadnych skarg co do przestrzegania dyscypliny czy zadawania pracy domowej. Żadnych subtelnych, wyrafinowanych i pogardliwych plotek o pochodzeniu Ani... Wszyscy starali się

prześcigać wzajemnie w uprzejmości wobec niej. Żadna zabawa ani zebranie nie mogło się odbyć bez jej udziału. Gdyż, aczkolwiek panna Sara własnoręcznie wrzuciła fatalny dziennik w ogień, pamięć była pamięcią i panna Shirley miałaby piękną historię do opowiadania, gdyby chciała. A łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarłaby w Summerside wieść, że kapitan Myrom Pringle był ludożercą!

VIII

(Wyjątek z listu do Gilberta)

Jestem w mojej wieży, a Rebeka Dew w kuchni śpiewa kolędy. Przypomina mi to, że żona pastora zaproponowała, abym zapisała się do chóru. Oczywiście to Pringle'owie jej powiedzieli, żeby tak zrobiła. A więc gdy na niedzielę zostanę w Summerside, będę śpiewała w kościele. Pringle'owie wyciągnęli do mnie przyjazną rękę - zaakceptowali mnie całkowicie. To jest dopiero klan!

Zaproszono mnie już na trzy wieczory urządzone przez Pringle'ów. Nie chcę być złośliwa ani pochlebiać sobie, ale mam wrażenie, że wszystkie dziewczęta w tej rodzinie czeszą się tak jak ja. „Naśladowanie jest najszczęśliwszym pochlebstwem”. I, Gilberte, ja naprawdę bardzo lubię Pringle'ów... Zawsze wiedziałam, że ich polubię, jeśli mi to umożliwią. Zaczynam podejrzewać, że wcześniej czy później polubię nawet Jankę. Potrafi być czarująca, gdy chce, a jest jasne, że teraz bardzo chce.

Wczoraj wieczorem weszłam do jaskini lwa albo, innymi słowy, śmiało wstąpiłam po schodach Wiecznej Zieleni na kwadratowy ganek, ozdobiony pomalowanymi na biało urnami. Zadzwoiłam do drzwi. Gdy panna Monkman mi otworzyła, spytałam, czy nie mogłabym „pożyczyć” małej Elżbiety na spacer. Spodziewałam się odmownej odpowiedzi. Lecz Kobieta odeszła na chwilę, by porozumieć się z panią Campbell, a po powrocie oznajmiła posępnie, że Elżbieta może iść, ale starsza pani prosi, żebym nie zatrzymywała dziewczynki na dworze do późnej nocy. Czyżby nawet pani Campbell dostała odpowiednie instrukcje od panny Sary?

Elżbieta tanecznym krokiem zbiegła po schodach. W czerwonym płaszczyku i zielonej czapeczce wyglądała jak duszek. Ledwo mówiła z radości.

- Czuję się tak przejęta, panno Shirley - wyszeptała, gdy wyszłyśmy na drogę. - Jestem Elżunią... Zawsze jestem Elżunią, gdy tak się czuję.

Poszłyśmy w dół drogi, która prowadzi na Koniec Świata, tak daleko, jak miałyśmy odwagę. Port, tonący w ciemności pod karmazynowym niebem, na którym widniały ostatnie blaski zachodzącego słońca, wydawał się należeć do świata zapomnianych baśniowych krain, tajemniczych wysp i niezbadanych mórz. Dreszcz przeszył nas obie na tę myśl.

- Panno Shirley - chciała wiedzieć Elżbieta - czy mogłybyśmy dostać się do miejsca, gdzie zachodzi słońce, gdybyśmy wytrwale biegły?

Przypomniał mi się Jaś i jego marzenia o krainie zachodzącego słońca.

- Musimy poczekać z tym do Jutra - odrzekłam. - Spójrz, Elżuniu, na tę wyspę z chmur ponad wejściem do przystani. Wyobraźmy sobie, że to jest twoja Wyspa Szczęścia.

- Gdzieś tu leży pewna wyspa - powiedziała Elżbieta marząco. - Nazywa się Latająca Chmura. To ładna nazwa, prawda? Nazwa pasująca do Jutra. Mogę ją - tę wyspę - oglądać z okien strychu. Należy do pana z Bostonu, który ma tam domek letni. Ale wyobrażam sobie, że jest moja.

Zanim odeszła, ucałowałam buzię Elżbiety. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej oczu, Gilbercie. To dziecko umiera z tęsknoty za miłością. Dziś wieczorem, gdy przyszła po mleko, zobaczyłam, że płakała.

- One... one zmusiły mnie, żebym zmyła pani pocałunek, panno Shirley - wyszłochała. - Zamierzałam już nigdy nie myć twarzy. Ślubowałam to sobie, ponieważ, wie pani, nie chciałam zmyć pani pocałunku. Rano poszłam do szkoły nie myjąc twarzy, ale wieczorem Kobieta po prostu wzięła mnie i zdrapała go szczotką.

Zachowałam poważną minę.

- Nie mogłabyś nie myć twarzy do końca życia, kochanie. Ale nie martw się o pocałunek. Będę cię całowała każdego wieczoru, gdy przyjdiesz po mleko, a wówczas to, że nazajutrz umyjesz twarz, nie będzie miało większego znaczenia.

Pani jest jedyną osobą na świecie, która mnie kocha - powiedziała Elżbieta. - Gdy pani do mnie mówi, czuję zapach fiołków.

Czy ktokolwiek kiedyś usłyszał piękniejszy komplement? Ale nie mogłam przejść do porządku dziennego nad tym, co powiedziała wcześniej.

- Twoja babcia cię kocha, Elżbieto.

- Nie. Ona mnie nienawidzi.

- Jesteś troszkę głupiutka, kochanie. Twoja babcia i panna Monkman to stare kobiety, a starzy ludzie łatwo się denerwują i byle co im przeszkadza. To oczywiste, że czasem wydajesz się im męcząca. A poza tym, gdy one były młode, dzieci wychowywano o wiele bardziej surowo niż teraz. One trzymają się dawnych zasad.

Czułam, że nie przekonałam Elżbiety. Mimo wszystko przecież one jej nie kochają i dziewczynka wie o tym. Ostrożnie spojrzała w stronę domu, żeby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte, i powiedziała gwałtownie:

- Babcia i Kobieta to dwa stare tyrany i gdy nadejdzie Jutro, ucieknę od nich na zawsze.

Pewnie myślała, że umrę z przerażenia. Sądę, że powiedziała to głównie w celu wywołania sensacji. Zaśmiałam się wesoło i ucałowałam ją. Mam nadzieję, że Marta Monkman widziała to z kuchni.

Z lewego okna mojej wieży widzę całe Summerside. Jest teraz pełne przyjaznych, białych dachów - nareszcie przyjaznych, od kiedy Pringle'owie wyciągnęli rękę do zgody. Tu i ówdzie na stryszkach i facjatkach migocą światełka. Tu i tam snuje się szary dym niby duch. Wielkie gwiazdy wiszą nisko nad dachami. Oto „drzemiące miasto”. Czyż nie piękny zwrot? Pamiętasz? „Galahad poszedł przez drzemiące miasta”.

Czuję się taka szczęśliwa, Gilbertcie. Nie będę musiała jechać na Zielone Wzgórze pokonana i zdyskredytowana. Życie jest wspaniałe... Wspaniałe!

Podobnie jak ciasto według przepisu panny Sary. Rebeka Dew je upiekła. Pozwoliła mu rosnąć zgodnie ze wskazówkami, co po prostu oznacza, że zawinęła je w kilka arkuszy papieru do pakowania i parę ręczników i zostawiła tak na trzy dni. Mogę je polecić każdemu.

(Czasem mam trudności z gramatyką. Na przykład nie jestem pewna, czy należało tu użyć słowa „polecić” czy „polecać”. Wyobraź sobie, co by było, gdyby Pringle'owie to odkryli, zanim znalazłam dziennik Andy'ego!)

IX

Pewnego wieczoru w lutym, gdy na dworze szalała śnieżycą, a maleńki, rozgrzany do czerwoności piecyk mruczał jak czarny kot, w pokoju na wieży bawiła Trixie Taylor. Zwierzała się Ani z kłopotów. Ania była powiernicą wielu osób. Wiedzano, że jest zaręczona, więc żadna z dziewcząt w Summerside nie obawiała się jej jako ewentualnej rywalki, a było w niej coś, co sprawiało, że powierzanie jej sekretów wydawało się bezpieczne.

Trixie przysła, by poprosić Anię na jutro na kolację. Była wesołym, pulchnym stworzeniem o błyszczących, brązowych oczach i różowych policzkach. Nie wyglądała na kogoś, komu w poważnym wieku dwudziestu lat życie wydaje się ciężkie. Ale i ona miała swoje kłopoty.

- Jutro na kolację przyjedzie do nas doktor Lennox Carter. Właśnie dlatego szczególnie nam zależy, żebyś też była. On jest teraz dziekanem Wydziału Języków Współczesnych w Redmondzie. Jest strasznie zdolny, więc chcemy, żeby ktoś mądry z nim porozmawiał. Wiesz, że jeśli chodzi o inteligencję, nie mamy czym się chwalić, ani ja, ani Piotruś. A Jaśmina... Wiesz, Aniu, Jaśmina to słodkie stworzenie i naprawdę niegłupie, ale jest tak nieśmiała i bojaźliwa, że nie może wykazać się choćby śladem rozumu, gdy w pobliżu znajdzie się doktor Carter. Jest w nim okropnie zakochana. Szkoda. Ja sama jestem bardzo przywiązana do Janka, ale nie popadałabym z jego powodu w taki stan!

- Czy Jaśmina i doktor Carter są zaręczeni?

- Jeszcze nie... - powiedziała Trixie znaczącym tonem. - Ale, Aniu, Jaśmina ma nadzieję, że tym razem on poprosi ją o rękę. Czy przyjechałby na Wyspę w połowie semestru, niby to odwiedzić kuzyna, gdyby nie miał takiego zamiaru? Mam nadzieję, że się oświadczy, bo inaczej Jaśmina chyba umrze. Ale mówiąc między nami, wcale nie pałam pragnieniem, żeby on został moim szwagrem. Sama Jaśmina twierdzi, że on jest beznadziejnie wybredny. Biedaczka boi się, że my mu się nie spodobamy. Wtedy nigdy nie poprosi jej o rękę. Nie masz pojęcia, ile nadziei Jaśmina wiąże z pomyślnym przebiegiem jutrzejszej kolacji. Mama jest doskonałą kucharką, mamy dobrą służącą, a ja przekupiłam połowę mojego kieszonkowego Piotrusia, żeby się dobrze zachowywał. On oczywiście także nie lubi doktora Cartera, mówi, że to zarozumialec, ale jest przywiązany do Jaśminy. Żeby tylko tata nie był w złym humorze.

- Czy masz jakieś powody, żeby się tego obawiać? - spytała Ania. Wszyscy w Summerside wiedzieli o złych humorach Cyrusa Taylora.

- Nigdy nie da się przewidzieć, kiedy to nastąpi - rzekła Trixie smutnie. - Dziś był okropnie zły, bo nie mógł znaleźć swojej flanelowej koszuli nocnej. Jaśmina włożyła ją do niewłaściwej szuflady. Może mu do jutra przejdzie, a może nie. Jeśli nie, to nie będzie się do nas odzywał i doktor Carter dojdzie do wniosku, że nie wypada mu się spowinowacić z taką rodziną. Przynajmniej tak mówi Jaśmina, i obawiam się, że może mieć rację. Sądzę, Aniu, że Lennox Carter bardzo lubi Jaśminę. Myśli, że będzie ona dlań „odpowiednią żoną”. Ale nie chce niczego robić pochopnie i nie zamierza wyrzec się swego wspaniałego Ja”. Podobno powiedział do swego kuzyna, że mężczyzna nigdy nie może być dość ostrożny, gdy chodzi o rodzinę, z jaką się łączy przez małżeństwo. Jest więc w tej chwili w punkcie, z którego lada drobnostka może go zawrócić. I jeśli już o tym mowa, złe humory taty nie są drobnostką.

- Czy twój ojciec nie lubi doktora Cartera?

- O, lubi go, owszem. Uważa, że dla Jaśminy byłaby to cudowna partia. Ale gdy jest w złym humorze, nic nie ma na niego wpływu. Jest uparty jak Pringle. Babcia Taylor była Pringlesz domu. Nie masz pojęcia, co się czasem u nas dzieje. Widzisz, on nigdy nie wpada w pasję jak wuj Jerzy. Rodzina wuja Jerzego nie zwraca uwagi na jego napady. Gdy wuj się rozzłości, wybucha i o trzy domy dalej można słyszeć jego wrzaski. Potem za to jest niczym jagnię i przynosi wszystkim prezenty i suknie na znak pokoju. A ojciec w złości jest ponury, patrzy spode łba i nie odzywa się do nikogo. Jaśmina mówi, że to lepsze niż wysoki Ryszarda Taylora, który zawsze przy stole dokucza żonie sarkastycznymi uwagami. Ale mnie wydaje się, że nic nie jest równie okropne jak to beznadziejne milczenie. Przytłacza nas do tego stopnia, że boimy się otworzyć usta. To by nie było tak okropne, gdyby tata pozwalał sobie na złe humory tylko w naszym towarzystwie. Ale równie często zdarza się to, gdy jesteśmy w szerszym gronie. Jaśmina i ja mamy już serdecznie dosyć ciągłego usprawiedliwiania ojca wobec gości czy gospodarzy. Jaśmina jest po prostu chora ze strachu, że on nie zapomni do jutra o tej koszuli - i co wtedy pomyśli Lennox? Jaśmina prosi, żebyś włożyła niebieską sukienkę. Kupiła sobie nową niebieską suknię, bo Lennox uwielbia ten kolor. Ale za to tata go nie znosi. Jeśli ty też będziesz ubrana na niebiesko, to może tata przekona się do jej sukienki.

- Czy nie lepiej, żeby włożyła co innego?

- Nie ma nic odpowiedniego na taką okazję poza popelinową zieloną sukienką. Dostała ją od ojca na Boże Narodzenie. To śliczna suknia - sama w sobie. Tata lubi, gdy mamy ładne rzeczy. Ale trudno wyobrazić sobie coś bardziej beznadziejnego niż Jaśmina w

zielonym kolorze. Piotruś powiada, że wygląda wtedy jak w ostatnim stadium galopujących suchot. A kuzyn Lennox Cartera powiedział Jaśminie, że Lennox nigdy nie poślubi zbyt delikatnej osoby. Jestem ogromnie rada, że Janek tak nie wybredza.

- Czy powiedziałas ojcu o zaręczynach z Jankiem? - spytała Ania, która wiedziała wszystko o sercowych sprawach Trixie.

- Nie - westchnęła biedna Trixie. - Brak mi odwagi, Aniu. Wiem, że ojciec zrobi okropną scenę. Nigdy nie lubił Janka. Uważa, że on jest biedny. Zapomniał, że sam miał jeszcze mniej pieniędzy, gdy zaczął pracować w handlu wyrobami żelaznymi. Oczywiście powinnam wreszcie mu powiedzieć, ale chcę odczekać, aż wyjaśni się sprawa Jaśminy. Wiem, że tata nie będzie z nami rozmawiał przez wiele tygodni, gdy się dowie o mnie i o Janku. Mama będzie przerażona... Biedactwo, zupełnie nie wytrzymuje humorów taty. Wszyscy jesteśmy tchórzami. Mama i Jaśmina są bojaźliwe z natury, aleja i Piotruś mamy zazwyczaj sporo tupetu. Tylko tata potrafi odebrać nam pewność siebie. Czasem myślę, że gdyby ktoś nas podtrzymał... Ojciec nas po prostu paraliżuje. Nie wyobrażasz sobie nawet, Aniu, jak wygląda u nas proszona kolacja, gdy tata jest w złym humorze. Ale jeśli jutro zachowa się przyzwoicie, przebaczę mu wszystko. Umie być bardzo miły, kiedy chce. Tata jest jak ta mała dziewczynka z Longfellowa: * „gdy jest dobry, jest bardzo dobry, lecz gdy jest zły, jest potworny”.

- Gdy byłam u was na kolacji w ubiegłym miesiącu, wydał mi się bardzo miły.

- Och, on cię lubi. Między innymi i dlatego chcemy, żebyś przyszła. Może wywrzesz na niego dobry wpływ. Nie zaniedbujemy niczego, co sprawia mu przyjemność. Zaplanowałyśmy wspaniałe przyjęcie z kremem pomarańczowym na deser. Mama chciała upiec ciasto, ponieważ uważa że wszyscy mężczyźni na świecie - oprócz taty - wolą dostać na deser ciasto niż cokolwiek innego... nawet profesorowie Wydziału Języków Współczesnych. Ale tata nie cierpi ciast, więc nie ma sensu podawać czegoś takiego na kolację, od której tak wiele zależy. Krem pomarańczowy to ulubiony deser taty. A jeśli chodzi o mnie i o Janka, to sądzę, że któregoś dnia będę musiała z nim uciec i tata nigdy mi nie wybaczy.

- Sądzę, że gdybyś zdobyła się na odwagę, powiedziała mu i potem bohatercko wytrzymała jego złość, przyzwyczaiłby się do tej myśli. A ty nie zamartwiałabyś się na próżno tyle czasu.

- Nie znasz taty - powiedziała Trixie ponuro.

* Henry Wadsworth Longfellow (1807-1882) - amerykański poeta romantyczny.

- Może znam go lepiej niż ty. Straciłaś umiejętność spojrzenia na niego z dystansu. Chodzi mi o to, że żyjąc w jednym domu tak długo, nie potraficie już go zrozumieć. Prawdopodobnie ktoś obcy mógłby ujrzeć go w innym świetle i obiektywniej ocenić jego przywary.

- Wiem tylko, że nic nie zdoła skłonić taty do mówienia, gdy uprze się, żeby nie mówić. Ten upór to jeden z jego powodów do dumy.

- Więc dlaczego wy nie rozmawiacie między sobą jakby nigdy nic?

- Nie możemy. Mówiłam ci przecież, że on nas paraliżuje. Jeśli sprawa nocnej koszuli nie zostanie zapomniana, sama to jutro zrozumiesz. Nie wiem, jak on to robi. Jego złość nie obchodziłaby nas tak bardzo, gdyby się tylko odzywał. To milczenie nas wykańcza. Nigdy mu nie wybaczę, jeśli jutro zrobi przedstawienie. Przecież chodzi o tak wielką rzecz.

- Miejmy nadzieję, że wszystko będzie jak najlepiej, kochanie.

- Zobaczymy. Twoja obecność będzie pomocna. Mama myślała, żeby zaprosić także Juliannę Brooke, ale to nie byłoby dobre ze względu na tatę. Nie znosi jej. Muszę przyznać, że o to nie mam do niego pretensji. Ja także jej nie lubię. Nie wiem, dlaczego jesteś dla niej taka miła!

- Szkoda mi jej, Trixie.

- Szkoda ci jej! Ależ to tylko jej wina, że nikt jej nie lubi. O, oczywiście, na świecie żyją różni ludzie... Ale Summerside mogłoby się obejść bez Julianny Brooke! Stara, ponura kocica!

- Jest nadzwyczajną nauczycielką, Trixie...

- O, bo ja wiem? Byłam w jej klasie. Wbijała mi do głowy różne rzeczy, a zarazem dopiekała do żywego swoimi sarkastycznymi uwagami. A jak ona się ubiera! Tata nie znosi widoku źle ubranej kobiety. Powiada, że kobiety, noszące stare, wypłowiałe szmatki, nie są nikomu potrzebne do szczęścia. Co więcej, jest przekonany, że Pan Bóg podziela jego zdanie. Mama byłaby przerażona, gdyby wiedziała, że powiedziałam ci o tym, Aniu. Wybaczyła ojcu, ponieważ jest on mężczyzną. Gdyby to było wszystko, co musimy mu wybaczać! Biedny Janek, ledwo ośmiela się do nas przychodzić, bo tata jest dla niego niegrzeczny. W ładne wieczory wymykam się z domu i spacerujemy na dworze, aż nam ręce i nogi kostnieją z zimna!

Gdy Trixie wyszła, Ania wydała odgłos, który bardzo przypominał westchnienie ulgi, i zbiegła na dół, żeby dostać coś do jedzenia.

- Idzie pani na kolację do Taylorów? - spytała Rebeka Dew. - Mam nadzieję, że stary Cyrus zachowa się przyzwoicie. Gdyby rodzina nie bała się jego złych humorów, nie

popadałby w nie tak często. Jestem tego pewna. Mówię pani, panno Shirley, że on lubi swoje humorki. Teraz chyba muszę podgrzać mleko dla Tego Kota. Rozpieszczone zwierzę!

X

Gdy nazajutrz wieczorem Ania przyszła do domu Taylorów, od wyczuła mroźną atmosferę. Przestraszona służąca wskazała jej drogę pokoju gościnnego. Na piętrze Ania zobaczyła panią Cyrusową Taylo biegnącą z jadalni do kuchni. Pani Cyrusową ocierała łzy z bladej zniszczonej, lecz ciągle jeszcze dość ładnej twarzy. Było jasne, że Cyrus nie przeszedł do porządku dziennego nad sprawą koszuli nocnej.

Zasmucona Trixie wsunęła się za Anią do pokoju i wyszeptała nerwowo:

- Och, Aniu, on jest w okropnie złym humorze. Rano wydawał się całkiem normalny i nasze nadzieje urosły. Ale po południu Hugo Pringle miał z nim rozgrywkę szachową i wygrał. Tata nie może znieść myśli, że ktoś gra w szachy lepiej od niego. Oczywiście musiało się to zdarzyć dzisiaj. Zobaczył, jak Jaśmina „podziwiała siebie w lustrze” - tak powiedział - i po prostu wyprowadził ją z pokoju i zamknął na klucz. Biedactwo, chciała tylko zobaczyć, czy jest na tyle ładna, żeby spodobać się Carterowi. Nie odważyła się nawet założyć sznurka pereł. A spójrz na mnie. Nie ośmieliłam się nakręcić włosów. Tata nie lubi nienaturalnych loków Wyglądam jak strach na wróble. Oczywiście to jest bez znaczenia, ale sama widzisz. Tata wyrzucił kwiaty, które mama postawiła na stole w jadalni. Bardzo ją to zabolowało... zadała sobie tyle trudu, żeby je zdobyć. I nie pozwolił jej włożyć kolczyków z granatów. Ostatni raz był w podobnie złym humorze poprzedniej wiosny, gdy wrócił z podróży i zobaczył, że mama pod jego nieobecność zawiesiła w salonie czerwone zasłony. On wołałby zielonkawę. Och, Aniu, mów ile wlezie przy stole, bo on będzie milczał. Inaczej... okropność.

- Zrobię, co zdołam - obiecała Ania, której nie zdarzyło się jeszcze, żeby nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy jednak nie była w sytuacji takiej jak obecnie.

Wszyscy zebrali się przy stole. Wyglądał ładnie mimo braku kwiatów. Twarz bojaźliwej pani Cyrusowej była bardziej szara niż jej suknia. Jaśmina - rodzinna piękność o bladozłocistych włosach, bladoróżowych ustach i bladych oczach koloru niezapominajek - wydawała się bledsza niż zazwyczaj i wyglądała tak, jakby miała zamiar zaraz zemdleć. Piotruś, czternastoletni, pyzaty i zawsze pogodny chłopak w okularach, o okrągłych oczach i włosach tak jasnych, że wyglądały jak białe, siedział skulony jak zbity pies. Trixie miała minę przerażonej uczennicy.

Doktor Carter, młody człowiek o ciemnych włosach, błyszczących oczach i w okularach w eleganckiej srebrnej oprawce, był niezaprzeczalnie przystojny i dystyngowany.

Ania pamiętała go ze studiów. Uważała go wówczas za pompatycznego nudziarza. Dziś wydawał się skrzępowany i niespokojny. Najwyraźniej czuł, że coś jest nie w porządku - jedyny wniosek, jaki mógł wyciągnąć, gdy, gospodarz wyniośle wkroczył do pokoju i zatonął w krześle na honorowym miejscu, nie raczywszy odezwać się ani jednym słowem do nikogo.

Cyrus oczywiście nie miał zamiaru odmawiać modlitwy. Jego żona, z krwistymi wypiekami na twarzy, wyszeptała niemal niedosłyszalnie:

- Za to, co otrzymujemy, Pan czyni nas prawdziwie wdzięcznymi.

Posiłek zaczął się źle, bo Jaśmina upuściła widelec na podłogę. Wszyscy oprócz Cyrusa podskoczyli na krzesłach, zaś Cyrus spojrzał na córkę swoimi wypukłymi oczami z wyrazem głuchej pasji. Potem rzucił okiem na resztę obecnych i zmroził ich do szczytu. Gdy spojrzał na panią Cyrusową w chwili, gdy nakładała sobie na talerz sos chrzanowy, biedaczka przypomniawszy sobie o swoim chorym żołądku. Nie mogła zjeść ani odrobiny sosu, a tak bardzo go lubiła. Nie wierzyła, że mógłby jej zaszkodzić. Ale przez głupi sos nic nie jadła, podobnie jak Jaśmina. Obie tylko udawały. Posiłek upływał w okropnym milczeniu. Ania i Trixie od czasu do czasu rzucały gorączkowe uwagi o pogodzie. Trixie błagała Anię wzrokiem, żeby coś mówiła. Lecz Ania po raz pierwszy w życiu nie miała nic do powiedzenia. Czuła, że musi nawiązać rozmowę, ale do głowy Przychodziły jej zupełnie idiotyczne uwagi, których nie można było wygłosić. Czy Cyrus zaczarował ich wszystkich? Zdumiewające, jaki wpływ na otoczenie może wywrzeć jeden ponury, uparty człowiek. Ania nawet nie przypuszczała, że coś takiego jest możliwe. Cyrus na pewno cieszył się z całego serca widząc, jak zepsuł humor biesiadnikom. O czym, u licha, myślał ten człowiek? Czyby podskoczył, gdyby ukłuł go szpilką? Ania miała ochotę dać mu klapsa i postawić go do kąta - potraktować jak niegrzeczne, zepsute dziecko, którym był pomimo długich siwych włosów i wielkich wąsów.

Nade wszystko pragnęła zmusić go do mówienia. Instynktownie czuła, że nic nie byłoby dlań taką karą. Ach, skłonić Cyrusa Taylora, żeby się odezwał, gdy założył, że będzie milczał!

Może by tak wstać i naumyślnie stłuc tę wielką, okropną, staroświecką wazę, stojącą w rogu... bardzo niewygodną do odkurzania, ozdobioną wiankami z róż i liści. Cudo to należało utrzymywać w bezwzględnej czystości. Ania wiedziała, że cała rodzina nienawidzi tej wazy, ale Cyrus nie chce słyszeć o wyniesieniu jej na strych, bo należała do jego matki. Gdyby stłuczenie jej sprowokowało Cyrusa do mówienia, Ania nie wahałaby się ani chwili.

Dlaczego Lennox Carter milczy? Gdyby się odezwał, Ania podtrzymałaby rozmowę. Wtedy może Trixie i Piotruś wyzwoliliby się z pętającego ich czaru. Ale on po prostu siedział

i jadł. Pewnie myślał, że to było najlepsze ze wszystkiego, co mógł robić w tej sytuacji. Nie chciał powiedzieć czegoś, co jeszcze bardziej rozzłościłoby i tak wystarczająco wściekłego ojca damy jego serca.

- Może skosztuje pani pikli, panno Shirley? - zaproponowała słabym głosem pani Taylor.

W Ani coś drgnęło. Posmakowała pikli i innych potraw. Nie pozwalając sobie na przemyślenie sprawy, pochyliła się do przodu. Jej wielkie, zielonoszare oczy błyszczały, gdy uprzejmym tonem powiedziała:

- Zapewne zdziwi się pan, doktorze Carter, na wieść, że podobno pan Taylor nagle ogłuchł w zeszłym tygodniu?

Po rzuceniu tej bomby Ania wyprostowała się na krześle. Nie umiałaby powiedzieć, czego oczekiwała po swojej uwadze. Jeśli doktor Carter pomyśli, że gospodarz nie jest wściekły, tylko głuchy, może zacznie rozmawiać. Nie powiedziała nieprawdy. Nie powiedziała przecież, że Cyrus Taylor jest głuchy. Jeśli jednak chciała sprowokować gospodarza do odezwania się, poniosła porażkę. Spojrzał tylko na nią i pozostał milczący.

Lecz uwaga ta wpłynęła w zupełnie nieoczekiwany sposób na Trixie i Piotrusia. Trixie była równie wściekła jak ojciec. Chwilę wcześniej widziała, jak Jaśmina ukradkiem ociera łzę, która wymknęła się z jej wielkich, pełnych rozpaczyny oczu. Sytuacja była beznadziejna. Teraz już Lennox Carter nie oświadczy się Jaśminie, więc nie miało żadnego znaczenia, co ktoś powie lub zrobi. Trixie opanowało gwałtowne pragnienie rozprawienia się z ojcem. Słowa Ani były dla niej natchnieniem, a Piotruś, drzemający wulkan diabelskich sił, na chwilę w oszołomieniu podniósł do góry brwi, po czym poszedł za jej przykładem. Ani pani Cyrusowa, ani Ania, ani Jaśmina nie zapomniały nigdy okropnego kwadransa, który teraz nastąpił.

- Takie nieszczęście - zwróciła się Trixie przez stół do doktora Cartera. - A przecież biedny tata ma zaledwie sześćdziesiąt osiem lat.

Dwa białe zęby pojawiły się pod wąsami Cyrusa Taylora, gdy usłyszał, że córka postarza go o sześć lat. Ale milczał w dalszym ciągu.

- Zjedzenie przyzwoitego posiłku to duża przyjemność - odezwał się Piotruś. Jego głos brzmiał jasno i wyraźnie. - Co by pan pomyślał, doktorze, o człowieku, który zmuszałby rodzinę, by żywiła się owocami i jajkami, niczym więcej? I to tylko dlatego, że jemu się tak podoba?

- Czy twój ojciec...? - zaczął doktor Carter zmieszany.

- Co by pan pomyślał o człowieku, który pobili by żonę za to, że zawiesiła w pokoju zasłony, które mu się nie podobały? Z premedytacją pobili? - spytała Trixie.

- Aż krew poszła - dodał uroczyście Piotruś.

- Czy chcesz powiedzieć, że twój ojciec...

- Co by pan pomyślał o kimś, kto by pociął nożyczkami jedwabną sukienkę żony dlatego, że nie odpowiadał mu jej krój? - spytała Trixie.

- Co by pan pomyślał - kontynuował Piotruś - o człowieku, który nie pozwalałby żonie trzymać psa?

- Chociaż ona marzy o tym od lat - westchnęła Trixie.

- Co pomyślałby pan o człowieku - ciągnął Piotruś, którego ta sytuacja zaczęła bawić - który na każde Boże Narodzenie dawałby żonie w prezencie kalosze - tylko jedną parę kaloszy i nic więcej?

- Kalosze nie ogrzewają serca - przyznał doktor Carter. Jego oczy napotkały wzrok Ani. Uśmiechnął się. Ania uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie widziała, aby się uśmiechał. Jego twarz zmieniła się nie do poznania. Co znów mówiła Trixie? Kto by podejrzewał, że siedzi w niej taki diabeł.

- Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, panie Carter, jak okropnie jest mieszkać pod jednym dachem z człowiekiem, który uważa, że rzucenie w służącą niewystarczająco dobrą pieczenia jest czymś normalnym?

Doktor Carter spojrzał na Cyrusa Taylora, jakby oczekując, że gospodarz w każdej chwili ciśnie w niego udkiem kurczęcia. Po chwili, uspokojony, uświadomił sobie, że przecież pan Taylor jest głuchy.

- Co by pan pomyślał o kimś, kto wierzy, że ziemia jest płaska? - spytał Piotruś.

Ania sądziła, że teraz Cyrus nie wytrzyma. Przez jego czerwoną przebiegło drgnienie, lecz nie powiedział ani słowa. Tylko jego wielkie wąsy wydawały się nieco mniej wyzywające.

- Co by pan pomyślał o człowieku, który pozwolił swojej ciotce, jedynej ciotce, pójść do domu dla ubogich? - spytała Trixie.

- I wypasał krowę na cmentarzu? - dorzucił Piotruś. - Summerside do dziś mu tego nie zapomniało.

- Co by pan pomyślał o człowieku, który pisze codziennie w pamiętniku, co jadł na obiad? - spytała Trixie.

- Tak robił wielki Pepys - rzekł z uśmiechem doktor Carter. Wydawał się szczerze ubawiony. Ania pomyślała, że pewnie nie jest wcale zarozumiały, tylko młody, nieśmiały i

zbyt poważny. Czuła się ogłupiała. Nie przypuszczała, że sprawy zajdą tak daleko. Łatwiej jest coś zaczynać niż kończyć. Trixie i Piotruś byli szatańsko sprytni. Nie powiedzieli wcale, że to ich ojciec zrobił choć jedną z tych rzeczy. Ania z łatwością wyobraził sobie, jak Piotruś, z oczyma jeszcze bardziej okrągłymi i pełnymi wyrazu j skrzywdzonej niewinności, tłumaczy się: „Pytałem o to wszystko po prostu z ciekawości”.

- Co pomyślałby pan o człowieku - podtrzymywała Trixie - który otwiera i czyta listy swojej żony?

- Co by pan pomyślał o człowieku, który na pogrzeb - pogrzeb swojego ojca - poszedł w szlafroku? - spytał Piotruś.

Co jeszcze wymyśli ta diabelska para? Pani Taylor otwarcie płakała, a Jaśmina słaniała się z rozpaczy. Wszystko przepadło. Spojrzała na doktora Cartera, którego utraciła na zawsze, i po raz pierwszy w życiu powiedziała coś rzeczywiście mądrego.

- Co by pan pomyślał - rzekła spokojnie - o człowieku, który poświęcił cały dzień na szukanie kociąt po zastrzelonej kotce, bo nie mógł znieść myśli, że zdechną z głodu?

W pokoju zapanowało dziwne milczenie. Trixie i Piotruś, zawstydzeni, spojrzeli na siebie. Pani Cyrusowa poczuła, że jej żoninym obowiązkiem jest poprzeć Jaśminę w tej nieoczekiwanej obronie ojca i odezwała się nieśmiało:

- I on tak pięknie robi szydełkiem. Zrobił prześliczną serwetkę na stół w salonie, bo nudził się, całymi dniami leżąc w łóżku, gdy chorował na lumbago.

To już przekroczyło granice wytrzymałości Cyrusa Taylora. Odsunął krzesło tak gwałtownie, że przejechało po wypolerowanej posadzce i uderzyło w stół, na którym stała waza. Stół się przewrócił, a waza rozprysła w tysiąc kawałków. Krzaczaste białe brwi Cyrusa nastroszyły się w pasji, gdy wstał od stołu i wybuchnął:

- Nie robię szydełkiem, kobieto! Czy jedna, godna pogardy serwetka może na zawsze zepsuć reputację mężczyzny? Przez to przekłete lumbago czułem się tak źle, że nie wiedziałem, co robię. I jestem głuchy, panno Shirley? Ja jestem głuchy?

- Ona nie powiedziała, że jesteś - zawołała Trixie, która nie bała się ojca, gdy jego temperament znajdował ujście w głośnym ataku złości.

- O nie, nie powiedziała. Żadne z was niczego nie powiedziało! Ty nie powiedziałaś, że mam sześćdziesiąt osiem lat, chociaż mam dopiero sześćdziesiąt dwa, prawda? Nie powiedziałaś, że nie pozwoliłem matce trzymać psa? Dobry Boże, kobieto, możesz mieć cztery tysiące psów, jeśli chcesz, i wiesz o tym! Czy kiedykolwiek odmówiłem ci czegoś, czego chciałaś? Kiedy?

- Nigdy, tatusiu, nigdy - wyszłochała pani Cyrusowa, załamana. - I nigdy nie chciałam mieć psa. Nawet nie pomyślałam o tym.

- Kiedy czytałem listy zaadresowane do ciebie? Czy kiedykolwiek pisałem pamiętnik? Pamiętnik! Czy kiedykolwiek wystąpiłem w szlafroku na czyimś pogrzebie? Kiedy wypasałem krowy na cmentarzu? Która to moja ciotka jest w domu dla ubogich? Czy kiedyś rzuciłem w kogoś pieczenia? Czy kiedykolwiek kazałem wam jeść tylko owoce i jajka?

- Nigdy, tatusiu, nigdy - płakała pani Cyrusowa. - Zawsze byłeś dobrym mężem. Najlepszym.

- Czy nie mówiłaś mi sama, że chcesz na Gwiazdkę kalosze?

Tak, oczywiście, tatusiu. I przez całą zimę było mi tak miłutko, ciepło w nogi.

A więc! - Cyrus rzucił po pokoju triumfującym spojrzeniem. Jego wzrok natknął się na Anię. Nagle zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Cyrus zachichotał. Dołki ukazały się w jego policzkach, nadając mu wygląd uroczego, starszego pana. Przyniósł krzesło do stołu i usiadł.

- Mam nieznośny zwyczaj popadania w zły humor, doktorze. Każdy ma jakąś przywarę - to jest moja. Zresztą, jedyna. Chodź, mamusiu, przestań płakać. Przyznaję, że zasłużyłem na to wszystko, oczywiście oprócz twojej gadki o szydełkowaniu. Jaśmino, moja dziewczynko, nie zapomnę, że ty jedna stanęłaś w mojej obronie. Powiedz Maggie, żeby przyszła i uporządkowała ten bałagan. Dopiero się cieszyacie, że przekłeta rzecz się rozbiła... I podajcie wreszcie pudding!

Ania nie uwierzyłaby nigdy, że tak okropnie rozpoczęty wieczór będzie miał równie miły przebieg. Cyrus potrafił być wspaniałym kompanem.

Najwyraźniej obyło się bez porachunków, bo nazajutrz Trixie przyszła, żeby powiedzieć Ani, że zdobyła się na odwagę i oznajmiła ojcu o swoich zaręczynach z Jankiem.

- No i co? Bardzo się złościł?

- Wcale nie - przyznała oszołomiona Trixie. - Prychnął tylko i powiedział, że już czas, aby Janek zdecydował się na coś po dwóch latach łążenia wokół domu i trzymania z daleka innych kawalerów. Ojciec pewnie czuje, że nie może pozwolić sobie na kolejny zły humor w tak krótkim czasie, a pomiędzy napadami złych humorów jest naprawdę kochany.

- Myślę, że jest dla was lepszym ojcem, niż zasługujecie - powiedziała Ania surowo. - Przy tej kolacji byliście po prostu bezczelni, Trixie.

- Ty zaczęłaś - odparła Trixie. - A kochany Piotruś trochę mi pomógł. Wszystko dobre, co się dobrze kończy... I chwała niebiosom, że już nie będę musiała odkurzać tej starej wazy.

XI

(W dwa tygodnie później. Wyjątek z listu do Gilberta)

Ogłoszono zaręczyny Jaśminy Taylor z doktorem Carterem. Z licznych miejscowych plotek wywnioskowałam, że po tym fatalnym wieczorze... Lennox Carter zdecydował, że musi ochronić ukochaną przed jej ojcem i rodziną... a może i przed przyjaciółmi. Jej sytuacja rozbudziła w nim poczucie rycerskości. Trixie utrzymuje, że to ja celowo doprowadziłam do takiego stanu rzeczy, i może rzeczywiście jest w tym trochę prawdy. Nie sadzę jednak, że kiedykolwiek jeszcze zdecyduję się na podobny eksperyment. Przypomina to łapanie błyskawicy za ogon.

Doprawdy, nie wiem, co we mnie wstąpiło, Gilberte. Prawdopodobnie jakąś rolę odegrały tu resztki drzemiącej we mnie niechęci do wszystkiego, co ma związek z Pringle'ami. Teraz okres wałki z nimi wydaje się tak odległy... Niemal już zapomniałam o ich wrogości. Ale niektórzy mieszkańcy Summerside ciągle jeszcze zabawiają się snuciem przypuszczeń na temat przyczyn mojej z nimi przyjaźni. Słyszałam, że panna Walentyna Courtloe mówiła, że wcale się nie dziwi, iż zwyciężyłam Pringle'ów, jeśli dla niej byłam taka miła i potrafiłam „do niej właściwie podejść”. A żona pastora sądzi, że to jej modlitwy odniosły skutek. Kto wie, jak było naprawdę?

Wczoraj Janka Pringle odprowadziła mnie kawałek do domu po lekcjach. Rozmawialiśmy prawie o wszystkim - oprócz geometrii. Unikamy tego tematu, chociaż Janka wie, że moja znajomość geometrii nie jest wielka. Za to wiadomości, jakie posiadam o kapitanie Myromie, są wystarczająco duże, by zaważyć w tej sprawie. Pożyczyłam Jance „Księgę męczenników” Foxa. Nie znoszę pożyczać książek, które lubię. Zawsze wydają mi się nie te same, gdy je dostaję z powrotem. Lecz „Księgę męczenników” lubię tylko dlatego, że przed laty ofiarowała mi ją pani Allan jako nagrodę w szkole niedzielnej. Nie lubię czytać o męczennikach, bo czuję się wtedy małostkowa i ogarnia mnie wstyd... wstyd, że musiałabym się przyznać, iż nie znoszę wstawać z łóżka w mroźne poranki i trzęsę się przed wizytą u dentysty!

Cieszę się, że Jaśmina i Trixie są szczęśliwe. Od kiedy mam Ciebie, ogromnie interesuję się sercowymi sprawami innych. Nie wynika to z ciekawości czy złośliwości. Po prostu cieszę się, że wokół widzę tyle ludzkiego szczęścia.

Ciągle jeszcze trwa luty i „na dachach klasztoru lśni śnieg w blasku księżyca...” Tylko to nie jest klasztor, lecz po prostu stajnia pana Hamiltona. Zaczynam już myśleć, że zostało

tylko parę tygodni do wiosny i jeszcze kilka do lata... Wakacje, Zielone Wzgórze, złociste promienie słońca w dolinach Avonlea... Zatoka srebrna o świcie, szafirowa w Południe, purpurowa o zmierzchu... i Ty.

Mała Elżbieta i ja bez końca snujemy plany na wiosnę. Jesteśmy dobrymi przyjaciółkami. Co wieczór daję jej mleko, a raz na pewien czas mogę ją zabrać na spacer. Odkryłyśmy, że nasze urodziny przypadają tego samego dnia. Elżbieta aż zaczerwieniła się z radości. Jest przesłodka, gdy się rumieni. Zazwyczaj wygląda blado, chociaż pije tyle dobrego mleka. Lecz gdy wracamy z naszych wędrówek o zmierzchu wieczorny wiatr wywołuje rumieńce na jej delikatnej buzi. Kiedyś spytała poważnie:

- Panno Shirley, czy będę miała taką cudowną, kremową cerę jak pani, jeśli co wieczór natrę twarz śmietanką?

Zdaje się, że śmietanka jest najpopularniejszym kosmetykiem w Alei Duchów. Odkryłam, że stosuje ją nawet Rebeka Dew! Zakłęła mnie, żebym jej nie zdradziła przed wdowami, bo uznałyby to za frywolne u osoby w jej wieku. Ilość tajemnic, jakie powierzono mi w Szumiących Topolach, przytłacza mnie. Ciekawe, czy owych siedem piegów znikłoby z mojego nosa, gdybym go smarowała śmietanką. Nawiasem mówiąc, Szanowny Panie, czy kiedykolwiek uświadomiłeś sobie, że mam „cudowną, kremową cerę”? Jeśli tak, to nigdy mi o tym nie powiedziałeś. I czy zauważyłeś, że jestem „stosunkowo piękna”? Ponieważ ja właśnie się o tym dowiedziałam.

- Panno Shirley, jak to jest, gdy jest się piękną? - zapytała Rebeka Dew pewnego dnia, gdy miałam na twarzy nową woalkę.

- Zawsze byłam tego ciekawa - odparłam.

- Ależ pani jest piękna! - powiedziała Rebeka Dew.

- Nigdy nie myślałam, że stać cię na ironię, Rebeko - powiedziałam z wyrzutem.

- Nie chciałam być ironiczna, panno Shirley. Pani naprawdę jest piękna... stosunkowo.

- Och! Stosunkowo! - powiedziałam.

- Niech pani spojrzy w lustro - rzekła Rebeka Dew, wskazując mi je palcem. - W stosunku do mnie jest pani piękna.

I rzeczywiście jestem!

Nie skończyłam jednak pisać o Elżbiecie. Kiedyś, w burzowy wieczór, gdy wiatr jęczał w Alei Duchów, nie mogłyśmy pójść na spacer. Usiadłyśmy więc w moim pokoju i narysowałyśmy mapę Krainy Czarów. Elżbieta siedziała na jednej ze śmiesznych, niebieskich

poduszek. Wydawała się przez to nieco wyższa niż normalnie, ale mimo to, gdy pochyliła się nad mapą, wyglądała jak mały, poważny krasnoludek.

Nasza mapa jeszcze nie jest gotowa. Codziennie wymyślamy coś nowego, co można na niej zaznaczyć. Ostatniego wieczoru naniosłyśmy na nią domek Pani Śniegu, a za nim wzgórze, całkiem pokryte wiśniowymi drzewkami. (Chciałabym, żeby kilka dzikich wiśni rosło w pobliżu naszego Wymarzonego Domu, Gilbercie). Oczywiście na mapie jest Jutro... leży na wschód od Dzisiaj i na zachód od Wczoraj. W Krainie Czarów mamy też nieskończoną ilość czasów. Czas wiosny, czas długi, czas krótki, czas nowiu księżyca, czas dobrej nocy, czas następny... ale nie ma czasu ostatniego, bo jest za smutny na Krainę Czarów. Młody czas - bo jeśli się mówi o starych czasach, to musi być i młody; czas górski - bo to brzmi tak fascynująco; czas nocy i czas dnia. Ale nie ma czasu pójścia do łóżka czy do szkoły. Czas Gwiazdki, ale nie czas jedyny, bo też jest za smutny; czas zagubiony, bo tak miło go odnaleźć; czas dobry, czas szybki, czas wolny, jakiś czas, czas pójścia do domu... Zaznaczyłyśmy na mapie czerwone strzałki, wskazujące drogę do różnych czasów. Wiem, że Rebeka Dew uważa mnie za zupełnie dziecinną. Ale, Gilbercie, nie wolno nam dopuścić do tego, byśmy się okazali za starzy i za mądrzy... nie, za starzy i za głupi na Krainę Czarów.

Rebeka Dew nie jest całkiem pewna, czy wywieram na małą Elżbietę zbawienny wpływ. Myśli, że zachęcam dziewczynkę do fantazjowania. Pewnego wieczoru, gdy nie było mnie w domu, Rebeka Dew wyniosła Elżbiecie mleko. Zastała ją przy furtce, jak intensywnie wpatrywała się w niebo, tak że nie usłyszała ciężkich kroków Rebeki.

- Wsluchiwałam się, Rebeko - wyjaśniła.

- Za dużo się wsluchujesz - rzekła Rebeka Dew z dezaprobatą.

Elżbieta uśmiechnęła się poważnie, jakby myślami przebywała daleko.

(Rebeka Dew nie użyła tego określenia, ale ja wiem, jak uśmiecha się Elżbieta).

- Byłabyś zdziwiona, Rebeko, gdybyś wiedziała, co czasem słyszę - powiedziała w taki sposób, że Rebeka Dew dostała gęsiej skórki z przerażenia, a przynajmniej zaręczała za to.

Elżbieta żyje w ścisłym kontakcie z czarami i co można na to poradzić?

Tvoja najprawdziwsza

ANIA

PS 1. Nigdy, nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Cyrusa Taylora, gdy żona oskarżyła go o szydełkowanie. Lecz zawsze będę go lubiła za to, że nie pozwolił umrzeć tym kociętom. Lubię też Jaśminę, bo stanęła w obronie ojca pomimo przeświadczenia, że jej marzenia rozbiły się w proch.

PS 2. Założyłam nową stalówkę... Kocham Cię, bo nie jesteś pompatyczny jak doktor Carter. Kocham Cię, ponieważ nie masz odstających uszu ja Janek. I... najważniejsza z przyczyn... kocham Cię, bo jesteś po prostu Gilbertem!

XII

Szumiące Topole

30 maja

Najdroższy i jeszcze droższy niż najdroższy!

Jest wiosna! Być może, pochłonięty egzaminami, nie zauważyłeś tego. Lecz ja, podobnie jak całe Summerside, czuję wiosnę od czubka głowy do końców palców. Nawet najbrzydsze ulice przeobraziły się dzięki powodzi kwiatów, wyrastających ponad stare parkany, i klombom lwich paszcz które ciągną się wzdłuż chodników. Świadoma wiosny jest nawet por łanowa dama, siedząca na mojej półce. Gdybym którejs nocy nieoczekiwanie się zbudziła, z pewnością zobaczyłabym, jak tańczy pas seul w różowych pantofelkach na złotych obcasach.

Wszystko woła do mnie „wiosna!” Małe roześmiane strumyki, błękitne mgły na Królu Burz, klony w zagajniku, w którym czytam Twoje listy, osypane kwieciem drzewka wiśniowe w Alei Duchów, zuchwałe drozdy, które w podwórzu rzucają Marcinowi wyzwanie do walki, bluszcz, zwisający zielonym płaszczem na furtce, przy której podaję mleko ma Elżbiecie, świerki na cmentarzu, zdobne w nowe, jasnozielone g Nawet stary cmentarz, gdzie wszystkie zasadzone na grobach roślinki wypuszczają pączki i okrywają się kwiatami, zdaje się mówić: „I tu życie triumfuje nad śmiercią”.

Któregoś wieczoru odbyłam uroczą przechadzkę po cmentarzu. (Jestem przekonana, że Rebeka Dew uważa moje zamiłowanie do spacerów w takich miejscach za chorobliwe. „Nie mam pojęcia, dlaczego żywi pani takie upodobanie do tego nieszczęsnego miejsca” - powiada).

Jeszcze tylko miesiąc i pojadę do domu na wakacje! Marzę o starym sadzie na Zielonym Wzgórzu. Drzewa stoją w kwiatach niby w śniegu... W lustrze Jeziora Lśniących Wód przegląda się stary most. Z dala dobie szum morza, a cisza dźwięczy w letnie popołudnia w Alei Zakochanych. Będziesz tam także i Ty!

Dziś byłam u pań Gibson. Maryla kiedyś prosiła, bym do nich zajrzała. Znałam je, gdy mieszkały w Białych Piaskach. Poszłam więc do nich raz i od tej pory zaglądam tam co tydzień, bo wydaje mi się, że Paulina lubi moje wizyty, a jest mi jej tak bardzo żal. Doprawdy Paulina jest niewolnicą starszej pani Gibson - okropnej, dokuczliwej kobiety.

Pani Adoniramowa Gibson ma osiemdziesiąt lat i spędza dnie w fotelu na kółkach. W Summerside mieszka od pięćdziesięciu lat. Paulina jest jej najmłodszą córką. Ma czterdzieści

pięć lat. Jej siostry i bracia dawno już założyli własne rodziny i wszyscy zdecydowali, że absolutnie nie chcą żyć z matką pod jednym dachem. Paulina prowadzi gospodarstwo i jest gotowa na każde skinienie starej damy. Jej sarnie oczy, biała cera i ciężkie, złocistobrązowe włosy świadczą, że w swoim czasie była przystojną kobietą. Mogłaby mieć zupełnie znośne życie, gdyby nie matka. Byłaby zupełnie szczęśliwa, pracując w Kole Pomocy Pań, Stowarzyszeniu Misjonarzy, urządzając dla Kółka Kościelnego kolacje i spotkania towarzyskie. Lecz nawet w niedzielę z trudnością wrywa się z domu na nabożeństwo. Nie widzę dla niej żadnego ratunku, bo stara pani Gibson będzie zapewne żyła sto lat. Szanowna ta dama, nie mogąc używać nóg, używa w nadmiarze swojego języka. Gdy jestem u nich i słucham, jak w wyrafinowany sposób dokucza Paulinie, ogarnia mnie bezsilna wściekłość. Na dodatek Paulina twierdzi, że matka „ma o mnie dość dobre mniemanie” i jest dla niej dużo miłsza w mojej obecności. Wstrząsam się na myśl, czego nasłucha się biedna Paulina, gdy mnie nie ma w pobliżu.

Paulina nie ośmiela się nic zrobić bez uprzedniego zapytania matki o zgodę. Nie może nawet kupić sobie sukni czy pary skarpetek. Wszystko wymaga aprobaty pani Gibson. Wszystkie suknie nosi się tak długo, aż widać podszewkę. Paulina od czterech lat ma ten sam kapelusz.

Pani Gibson nie może znieść w domu najmniejszego hałasu czy powiewu świeżego powietrza. Mówią, że nigdy w życiu się nie uśmiechnęła. Rzeczywiście, nie zauważyłam jeszcze uśmiechu na jej twarzy, często patrząc na nią, zastanawiam się, jak by wyglądała z uśmiechem na ustach. Paulina nie ma nawet własnego pokoju. Musi spać w jednym pokoju z matką. Niemal co godzinę zrywa się z łóżka, aby natrzeć pani Gibson plecy, podać lekarstwo, przynieść butelkę gorącej wody... - gorącej, nie ciepłej! - poprawić poduszki lub sprawdzić, co to za dziwne hałasy legają z podwórza. Pani Gibson śpi po południu, żeby w nocy móc wynajdywać zadania dla Pauliny.

Lecz mimo to Paulina nie nabyła cech zgorzkniałej starej panny, słodka i cierpliwa. Nie ma w niej ani cienia samolubstwa. Cieszę się, że «psa, którego ogromnie kocha. Udało się jej nakłonić matkę do trzyma go w domu tylko dlatego, że kogoś w mieście okradziono, a pani Gib myśli, że pies ochroni dom przed złodziejami. Paulina nie przyznaje matce, jak bardzo kocha tego psa. Pani Gibson go nie znosi, ale tokaj jego obecność ze strachu przed włamaniem.

Nadarza mi się sposobność uczynienia czegoś dobrego dla Pauli Zamierzam ofiarować jej dzień normalnego życia, chociaż z tego powodu muszę zrezygnować ze spędzenia najbliższej niedzieli na Zielonym Wzgórzu.

Gdy przyszedłam do nich dzisiaj, zauważyłam, że Paulina płakała. Gibson wyjaśniła mi przyczynę tego we właściwy sobie sposób.

- Paulina chce iść i zostawić mnie, panno Shirley - powiedziała. - Mam miłą i dobrą córkę, prawda?

- Tylko na jeden dzień, mamó - powiedziała Paulina, połykając przywołując na twarz uśmiech.

- Tylko na jeden dzień, powiada! Pani wie, jak wyglądają moje dni, panno Shirley. Każdy wie! Ale nie wie pani jeszcze i mam nadzieję, nigdy się pani nie dowie, jak długi wydaje się dzień, gdy człowiek cierpi.

Wiem doskonale, że pani Gibson wcale nie cierpi, więc nie starałam się wyrazić jej swojego współczucia.

- Oczywiście, ktoś z tobą zostanie, mamó - powiedziała Paulina. - Widzi pani - zwróciła się do mnie - w przyszłą sobotę moja kuzynka Luiza z Białych Piasków obchodzi srebrne gody i pragnie, żebym przyjechała. Byłam jej druhną, gdy wychodziła za Maurycego Hiltona. Tak chętnie bym pojechała, gdyby mama się zgodziła.

- Jeśli muszę umrzeć w samotności, to trudno - rzekła pani Gibson. - Pozostawiam to twojemu sumieniu, Paulino.

Wiedziałam, że z chwilą kiedy pani Gibson pozostawiła tę sprawę sumieniu Pauliny, walka została zakończona. Stara dama przez całe życie stawiała na swoim, pozostawiając różne rzeczy ludzkiemu sumieniu. Słyszałam, że przed laty ktoś chciał poślubić Paulinę, ale matka odwołując się do jej sumienia, nie dopuściła do małżeństwa.

Paulina otarła łzy, uśmiechnęła się żałośnie i zajęła się przerabianiem okropnej, zniszczonej sukienki w czarne i zielone paski.

- Nie naburmuszaj się, Paulino - powiedziała pani Gibson. - Nie znoszę naburmuszonych ludzi. I pamiętaj, żebyś przyszyła do tej sukni kołnierz. Czy pani uwierzy, panno Shirley, że chciała uszyć suknię bez kołnierza? Ta wariatka nosiłaby sukienki z dekoltem, gdyby nie ja.

Spojrzałam na biedną Paulinę. Jej szczupłą, lecz krągłą i jeszcze ładną szyję więził wysoki, sztywny kołnierz.

- Suknie wycięte przy szyi wchodzić właśnie w modę - powiedziałam.

- Suknie wycięte przy szyi są nieprzyzwoite - rzekła pani Gibson.

(Nawiasem mówiąc, miałam na sobie taką właśnie suknię).

- Co więcej - ciągnęła pani Gibson, jakby kontynuując ten temat - nigdy nie lubiłam Maurycego Hiltona. Jego matka była z domu Crocket. Nigdy nie miał wyczucia, co można robić. Gdzie on całował swoją żonę!

(Czy zawsze całujesz mnie jak człowiek mający wyczucie? Obawiam się, że pani Gibson byłaby zgorszona wiedząc, że zdarza Ci się pocałować mnie w szyję).

- Ależ, mam, przecież wiesz, że zdarzyło się to w dzień, kiedy cudem uniknęła stratowania przez konia Harleja Withera, który poniósł przed kościołem. Nic dziwnego, że Maurycy był przejęty.

- Paulino, nie kłóć się ze mną. W dalszym ciągu uważam, że schody kościoła nie są miejscem odpowiednim do całowania kogokolwiek. Lecz oczywiście nikogo już nie obchodzą moje opinie. Wszyscy chcą, żebym umarła. Cóż, w grobie znajdzie się dla mnie miejsce. Wiem, jakim jestem dla ciebie ciężarem. Mogłabym równie dobrze umrzeć. Nikt mnie nie chce. Nikt.

- Nie mów tak, mam - błagała Paulina.

- Będę tak mówiła. Czyż nie jesteś zdecydowana pojechać na to srebrne wesele, chociaż wiesz, że ja sobie tego nie życzę?

- Kochana mam, nie pojedę. Nie pomyślałabym nawet o tym. Nie denerwuj się tak.

- Och, więc nie mogę sobie nawet pozwolić na małe zdenerwowanie, które urozmaiciłoby moje nudne życie? Chyba nie idzie pani tak wcześnie do domu, panno Shirley?

Czułam, że zostanę jeszcze chwilę, nie wytrzymam i albo zwariuję, uderzę panią Gibson. Powiedziałam więc, że muszę poprawiać klasówki.

- No tak, sądzę, że stare kobiety to mało interesujące towarzystwo dla młodej dziewczyny - westchnęła pani Gibson. - Paulina nie należy do najpogodniejszych osób. Nie dziwię się, że panna Shirley nie chce dłużej zostać.

Paulina wyszła ze mną na ganek. Promienie księżyca oświetlały jej mały ogródek i migotały na powierzchni zatoki. Miękki, rozkoszny wietrzyk szeptał wśród białych jabłoni. Była wiosna... wiosna! Nawet pani Gibson nie mogła zabronić kwitnąć śliwom. A w wielkich oczach Pauliny lśniły łzy.

- Tak bardzo chciałabym pojechać na srebrne wesele Luizy - powiedziała z westchnieniem pełnym rezygnacji.

- Pojedzie pani - rzekłam.

- O nie, kochanie, nie mogę. Biedna mama nigdy się nie zgodzi. Wybiję to sobie z głowy. Czy księżyc nie jest dziś piękny? - dodała głośniejszym, pogodnym tonem.

- Nie słyszałam, żeby z gapienia się na księżyc wynikło coś dobrego - zawołała pani Gibson z salonu. - Przestań świergotać, Paulino, przyjdź tu i daj mi moje czerwone kapcie. Te obszyte futerkiem. Buty straszliwie ranią mi stopy. Ale co kogo obchodzi, że cierpię.

Poczułam, iż rzeczywiście mało dbam o jej rzekome cierpienie. Biedna, kochana Paulina! Ale nastanie dla niej wolny dzień. Pojedzie na to wesele. Ja, Anna Shirley, to powiedziałam.

W domu zdałam relację ze swej wizyty. Ciocie, Rebeka Dew i ja miałyśmy doskonałą zabawę, wymyślając różne przykre rzeczy, które chciałybyśmy powiedzieć pani Gibson. Ciocia Kasia uważa, że nie zdołam przekonać jej, aby puściła Paulinę do Białych Piasków. Ale Rebeka Dew we mnie wierzy. Powiedziała:

- W każdym razie, jeśli pani nie potrafi tego zrobić, to nikt nie potrafi.

Ostatnio byłam na kolacji u pani Tomaszowej Pringle - tej, która nie chciała mi wynająć pokoju. (Rebeka Dew twierdzi, że jestem bardzo opłacalnym lokatorem, bo tak często jadam poza domem). Cieszę się, że nie mieszkam u niej. Jest co prawda miła, ale nie mieszka w Alei Duchów, jej dom to nie Szumiące Topole, a ona sama nie może być ciocią Kasią i ciocią Misia, i Rebeką Dew. Kocham je wszystkie trzy i zamierzam mieszkać u nich także przez następne dwa lata. Moje krzesło nosi nazwę „krzesła panny Shirley”, a ciocia Misia wyznała mi, że nawet gdy nie ma mnie w domu przy posiłku, Rebeka Dew nakrywa do stołu na cztery osoby. „Inaczej jest smutno” - twierdzi.

Dwa razy w tygodniu chodzę z małą Elżbietką na spacer. Pani Campbell zgodziła się, żebym zabierała dziewczynkę na przechadzki częściej. Nie wolno nam też nigdy spacerować w niedzielę. Życie Elżbiety na wiosnę wydaje się weselsze. Promienie słońca zaglądają do starego, ponurego domu, ozdabiając go grą ruchliwych cieni drzew. Niemniej jednak Elżbieta rada z niego ucieka, gdy tylko może. Kiedyś poszliśmy do miasta. Chciałam pokazać Elżbiecie oświetlone wystawy sklepowe. Ale najczęściej chodzimy Drogą, Która Prowadzi na Koniec Świata. Na każdym zakręcie wyglądamy nowych niespodzianek i przygód. Kto wie, za którym kryje się Jutro?

Czasem patrzymy, jak do przystani, pchane lekkim, wiosennym wietrzykiem, przybijają statki, zostawiając na wodzie migocący szlak. Elżbieta zastanawia się, czy którymś z nich nie mógłby przy płynąć jej ojciec. Uparcie wierzy, że on kiedyś przyjedzie. Nie mam pojęcia, dlaczego nie zrobił tego do tej pory. Na pewno dawno by tu był, gdyby wiedział, że tęskni za nim mała, urocza córeczka. Prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że dziewczynka jest już duża. Myśli o niej ciągle jako o niemowlęciu, które zabrało życie jego ukochanej żonie.

Dobiega końca pierwszy rok mojego pobytu w Summerside. Pierwsze półrocze było dość fatalne, ale potem czas upływał przyjemnie. Pringle'owie są cudownymi ludźmi. Jak mogłam w ogóle porównywać ich z Pye'ami? Dziś Sid Pringle przyniósł mi bukiet lilii. Janka zachowuje się wzorowo i jest pierwszą uczennicą w swojej klasie, a panna Helena powiedziała podobno, że spośród wszystkich nauczycieli, którzy uczyli to dziecko, dopiero ja naprawdę je rzeczywiście zrozumiałam! Jedynym cierniem w tym bukiecie róż jest Julianna Brooke, która pozostała nieprzystępna i niemiła. Chyba porzucę próby zaprzyjaźnienia się z nią. Mimo wszystko, jak powiada Rebeka Dew - „istnieją pewne granice”.

Och, byłabym zapomniała Ci napisać. Sally Nelson poprosiła mnie, żebym była jej druhną. Trzydziestego czerwca wychodzi za mąż w Bonnyview - letnim domu doktora Nelsona. Jej wybrańcem jest Gordon Hill. Spośród sześciu córek doktora jedyną niezamężną pozostanie Nora. Jim Wilcox chodzi z nią od lat, „w tę i we w tę”, jak mówi Rebeka Dew, ale nie wydaje się, że coś z tego będzie. Bardzo lubię Sally, ale nigdy nie starałam się bliżej poznać Nory. Jest ode mnie dużo starsza, pełna rezerwy i dumy. Mimo to chciałabym się z nią zaprzyjaźnić. Nie jest ładna ani mądra, ani tarująca, lecz ma coś w sobie. Czuję, że warto by ją rozgryźć.

Skoro już mowa o weselach - Jaśmina Taylor wyszła miesiąc temu za swego doktora. Ślub odbył się w środę, więc nie mogłam pójść do kościoła, żeby ją zobaczyć, ale wszyscy mówią, że wyglądała pięknie, jak każda szczęśliwa panna młoda. Lennox podobno sprawiał wrażenie człowieka, który wie, że postąpił właściwie, i ma spokojne sumienie. Cyrus Taylor i ja jesteśmy teraz przyjaciółmi. Często wspominamy tamtą kolację. Cyrus uważa ją za doskonały żart.

- Od tego czasu nie zdarzyło mi się być w złym humorze - powiedział mi. - Mamusia gotowa by mnie oskarżyć o łatanie starych ubrań!

Zawsze za moim pośrednictwem przesyła ukłony wdowom. Gilbercie, ludzie są kochani, życie - cudowne, a ja

bardziej niż zawsze Twoja

P S Nasza czerwona krowa ma łaciatego cielaczka. Od trzech miesięcy kupujemy mleko od Lwa Hunta. Rebeka Dew powiada, że znów będziemy miały śmietankę. Zawsze słyszała o nieprzebranych dobrach Huntów i teraz w nie wierzy. Rebeka Dew wcale nie chciała tego cielaczka. Ciocia Kasia musiała prosić pana Hamiltona, aby powiedział jej, że krowa jest za stara, żeby mieć cielątko. Dopiero wówczas Rebeka Dew zapragnęła, żeby cielak jednak przyszedł na świat.

XIII

- Ach, gdyby pani była w moim wieku i przykuta do łóżka, miałaby pani więcej serca - narzekała płaczliwie pani Gibson.

- Proszę, niech pani nie myśli, że nie współczuję pani - powiedziała Ania, która po półgodzinnych bezskutecznych usiłowaniach przekornej starej damy miała ochotę ją udusić. Tylko myśl o zapłakanych oczach Pauliny powstrzymywała ją od zrezygnowania i pójścia do domu. Zapewniam, że nie będzie pani samotna i opuszczona. Zostanę tu przez cały czas i zadbam, żeby pani niczego nie brakowało.

- O, wiem, że nikt mnie nie potrzebuje - powiedziała pani Gibson bez żadnego związku z tym, co usłyszała. - Nie musi mi pani o tym przypominać, panno Shirley. Jestem gotowa umrzeć w każdej chwili, w każdej. Wtedy Paulina będzie mogła się wałęsać, gdzie zechce. Nie pozostanę tu, gdzie wszyscy mnie lekceważą. Młodzi ludzie nie mają dziś żadnego rozsądku. Są nierozumni i pełni płochości.

Ania nie wiedziała, czy pani Gibson, mówiąc o płochości i braku rozsądku u młodych ludzi, ma na myśli ją czy Paulinę. Spróbowała po raz ostatni.

- Widzi pani, pani Gibson, ludzie będą opowiadać straszne rzeczy, jeśli pani nie pozwoli Paulinie pojechać na srebrne wesele jej kuzynki.

- Opowiadać! - powiedziała ostro pani Gibson. - Co będą opowiadać?

- Droga pani Gibson... („Oby wybaczone mi użycie tego przymiotnika” - pomyślała Ania.) W swym długim życiu na pewno pani zrozumiała, co mogą ludzkie języki.

- Nie musi mi pani wyrzucać mojego wieku - warknęła pani Gibson. - 1 nie potrzeba mi przypominać, że świat uwielbia krytykować. Wiem o tym dobrze, zbyt dobrze. Wiem też, że w tym mieście roi się od plotkujących bab. Lecz nie chcę, żeby paplały o mnie. Gotowe posiedzieć, że jestem starym tyranem. Nie zakazałam przecież Paulinie jechać. Czyż nie pozostawiłam tego jej sumieniu?

- Niewiele ludzi w to uwierzy - powiedziała Ania smutno.

Pani Gibson przez parę chwil zawzięcie ssła pigułkę miętową. Potem powiedziała:

- Słyszałam, że w Białych Piaskach panuje epidemia świnki.

- Mamo, kochanie, przecież ja na to już chorowałam.

- Niektórzy zapadają na to dwukrotnie. Ty na pewno też zachorujesz, Paulino. Zawsze łapiesz wszystkie możliwe choroby. Ach, te noce, kiedy siedziałam przy tobie, nie wiedząc, czy dożyjesz do rana! Och, mój Boże, nie pamięta się poświęcenia matki. Poza tym, jak

dostaniesz się do Białych Piasków? Od lat nie jeździłaś pociągiem. I w sobotę wieczorem nie ma żadnego pociągu powrotnego.

- Mogłaby pojechać w sobotę rannym pociągiem - powiedziała Ania. - I jestem przekonana, że pan Jakub Gregor przywiezie ją z Powrotem.

- Nigdy go nie lubiłam. Jego matka była z domu Tarbush.

Pan Gregor jedzie do Białych Piasków już w piątek. Ma dwuosobowy kabriolet. Gdyby nie to, że musi być w mieście już w piątek, mógłby zabrać Paulinę w obie strony. Ale pociąg jest naprawdę bezpiecznym środkiem lokomocji, pani Gibson. Wsiada się w Summerside i wysiada w Białych Piaskach, bez przesiadki po drodze.

- Coś się za tym kryje - powiedziała pani Gibson podejrzliwie. - Czemu pani tak nalega, żebym ją puściła? Proszę mi to powiedzieć, panno Shirley.

Ania uśmiechnęła się do pomarszczonej twarzy, w której lśniły paciorki oczu.

- Ponieważ uważam, że Paulina jest dla pani nadzwyczajną córką i od czasu do czasu należy jej się jakaś rozrywka, jak wszystkim.

Wiele osób nie umiało oprzeć się uśmiechowi Ani. A może to obawa przed plotkami sprawiła, że pani Gibson powiedziała wreszcie:

- Nikt pewnie nawet nie pomyślał, że ja też mogłabym zapragnąć jakiejś rozrywki. Na przykład móc opuścić ten fotel choćby na parę minut. Ale nic z tego. Muszę cierpliwie znosić moje nieszczęście. Cóż, jeśli Paulina musi jechać, niech jedzie. Zawsze umiała postawić na swoim. Jeśli się rozchoruje na świnkę albo pogryzą ją jakieś dziwne komary, proszę nie mieć do mnie pretensji. Będę musiała poradzić sobie jak umiem najlepiej. O, przypuszczam, że pani do mnie przyjdzie, lecz nie zna pani moich nawyków, tak jak Paulina. Sądzę, że wytrzymam jeden dzień. Jeśli nie... Cóż, od wielu lat żyłam, kradnąc każdy dzień, więc jaka to różnica?

Tak więc zezwolenie, aczkolwiek wypowiedziane w niezbyt miły sposób, zostało udzielone. Powodowana uczuciem wdzięczności i odprężenia, Ania zrobiła coś, czego nawet nie potrafiłaby sobie wyobrazić - pochyliła się i ucałowała panią Gibson w chudy policzek.

- Dziękuję - powiedziała.

- Nie mam pani za złe umiejętności przypochlebiania się - rzekła pani Gibson. - Niech pani weźmie miętówkę.

- Jak mogę się pani odwdziżyć, panno Shirley? - spytała Paulina, gdy wyszła z Anią na ulicę.

- Wystarczy, że pani jedzie do Białych Piasków i będzie się pani cieszyła każdą spędzoną tam chwilą.

- Och, na pewno będę. Nie ma pani pojęcia, panno Shirley, jak wiele znaczy dla mnie ten wyjazd. Chcę zobaczyć nie tylko Luizę. Stara posiadłość Luckleyów, położona w pobliżu jej domu, ma być sprzedana. Chciałabym zobaczyć ją jeszcze raz, zanim przejdzie w ręce obcych. Mary Luckley - obecnie pani Howardowa Flemming, mieszkająca na zachodzie - była za lat dziewczęcych moją najlepszą przyjaciółką. Kochaliśmy się jak siostry. Często bywałam u niej w domu i dlatego jest on mi bardzo bliski. Często marzyłam, że kiedyś do niego wrócę. Do niego i tamtych lat. Mama powiada, że jestem za stara na marzenia. Czy pani też tak uważa?

- Nikt nie jest za stary na marzenia. Tak jak marzenia nigdy się nie starzeją.

- Cieszę się, że pani tak myśli. Och, panno Shirley, znów zobaczę Zatokę Świętego Wawrzyńca. Nie widziałam jej od piętnastu lat. Nasza też jest ładna, ale to nie to samo. Wydaje mi się, że ze szczęścia ulecę w powietrze. I zawdzięczam to pani. Mama pozwoliła mi pojechać tylko dlatego, że panią lubi. Uczyniła mnie pani szczęśliwą. Zawsze przynosi pani szczęście ludziom. Gdy pani wchodzi do jakiegokolwiek pokoju, panno Shirley, ludzie w nim czują się bardziej zadowoleni z życia.

- Jest to najmiłszy komplement, jaki mi kiedykolwiek powiedziano, Paulino.

- Jeszcze jedno, panno Shirley. Nie mam żadnej sukni oprócz tej starej z czarnej tafty. Ona jest za ponura na wesele, prawda? I za duża, bo trochę schudłam. Widzi pani, mam ją już sześć lat.

- Musimy postarać się skłonić pani matkę, żeby pozwoliła pani kupić nową suknię - rzekła Ania pełna optymizmu.

Niestety jednak okazało się, że to jest ponad jej siły. Pani Gibson była niewzruszona. Uważała, że czarna suknia Pauliny jest aż za dobra na srebrne wesele Luizy Hilton.

- Sześć lat temu zapłaciłam po dwa dolary za jard materiału i jeszcze dodatkowo trzy Janinie Sharp za uszycie. Janina była dobrą krawcową. Jej matka nazywała się Smiley. Co to za pomysł, Paulino Gibson, chcieć „coś jasnego”! Gdybym jej pozwoliła, panno Shirley, ubierałaby się na szkarłatno od stóp do głów. Tylko czeka na moją śmierć, aby to zrobić. Ach, już wkrótce uwolnię cię od swej kłopotliwej osoby, Paulino. Będiesz wówczas mogła nosić, co zechcesz. Lecz dopóki ja żyję, masz być przyzwoitą. I co to za problem z kapeluszem? Możesz włożyć beret!

Paulinę ogarniało przerażenie na samą myśl o tym, że musiałaby włożyć beret. Wolałaby raczej do końca życia nie zdejmować z głowy starego, obszarpanego kapelusza.

- Zamierzam nie myśleć o swoim stroju i mimo wszystko się cieszyć - powiedziała Ani, gdy po rozmowie z panią Gibson wyszły do ogrodu, aby zerwać dla wdów trochę irysów i groszku pachnącego.

- Mam pewien plan - rzekła Ania, rzucając ostrożne spojrzenie w stronę domu. Nie była pewna, czy pani Gibson, obserwująca je z okna, nie usłyszy jej słów. - Pamięta pani moją srebrzystą sukienkę? Pożyczę ją pani na wesele.

Paulina z wrażenia upuściła na ziemię kwiaty, zasypując stopy Ani białoróżowym pachnącym groszkiem.

- Och, kochanie, nie mogłabym. Mama by mi nie pozwoliła.

- Nie będzie o tym wiedziała. Niech pani posłucha. W sobotę rano narzuci pani na moją suknię swoją. Wiem, że srebrzysta sukienka będzie na panią dobra. Jest troszkę przydługa, ale upnę na niej kilka fałd - fałdy stają się teraz modne. Ma wycięcie przy szyi i rękawy do łokci, więc nie będzie jej widać. Gdy pani dojedzie do Guli Cove, zdejmie pani taftową suknię. Po uroczystości może pani moją sukienkę zostawić w Guli Cove. Odbiorę ją w przyszłym tygodniu, gdy pojadę - do domu.

- Czy nie jest ona dla mnie zbyt młodzieńcza?

- Ani trochę. Srebrzysty kolor nadaje się dla kobiet w każdym wieku.

- Czy myśli pani, że będzie... słuszne... oszukać mamę? - głos Pauliny zadrżał.

- W tym wypadku najśluszniesze - odparła Ania bezwstydnie. - Wie pani przecież, Paulino, że na weselu nie należy nosić czarnej sukni. Mogłoby to przynieść nieszczęście pannie młodej.

- Och, nie, nie chcę tego! I rzeczywiście, mamie wcale nie będzie przykro. Mam nadzieję, że dobrze znieśie tę sobotę. Boję się, że nic nie zje podczas mojej nieobecności. Tak było, gdy pojechałam na pogrzeb kuzynki Matyldy. Powiedziała mi o tym pani Prouty, która wtedy z nią została. Była bardzo obruszona na kuzynkę Matyldę za to, że umarła... to znaczy, mama była.

- Będzie jadła... Dopilnuję tego.

- Trudno będzie pani ją zadowolić - przyznała Paulina. - Czy nie zapomni pani podać jej regularnie lekarstwo? Może jednak mimo wszystko nie powinnam jechać?

- Jesteście tam tak długo, że zdążyłybyście zerwać kwiatów na czterdzieści bukietów - zawołała pani Gibson z irytacją. - Nie mam pojęcia, Paulino, na co wdowom twoje kwiaty. Mają mnóstwo własnych. Musiałabym wieki całe obejść się bez kwiatów, gdybym czekała, aż Rebeka Dew mi je przyśle! Umieram z pragnienia. Ale oczywiście to nikogo nie wzrusza!

W piątek wieczorem przerażona Paulina zatelefonowała do Ani. Miała silny ból gardła. Czy panna Shirley nie sądzi, że to początek świnki? Ania zapakowała srebrzystą sukienkę w brązowy karton i pobiegła uspokajać Paulinę. Schowała karton w krzakach bzu. Późną nocą Paulina, oblana zimnym potem, zdołała go przemycić do małego pokoiku, w którym trzymała swoje rzeczy. Tam też się ubierała, ale nie mogła nocować. Biedaczkę dręczyły wyrzuty sumienia. Może ból gardła był karą za oszustwo? Ale przecież nie mogła pojechać na srebrne wesele Luizy w okropnej czarnej sukni! Po prostu nie mogła.

Wczesnym rankiem w sobotę Ania przyszła do pani Gibson. Słoneczne promienie tańczyły w jej włosach i wyglądała ślicznie, świeża i uśmiechnięta jak wiosna. Poruszała się w złocistym powietrzu niczym zwiewna postać ze starych waz greckich. Blaskiem roześmianych oczu rozjaśniłaby każdy, nawet najsmutniejszy pokój.

- Chodzi pani tak, jakby należała do pani cała ziemia - rzekła z sarkazmem w głosie pani Gibson.

- Bo tak jest - odparła Ania wesoło.

- Ach, jaka pani jest jeszcze młoda - powiedziała pani Gibson ze złością.

- „Serca swego przed żadną radością nie zamykam” - zacytowała Ania. - Oto odpowiedni dla pani werset biblijny, pani Gibson.

- „Podobnie jak iskry ulatują w górę, tak człowiek zrodził się, żeby żyć w kłopotach”. To też jest z Biblii - odparowała pani Gibson. Fakt, że tak łatwo znalazła replikę na uwagę panny Shirley, magistra nauk humanistycznych, wprowadził ją w stosunkowo niezły humor. - Nigdy nie lubiłam nikomu prawić komplementów, panno Shirley, ale jest pani nieźle w tym kapeluszu z niebieskim kwiatem. Pani włosy nie wydają się w nim tak czerwone. Czy nie podziwiasz tej młodej i świeżej dziewczyny, Paulino? Pewnie sama byś chciała być młodą i świeżą panną, co?

Paulina, przejęta i szczęśliwa, nie chciała w tej chwili być nikim innym niż sobą. Ania poszła z nią na górę pomóc jej w nakładaniu sukienki.

- Cudownie jest pomyśleć o różnych miłych rzeczach, które się dziś wydarzą, panno Shirley. Gardło przestało mnie boleć, a mama jest w całkiem dobrym humorze. Pani pewnie jest innego zdania. Ale mama mówi. Gdyby była wściekła, nie wyrzekłaby ani słowa. Obrałam ziemniaki, stek jest w spiżarni, a krem migdałowy dla mamy w piwnicy. Kurczę na kolację i ciasto położyłam w spiżarni. Okropnie się boję, że mama jeszcze zmieni decyzję. Nie zniosłabym tego. Och, panno Shirley, czy naprawdę pani uważa, że powinnam włożyć tę sukienkę? Naprawdę?

- Niech się pani ubiera - powiedziała Ania mentorskim tonem. Paulina posłuchała... I oto przed Anią stanęła przeobrażona Paulina.

Świetnie wyglądała w srebrzystej sukni z małym wycięciem przy szyi i sięgającymi do łokci rękawami obszytymi koronką. Gdy jeszcze Ania upięła jej włosy, sama Paulina nie mogła się poznać.

- To okropne, że muszę włożyć na wierzch tę szkaradną tafelę, panno Shirley.

Ale trzeba było to zrobić. Czarna suknia bardzo dokładnie zasłoniła srebrzystą. Na głowę Paulina włożyła stary kapelusz, ale i on miał zniknąć w Guli Cove. Co więcej, pani Gibson wydała zezwolenie na kupno nowych pantofli, chociaż z oburzeniem stwierdziła, że mają one skandalicznie wysokie obcasy.

- Co to za sensacja jechać samej pociągami. Mam nadzieję, że ludzie nie pomyślą, iż wiąże się to z czymś pogrzebem. Nie chciałabym, żeby srebrne wesele Luizy łączono z myślą o śmierci. Och, panno Shirley. Perfumy. Zapach kwiatów jabłoni! Niech pani powącha... Czyż nie cudowny? Zawsze uważałam, że takich perfum powinna używać wielka dama. Mama nie pozwalała mi wyrzucać pieniędzy na coś takiego. Och, panno Shirley, nie zapomni pani nakarmić psa? Zostawiłam dla niego kości w spiżarni, w zakrytym garnku.

Przed wyjazdem Paulina musiała poddać się oględzinom matki. Poczucie winy z powodu srebrzystej sukni i podniecenie wywołały na jej twarzy niezwykle rumieńce. Pani Gibson spojrzała na nią z niezadowoleniem.

- Och, coś takiego! Jedziemy do Londynu oglądać królową, co? Masz okropne rumieńce. Ludzie pomyślą, że użyłaś barwiczki. Czy jesteś pewna, że tego nie zrobiłaś?

- Och, mamie! Nie, nie! - wybąkała zaszokowana Paulina.

- Uważaj na swoje manery i siedząc trzymaj razem kolana. Nie siadaj w przelocie i nie mów za dużo.

- Nie będę, mamie - obiecała szczerze Paulina, niespokojnie spoglądając na zegarek.

- Posyłam Luizie butelkę mocnego sarsaparylowego wina, aby miała czym wychylać toasty. Nigdy nie obchodziła mnie ona sama, ale jej matka była Tackaberry z domu. Pamiętaj, żebyś przywiozła butelkę z powrotem, i nie pozwól ofiarować sobie kota. Luiza zawsze rozdaje ludziom koty.

- Nie pozwolę, mamie.

- Czy jesteś pewna, że nie zostawiłaś mydła w wodzie?

- Zupełnie, mamie - Paulina ponownie spojrzała na zegarek.

- Czy zawiązałaś sznurowadła?

- Tak, mamie.

- Nie pachniesz przyzwoicie. Jesteś zlane perfumami.

- Och, nie, mam. Tylko troszeczkę... odrobinę...

- Powiedziałam „zlana”, i to chciałam powiedzieć. Czy nie masz dziury w rękawie pod pachą?

- Nie, mam.

- Pokaż - powiedziała nieubłagane pani Gibson.

Paulina wzdygnęła się. Co będzie, jeśli przy oględzinach rzekomej dziury matka zauważy srebrzystą sukienkę?

- A więc dobrze, jedź! - rozległo się głębokie westchnienie. - Jeśli po twoim powrocie nie będzie mnie już tutaj, pamiętaj, że chcę być pochowana w koronkowym szalu i czarnych satynowych pantoflach. I dopatrz, żeby mi ufryzowano włosy.

- Czy czujesz się gorzej, mam? - srebrzysta sukienka uczyniła sumienie Pauliny jeszcze bardziej wrażliwym. - Jeśli tak... to nie pojedę...

- I zmarnujesz moje pieniądze, wydane na te pantofle! Oczywiście, że pojedziesz. I pamiętaj, żebyś nie zjeżdżała po poręczy.

- Mam! Czy sądzisz, że bym mogła?

- Zjeżdżałaś na weselu Nancy Parker.

- Trzydzieści pięć lat temu! Myślisz, że mogłabym teraz zrobić coś takiego?

- Czas już na ciebie. Po co się tu kręcisz? Czy chcesz się spóźnić na pociąg?

Paulina wyszła pośpiesznie, a Ania odetchnęła z ulgą. Zaczynała się już obawiać, że stara dama, tknięta diabelską ochotą, zatrzyma Paulinę do odejścia pociągu.

- No, teraz będzie trochę spokoju - powiedziała pani Gibson. - W domu panuje okropny rozgardiasz, panno Shirley. Mam nadzieję, że pani uwierzy, że nie jest tak zawsze. Przez kilka ostatnich dni Paulina nie wiedziała, co robi. Czy może pani przesunąć ten wazon o cal w lewo? Nie, niech go pani przesunie z powrotem. Tamta lampa krzywo stoi. Dobrze. Teraz jest trochę lepiej. Ale jedna żaluzja wisi o cal niżej niż druga. Niech to pani poprawi.

Ania nieco zbyt gwałtownie pociągnęła za sznurek, który wyleciał jej z ręki, a żaluzja ze świstem podniosła się do góry.

- Aha. Widzi pani - powiedziała pani Gibson. Ania starannie opuściła żaluzję.

- Czy mogę teraz przygotować dla pani szklankę herbaty?

- Mam na coś ochotę. Jestem wykończona tym bałaganem i pośpiechem. Mam uczucie, że wypadnie ze mnie żołądek - powiedziała pani Gibson patetycznie. - Czy umie pani robić herbatę? Wolę pić błoto niż herbatę, którą robią poniekąd.

- Maryla Cuthbert nauczyła mnie zaparzać herbatę. Zobaczy pani. Przede wszystkim jednak wyjadę z panią na ganek, aby pani mogła nacieszyć się promieniami słońca.

- Od lat nie bywałam na zewnątrz - broniła się pani Gibson.

- Och, dziś jest tak pięknie, na pewno to pani nie zaszkodzi. Chcę pani pokazać dziką jabłonkę, która właśnie rozkwitła. Stąd nie może jej pani zobaczyć. Poza tym wieje południowy wiatr, który przyniesie pani zapach koniczyzny, rosnącej na polach Normana Johnsona. Przyniosę herbatę, wypijemy ją razem, a potem siądę przy pani z robótką i będziemy zabawiać się ploteczkami.

- Nie przestaję z ludźmi, którzy obmawiają bliźnich - powiedziała pani Gibson w porywie szlachetności. - To jest niegodne chrześcijanki. Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żeby powiedzieć mi szczerze, czy to wszystko są pani własne włosy?

- Co do jednego - zaśmiała się Ania.

- Szkoda, że są czerwone. Chociaż zdaje się, że czerwone włosy stają się modne. Lubię, jak pani się śmieje. Nerwowy chichot Pauliny działa mi na nerwy. No cóż, jeśli mam wyjść na dwór, muszę to zrobić. Pewnie zaziębę się na śmierć, ale pani będzie za to odpowiedzialna, panno Shirley. Proszę pamiętać, że mam osiemdziesiąt lat, co do dnia, chociaż podobno Dawid Ackham opowiada po całym Summerside, że dopiero skończyłam siedemdziesiąt dziewięć. Jego matka była Watt z domu. Wattowie zawsze słynęli z zazdrośczenia wszystkim wszystkiego.

Ania wypchnęła fotel na dwór i poprawiła pani Gibson poduszki. Wkrótce potem przyniosła herbatę, którą starsza dama łaskawie raczyła pochwalić.

- Tak, to się da wypić, panno Shirley. Ach, mój Boże, przez cały rok musiałam żywić się wyłącznie płynami. Nikt nie sądził, że przeżyję.

Często myślę, że byłoby lepiej, gdybym wtedy umarła. Czy to o tym drzewie pani mówiła?

- Tak. Czyż nie jest piękne? Takie białe na tle ciemnoniebieskiego nieba.

- Nie mam poetycznego usposobienia - taki był jedyny komentarz pani Gibson. Lecz po dwóch filiżankach herbaty wpadła w dość miły nastrój i przedpołudnie upłynęło szybko. Czas było pomyśleć o obiedzie.

- Pójdę go przygotować i przyniosę tu na małym stoliku.

- Nie, tego pani nie robi, panienko. Żadnych małych popisów! Ludzie uznaliby, że to idiotyczne jeść w publicznym miejscu. Nie zaprzeczam, że jest tu dość miło, chociaż zapach koniczyzny zawsze pobudzał mnie do mdłości. Przedpołudnie minęło szybciej niż zazwyczaj, ale nie będę jadła obiadu poza domem dla niczych kaprysów. Nie jestem Cyganką. Niech

pani nie zapomni umyć rąk, zanim zacznie pani szykować obiad. O, pani Storey chyba oczekuje gości. Wietrzy całą pościel na dworze. To nie wynika wcale z gościnności. Chce tylko wywołać sensację. Jej matka była z Careyów.

Obiad ugotowany przez Anię zadowolił nawet panią Gibson.

- Nie sądziłam, że ktoś, kto pisze do gazet, umie gotować. Oczywiście wychowała panią Marylę Cuthbert. Jej matka była z domu Johnson. Sądzę, że Paulina obje się nieprzyzwoicie na tym weselu. Nigdy nie wie, czy zjadła już dosyć. Zupełnie jak jej ojciec. Nieraz widziałam, jak objadał się truskawkami, choć wiedział, że za godzinę będzie zwijał się z bólu. Czy pokazywałam pani jego portret, panno Shirley? Niech pani pójdzie do sypialni i przyniesie go. Znajdzie go pani pod łóżkiem. Niech pani pamięta, że nie wolno zaglądać do szuflad! Ale proszę sprawdzić, czy pod biurkiem nie ma kurzu. Nie ufam Paulinie. Aha, oto on. Jego matka była z domu Walker. Obecnie nie ma już takich mężczyzn. Żyjemy w zdegenerowanych czasach, panno Shirley.

- To samo mówił Homer osiemset lat przed naszą erą - uśmiechnęła się Ania.

- Niektórzy z tych pisarzy ze Starego Testamentu zawsze się wygłupiali - odparła pani Gibson. - Przypuszczam, że zdziwi się pani, słysząc to, co powiem, ale mój mąż był człowiekiem o szerokich horyzontach. Słyszałam, że jest pani zaręczona ze studentem medycyny. Sądzę, że większość studentów medycyny pije... Muszą to robić, żeby wytrzymać podczas sekcji. Niech pani nigdy nie wychodzi za człowieka, który pije, panno Shirley. Ani za takiego, co nie daje nic na dom. Kwiaty i światło księżyca nie wystarczą do życia. Zapewniam panią o tym. Proszę umyć zlew i wypłukać ścierki. Nie znoszę zatłuszczonych ścierek. Myślę, że musi pani nakarmić psa. Jest za gruby, Paulina go przekarmia. Czasem myślę, że będę musiała się go pozbyć.

- O, nie robiłabym tego, pani Gibson. Kradzieże zawsze się zdarzają, a pani dom stoi tu samotnie, z dala od innych. Pies jest dobrym stróżem.

- Niech pani sobie myśli, co chce. Nie lubię się sprzeczać. I to jeszcze gdy chwytają mnie kurcze w szyi. Pewnie to oznacza, że dostanę ataku.

- Powinna się pani zdrzemnąć. Od razu poczuje się pani lepiej. Otulę panią pledem i zniżę oparcie fotela. Czy chce pani może wyjechać na ganek i tam pospać?

- Spać na oczach wszystkich! To jeszcze gorzej niż jeść! Ma pani przedziwne pomysły. Zostawi mnie pani w salonie, spuści żaluzje i zamknie drzwi, żeby muchy nie wlatywały do środka. Ośmielę się powiedzieć, że i pani potrzebuje chwili odpoczynku. Język się już pani zastał.

Pani Gibson zdrzemnęła się na długo, lecz obudziła w złym humorze. Nie pozwoliła Ani wypchnąć fotela na ganek.

- Chce pani, żebym przez to wieczorne powietrze umarła - zrzędziła, choć była dopiero piąta. Nic jej nie odpowiadało. Napój, który przyniosła Ania, był za zimny, następny za ciepły. Ale oczywiście może wypić wszystko. Gdzie jest pies? Na pewno coś przeskrobał. Bolą ją plecy i kolana, i głowa, i żebra. Nikt jej nie współczuje, nikt nie wie, przez co przeszła w życiu. Fotel jest za wysoko. A teraz za nisko. Niech panna Shirley przyniesie jej szal na ramiona i pled na kolana. A teraz poduszkę pod stopy. I czy panna Shirley mogłaby sprawdzić, skąd jest ten okropny przeciąg? Chętnie wypiłaby szklankę herbaty, ale nie chce nikomu sprawiać kłopotu. Już wkrótce będzie odpoczywała w grobie. Może ludzie docenią ją po śmierci.

„Czy dzień jest krótki, czy długi, w końcu zabrzmi pieśń wieczorna”. Ania myślała, że to chyba nigdy nie nastąpi. Lecz wieczór jednak nadszedł. Słońce schowało się za widnokręgiem i pani Gibson zaczęła snuć domysły, dlaczego Paulina jeszcze nie wraca. Zapadł zmierzch... Pauliny ciągle nie było. Na niebie ukazał się księżyc, a Paulina nie nadjeżdżała.

- Wiedziałam, że tak będzie - powiedziała pani Gibson grobowym tonem.

- Przecież nie mogła wracać bez pana Gregora, a on zawsze czeka do ostatniej chwili - łagodziała Ania. - Czy mogę położyć panią do łóżka, pani Gibson? Jest pani zmęczona... Wiem, że to męczące, gdy wokół kręci się ktoś obcy, zamiast kogoś, do kogo jest pani przyzwyczajona.

Zmarszczki wokół ust pani Gibson pogłębiły się z wyrazem uporu.

- Nie zamierzam kłaść się do łóżka, zanim ta dziewczyna nie wróci do domu. Ale jeśli pani tak bardzo chce już iść, proszę iść. Mogę zostać sama i umrzeć sama.

O wpół do dziesiątej pani Gibson doszła do wniosku, że Jim Gregor wróci do Summerside w poniedziałek.

- Nie należy polegać na obietnicach Jima Gregora. Co chwila zmienia plany i decyzje. Uważa, że w niedzielę nie wypada jeździć, nawet gdy chodzi o powrót do domu. On jest w radzie szkolnej, prawda? Co pani o nim myśli? Ania rozzłościła się. Przecież, jakby nie było, wytrzymała z panią Gibson cały dzień.

- Uważam, że jest przykładem psychologicznego anachronizmu - odpowiedziała poważnie. Pani Gibson nawet nie mrugnęła okiem.

- Zgadzam się z panią - powiedziała. Ale wkrótce potem udała, że śpi.

XIV

Wybiła godzina dziesiąta, gdy nadeszła Paulina... Paulina o gwieździstych oczach i płonących policzkach. Wyglądała o dziesięć lat młodziej pomimo czarnej sukni i starego kapelusza. Niosła przepiękny bukiet, który pośpiesznie podała ponurej, starej damie, siedzącej w fotelu na kółkach.

- Panna młoda przesyła ci swój bukiet. Czy nie jest piękny?

- W sam raz dla kota! Nie sądzę, że ktokolwiek wpadł na pomysł, żeby mi przesłać kawałek weselnego tortu, choćby okruszynę. W obecnych czasach ludzie nie mają żadnych uczuć rodzinnych. Ach, pamiętam dzień...

- Ależ przysłali! Mam w walizce duży kawałek. I wszyscy o ciebie pytali, mam, i prosili, żeby cię serdecznie pozdrowić.

- Czy dobrze się pani bawiła? - spytała Ania.

Paulina usiadła na niewygodnym, twardym krześle. Wiedziała, że matka nie pozwoli jej usiąść na miękkim.

- Owszem - odparła ostrożnie. - Obiad weselny był wspaniały, a pan Freeman, pastor z Guli Cove, ponownie udzielił Luizie i Maurycemu ślubu.

- Uważam, że to świętokradztwo.

- A potem fotograf robił wszystkim zdjęcia. Kwiaty były precudowne. Salon zamienił się w kwietną altanę.

- Niczym na pogrzebie.

- Och, mam, i Mary Luckley przyjechała z zachodu. Wiesz, pani Flemming. Pamiętasz, jak bardzo się przyjaźniłyśmy. Nazywano nas Polly i Molly.

- Bardzo głupio.

- Tak cudownie było znów się zobaczyć. Rozmawiałyśmy długo o dawnych czasach. Przyjechała też jej siostra Emma z przesłodkim dzieckiem.

- Mówisz tak, jakby to było coś do zjedzenia - zrzędziła pani Gibson. - Dzieci są dość zwykłym zjawiskiem.

- O, nieprawda, wcale nie są czymś zwykłym! - powiedziała Ania, wnosząc wazon z wodą, żeby wstawić bukiet. - Każde to osobny cud.

- Miałam ich dziesięcioro j nie zauważyłam, żeby któremuś zdarzyło się coś cudownego. Paulino, siedź spokojnie, jeśli możesz. Drażnisz mnie. Nawet nie spytałaś, jak ja

spędziłam ten dzień. Ale sądzę, że nie powinnam była spodziewać się zainteresowania z twojej strony.

- Mogę śmiało odgadnąć, jak przeszedł ci dzień, mamó, nie pytając. Wyglądasz tak świeżo i pogodnie. - Paulina czuła się tak podniesiona na duchu po dniu spędzonym na weselu, że mogła zachować się wobec matki nieco odważniej niż zwykle. - Jestem pewna, że miło spędzyliście czas z panną Shirley.

- Zupełnie dobrze sobie poradziłyśmy. Pozwoliłam jej robić, co chciała. Przyznaję, że po raz pierwszy od lat brałam udział w ciekawej rozmowie. Nie stoję tak blisko nad grobem, jakby sobie niektórzy życzyli. Chwała niebiosom, nie jestem głucha ani zdziecinniała. Sądzę, że następnym razem wybierzesz się na Księżyc. I przypuszczam, że nie przyjęli z zachwytem mojego вина.

- Och, bardzo im smakowało. Uważali, że jest wspaniałe.

- To tylko ty tak mówisz. Czy przywiozłaś z powrotem butelkę, czy też pamiętanie o tym przekraczało twoje możliwości?

- Bu... butelka stłukła się - powiedziała Paulina drżącym głosem. - Ktoś ją przewrócił w spiżarni. Ale Luiza dała mi dokładnie taką samą, więc nie martw się, mamó.

- Miałam tę butelkę od chwili, gdy zaczęłam prowadzić dom. Butelka Luizy na pewno nie jest taka sama. Obecnie nie robi się takich butelek. Chcę, żebyś mi przyniosła jeszcze jeden szal. Mam katar. Obawiam się, że się strasznie zaziębiłam. Żadna z was nie pamięta, że nie wolno dopuszczać do mnie chłodnego powietrza. Na pewno znowu dostanę zapalenia korzonków nerwowych.

W tym momencie wpadł na chwilę sąsiad mieszkający w górze ulicy. Paulina skorzystała, by wyjść razem z Anią.

- Dobranoc, panno Shirley - powiedziała dość uprzejmie pani Gibson. - Jestem pani bardzo zobowiązana. Gdyby w tym mieście było więcej podobnych do pani ludzi, byłoby to dla niego z pożytkiem. - Uśmiechnęła się bezzębnymi ustami i przyciągnęła Anię do siebie. Paulina i Ania kroczyły wzdłuż ulicy. Była chłodna, zielona noc.

Paulina zdobyła się na wynurzenia, jakich nigdy nie słyszała jej matka. - Och, panno Shirley, to było boskie. Jakże zdołam się pani odwdziżyć? Nigdy nie spędziłam tak cudownego dnia. Będę żyła przez lata całe wspominając go. Zabawne było stać się ponownie druhną. Kapitan Izaak Kent był drużbą. On, on był kiedyś moim wielbicielem. Powiedział: „Pamiętam, jak ładnie wyglądałaś na weselu Luizy w sukience koloru вина”. Czyż to nie cudowne, że zapamiętał tę suknię? I dodał: „Twoje włosy mają kolor syropu melasowego”. Nie było w tym chyba nic nieprzyzwoitego, panno Shirley?

- Oczywiście, że nie.

- Gdy wszyscy goście odjechali, Luiza, Molly i ja zjadłyśmy razem kolację. Byłam okropnie głodna. Chyba od lat nie byłam tak głodna. Miło jest jeść wszystko, na co ma się ochotę, i nie wysłuchiwać uwag, że to czy tamto z pewnością mi zaszkodzi. Po kolacji poszłyśmy z Mary do jej starego domu i spacerowałyśmy po ogrodzie, wspominając dawne czasy. Widziałyśmy krzaki bzu, które zasadziłyśmy przed laty. Jako dziewczęta spędziłyśmy wspólnie wiele pięknych wakacji. Gdy zaszło słońce, poszłyśmy na kochane, stare wybrzeże i usiadłyśmy w milczeniu na skale. Z oddalonej przystani dobiegało bicie dzwonów, od morza wiał łagodny wiaterek, a gwiazdy przeglądały się w drżącej powierzchni wody. Zapomniałam już, jak piękne są noce nad zatoką. Kiedy zrobiło się całkiem ciemno, wróciłyśmy do domu. Pan Gregor czekał... i tak - zakończyła Paulina ze śmiechem. - „stara kobieta powróciła do domu tej nocy”.

- Chciałabym... Chciałabym, żeby pani nie miała tak trudnego życia w domu, Paulino.

- O, droga panno Shirley, teraz nie będę się tym tak przejmowała - powiedziała Paulina pośpiesznie. - Mimo wszystko biedna mama mnie potrzebuje. A tak miło jest czuć się komuś potrzebnym, kochanie.

Tak, to była prawda. Ania myślała o tym jeszcze w swym pokoju na wieży. Marcin, umknąwszy uwadze Rebeki Dew i wdów, leżał zwinięty w kłębek na jej łóżku. Myślała o Paulinie, która powróciła do swej niewoli wspomagana wspomnieniem o szczęśliwym dniu.

- Mam nadzieję, że ktoś będzie mnie zawsze potrzebował - powiedziała Ania do kota.

- Cudownie jest uszczęśliwić kogoś, Marcinie. Ofiarowanie tego dnia Paulinie sprawiło, że czuję się ogromnie bogata. Ale, Marcinie, nie myślisz chyba, że w wieku lat osiemdziesięciu stanę się podobna do pani Adoniramowej Gibson? Co?

Marcin zapewnił ją o tym głębokim miauczeniem.

XV

W piątkowy wieczór, na dzień przed weselem, Ania przyjechała do Bonnyview. Nelsonowie wydawali uroczysty obiad dla rodziny i weselnych gości, którzy przyłączyli się do statku. Wielki, rozbawiony dom, nazywany „letnią rezydencją doktora Nelsona”, wznosił się wśród jodeł na wąskim pasie ziemi, otoczonym z obu stron wodami zatoki. Poza nim rozciągały się złociste wydmy, wiedzące wszystko o wiatrach.

Od pierwszej chwili Ania polubiła ten dom. Stare, kamienne budynki zawsze wyglądają statecznie i godnie. Nie obawiają się deszczu, wiatru i nowej mody. Tego czerwcowego wieczoru dom Nelsonów tętnił życiem, Pełen dziewczęcego śmiechu, składających gratulacje starych przyjaciół, biegających dzieci, nadsyłanych pocztą prezentów. Wszyscy pogrążeni byli w radosnych i gorączkowych przygotowaniach do wesela, a dwa czarne koty doktora, obdarzone imionami: Saul i Barnaba, siedziały na balustradzie werandy i obserwowały bieżące, niczym dwa niewzruszone, czarne sfinksy.

Sally wymknęła się z tłumu i wraz z Anią ulotniła na górę. - Udało mi się uratować dla ciebie północny pokój na facjacie. Oczywiście będziesz miała co najmniej trzy współmieszkanki. Co za bałagan! Tata rozbił między jodłami namiot dla chłopców, a później rozstawił na werandzie rozkładane łóżka. Szczęśliwie większość dzieci zapakujemy do stogu siana. Och, Aniu, jestem tak przejęta. Nie ma doprawdy końca zabawie, gdy wychodzi się za mąż. Akurat dziś przysłało mi z Montrealu suknię ślubną. Wygląda jak marzenie; wyszywany perłami kremowy jedwab z koronkami. Przyszły też śliczne prezenty. Oto twoje łóżko. Oprócz ciebie będą tu spały Mania Gray, Dorota Fraser i Zuzia Palmer. Mama chciała ulokować w tym pokoju Amy Steward, ale nie zgodziłam się. Amy ciebie nie znoś, bo chciała być moją druhną. Trudno jednak, bym miała taką tłustą i puchowatą druhnę. Nawiasem mówiąc, w zielonym kolorze wygląda jak ktoś chory na chorobę morską. Och, Aniu, jest tu ciotka Wywłaczacz. Przyjechała przed paroma minutami i jesteśmy po prostu przerażeni. Oczywiście musieliśmy ją zaprosić, lecz nie sądziliśmy wcale, że przyjedzie już dzisiaj!

- Któż to jest ta ciotka Wywłaczacz?

- Ciotka ojca, pani Jakubowa Kennedy. W istocie ma na imię Gracja, ale Tomek przezwał ją Wywłaczacz, bo zawsze węszy wokół i wyciąga rzeczy, które chcielibyśmy przed nią ukryć. Niczego się nie da przed nią schować. Wstaje o piątej rano i ostatnia kładzie się spać w obawie, że mogłaby coś przeoczyć. Ale nie to jest najgorsze. Mówi zawsze to,

czego nie powinna. Nie rozumie, że są pytania, których nie wolno zadawać. Tata nazywa jej występy „uszcześliwiającymi mowami”. Na pewno zepsuje nam kolację.

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła ciotka Wywłachiwacz, tęga, niska kobieta, o rozbieganych oczach i jakby przerażonym wyrazie twarzy. Roztaczała wokół siebie woń naftaliny. Wyglądała rzeczywiście jak kot polujący na myszy.

- Ach, więc to pani jest tą panną Shirley, o której tyle słyszałam. Wcale pani nie przypomina tej panny Shirley, którą kiedyś znałam. Tamta miała przepiękne oczy. A więc, w końcu wychodzisz za mąż, Sally. Biedna Nora zostanie jedyną panną w tym domu. Wasza matka miała dużo szczęścia, że udało jej się pozbyć aż pięciu córek. Osiem lat temu powiedziałam do niej: „Janko, czy myślisz, że te dziewczyny kiedykolwiek wyjdą za mąż?” Cóż, z mężczyznami są same kłopoty, a ze wszystkich niepewnych rzeczy małżeństwo jest najmniej pewną. Ale co innego może zrobić kobieta na tym świecie? Właśnie powiedziałam to Norze. „Zapamiętaj moje słowa, Noro - powiedziałam. - Staropanieństwo nie należy do przyjemności. Co myśli o tym Jim Wilcox?”

- Och, ciociu Gracjo, szkoda, że to zrobiłaś! Jim i Nora w styczniu się pokłócili. Od tego czasu Jim nawet do nas nie zajrzał.

- A ja tam swoje wiem. Lepiej jest mówić o tych rzeczach. Słyszałam, że się pokłócili, i dlatego spytałam Norę o niego. „Powinnaś wiedzieć o tym - powiedziałam - że on przesiaduje u Eleonory Pringle”. Zrobiła się czerwona i uciekła. Co tu robi Wera Johnson? Nie jest przecież waszą krewną.

- Wera jest moją najlepszą przyjaciółką, ciociu Gracjo. Będzie grała marsz weselny.

- Ach, to ona? Mam nadzieję, że się nie pomyli i nie zagra marsza żałobnego, jak pani Tomaszowa Scott na ślubie Dory Best. Taki zły omen. Nie mam pojęcia, gdzie przenocujecie cały ten tłum. Wyliczyłam, że chyba niektórzy będą musieli spać przewieszeni przez sznury do suszenia bielizny!

- Och, znajdziemy miejsce dla wszystkich, ciociu Gracjo.

- Cóż, Sally, mam nadzieję, że nie rozmyślisz się w ostatniej chwili, jak Helena Summers. To by okropnie wszystko skomplikowało. Twój ojciec jest bardzo podniecony. Nigdy nie należałam do osób, które wszędzie wyglądają nieszczęścia, ale mam nadzieję, że nie dostanie zawału. Widziałam już nieraz podobne wypadki.

- Och, ciociu Gracjo, tato czuje się dobrze. Jest tylko trochę przejęty.

- Ach, Sally, jesteś zbyt młoda, by wiedzieć, co może się stać. Twoja matka mówiła, że uroczystość odbędzie się jutro przed południem. Zwyczaj się zmieniają jak wszystko na świecie. Ale wcale nie na lepsze. Gdy ja wychodziłam za mąż, ślub odbył się wieczorem i

ojciec zamówił dwadzieścia galonów napitków na wesele. Ach, czasy się zmieniły. Co się stało z Mercy Daniels? Spotkałam ją na schodach, strasznie zepsuła jej się cera.

- Miłosierdzie nie zna granic - powiedziała Sally, uśmiechając się do swego odbicia w lustrze.

- Nie cytuj pochopnie Biblii, Sally - rzekła ciotka Wywąchiwacz z wyrzutem. - Musi jej pani wybaczyć, panno Shirley. Nie przywykła do j wychodzenia za mąż. Mam nadzieję, że pan młody nie będzie przypominał ściganego zająca, jak większość mężczyzn stojących przed ołtarzem.; Wierzę, że się tak czują, ale nie powinni tego okazywać. I mam nadzieję, że twój wybraniec nie zapomni obrączki, jak to zdarzyło się Uptonowi Hardy. Musiał połączyć się z Florą dozgonnym węzłem za pomocą metalowego kółeczka od zasłon zamiast obrączki. Obejrzę jeszcze prezenty ślubne. Dostałaś dużo ładnych rzeczy, Sally. Mam nadzieję, że nie będzie tak trudno utrzymać w czystości te łyżeczki.

Kolacja na wielkiej, oszklonej werandzie przebiegała w pogodnym nastroju. Wszędzie wisiały chińskie latarnie, rzucające światło na jasne sukienki, lśniące włosy i wesole oczy dziewcząt. Barnaba i Saul, niby hebanowe posążki, siedziały po obu stronach oparcia fotela doktora Nelsona, który karmił je na przemian.

- Jest to niemal równie okropne, jak u Parkera Pringle - powiedziała ciotka Wywąchiwacz. - On sadza przy stole swego psa. Pies ma własne krzesło i serwetkę. Cóż, wcześniej czy później nadejdzie dzień sądu.

Na przyjęciu było wiele osób, bo przyjechały wszystkie siostry Nelson z mężami. Byli też друзowie i druhny. Pomimo „uszcześliwiających mów” ciotki Wywąchiwacz - a może dzięki nim - goście doskonale się bawili. Nikt nie traktował ciotki poważnie, a młodzież żartowała z niej. Gdy przedstawiono jej Gordona Hill, powiedziała:

- Ho, ho, wcale pan nie wygląda tak, jak myślałam. Zawsze sądziłam, że Sally złapie wysokiego, przystojnego chłopca.

Na werandzie rozległy się wybuchy śmiechu. Gordon, młodzieniec dość krępy, o którym przyjaciele mówili, że ma przyjemną twarz, pomyślał, że nigdy nie ucichną. Potem ciotka Wywąchiwacz powiedziała do Doroty Fraser:

- Coś takiego, za każdym razem, gdy cię widzę, masz inną sukienkę. Mam nadzieję, że sakiewka twojego ojca wytrzyma to jeszcze parę lat, zanim wyjdiesz za mąż.

Dorota miałaoby ochotę ugotować ciotkę żywcem, ale inni goście serdecznie się śmieli. Wreszcie ciotka zauważyła posępnie, nawiązując do sprawy przygotowań weselnych:

- Mam nadzieję, że nie zginą łyżeczki do herbaty. Na weselu Gertie Paul zginęło pięć. Nigdy ich nie odnaleziono.

Pani Nelson i jej szwagierki, od których pożyczyła trzy tuziny łyżeczek, zmieniły się na twarzy z przerażenia. Lecz doktor Nelson roześmiał się:

- Przed wyjściem każdy będzie musiał wywrócić kieszenie na zewnątrz, ciociu Gracjo.

- Ach, dobrze ci się śmiać, Samuelu. Nic zabawnego, gdy w rodzinie się coś takiego zdarzy. Ktoś przecież musi mieć te łyżeczki od Paulów. Niewiele bywam, ale gdziekolwiek jestem, zawsze mam oczy otwarte. Poznam je, gdy tylko zobaczę, chociaż to było dwadzieścia osiem lat temu. Biedna Nora była wówczas dzieciątkiem. Pamiętasz ją, Janko, w białej haftowanej sukieneczce? Dwadzieścia osiem lat! Ach, Noro, to jest już wiek, choć w tym oświeceniu nie wydajesz się taka stara.

Nora nie przyłączyła się do śmiechu, który wybuchł po tej mowie. Wyglądała, jakby miała zamiar cisnąć w ciotkę błyskawicą. Pomimo złocistej sukni i pereł w czarnych włosach nasuwała skojarzenie z ponurą zjawą. Przeciwnie niż Sally, która była blondynką o chłodnej urodzie, Nora miała wspaniałe czarne włosy, głębokie oczy, szerokie ciemne brwi i zarumienione policzki. Jej nos zaczynał już nabierać haczykowatego kształtu i nigdy nie zaliczano jej do piękności, lecz pomimo tego posępnego wyglądu Ania czuła do niej dziwną sympatię. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jako przyjaciółka Nora byłaby o wiele ciekawsza niż Sally.

Po kolacji rozpoczęły się tańce. Śmiechy i muzyka płynęły z okien starego kamiennego domu. O dziesiątej Nora zniknęła. Ania była trochę zmęczona zabawą i hałasem. Przemknęła przez hali do tylnych drzwi, które otwierały się niemal tuż nad zatoką, i omijając kępę świerków zbiegła po kilku schodkach na skaliste wybrzeże. Jak rozkosznie świeże było słone morskie powietrze po duchocie panującej w domu! Księżyc malował na powierzchni wody srebrne desenie. Statek, płynący po migotliwym szlaku ku wejściu do portu, wyglądał jak marzenie senne.

Tuż nad morzem w czarnym cieniu skały siedziała przygarbiona Nora. Wyglądała na zagniewaną bardziej niż zazwyczaj.

- Czy mogę na chwilę przy tobie usiąść? - spytała Ania. - Jestem nieco zmęczona tańcami, a szkoda byłoby stracić tak cudowny wieczór. Zazdroszczę ci, że masz całą zatokę jako podwórze!

- Jak czułabyś się w takiej sytuacji, gdybyś nie miała narzeczonego? - spytała gwałtownie Nora. W jej głosie brzmiało zniechęcenie.

- Ani nawet żadnej możliwości udawania, że masz - dodała jeszcze bardziej ponuro.

- Sądzę, że nie masz narzeczonego z własnej winy - odparła Ania siadając przy niej.

Nora nagle zapragnęła zwierzyć się jej ze swoich kłopotów. Ania miała w sobie coś, co skłaniało ludzi do zwierzeń.

- Mówisz to z grzeczności. To niepotrzebne. Wiesz równie dobrze, jak ja, że nie należę do dziewcząt, za którymi mężczyźni szaleją. Jestem „wyniosłą panną Nelson”. To nie jest moja wina, że nie mam nikogo. Nie mogę już tego znieść. Musiałam tu przyjść i pozwolić sobie na wybuch rozpacz. Jestem zmęczona uśmiechaniem się, uprzejmym zachowaniem wobec wszystkich i udawaniem, że nic mnie nie obchodzą przytyki odnośnie mojego staropanieństwa. Ani mi się śni udawać dłużej. Obchodzą mnie... bardzo mnie obchodzą. Jestem jedyną niezamężną z sióstr Nelson. Cztery już wyszły za mąż, a piąta wyjdzie jutro. Słyszałaś przy kolacji, jak ciotka Wywąchiwacz przypomniała mi, ile mam lat. Słyszałam, jak przed kolacją mówiła do mamy, że „postarzałam się znacznie od zeszłego lata”. Oczywiście. Mam dwadzieścia osiem lat. Za dwanaście będę miała czterdzieści. Jakże wówczas zdołam żyć, Aniu, nie mając własnego domu?

- Nie przejmowałabym się gadaniem starej głupiej kobiety.

- Czyżby? Nie masz takiego nosa jak ja. Za dziesięć lat będzie równie haczykowaty jak nos ojca. Sądzisz, że nie przejmowałabyś się także, gdybyś czekała od lat, aż mężczyzna ci się oświadczy, a on nie robi tego?

- Och, myślę, że tym przejęłabym się bardzo.

- Na pewno słyszałaś o Jimie Wilcoxie. To stara historia. Od lat krąży wokół mnie, ale nigdy nie powiedział ani słowa o małżeństwie.

- Czy on obchodzi cię cokolwiek?

- Oczywiście. Zawsze udawałam, że nie dbam o niego, ale jak powiedziałam - mam dość udawania. Nie widziałam go od zeszłej stycznia. Pokłóciliśmy się; ale kłóciliśmy się setki razy. Przedtem wracał, ale tym razem nie wrócił i nie wróci. Nie chce wrócić. Spójrz na jego do po drugiej stronie zatoki. Sądzę, że on jest tam... a ja tu... cała zatoka leży między nami. Tak będzie zawsze. Och, to okropne! I nie mogę ni zrobić.

- Czy nie wróciłby, gdybyś posłała po niego?

- Posłać po niego? Czy myślisz, że mogłabym to zrobić? Prędzej bym umarła. Jeśli chce przyjść, nic mu nie stoi na przeszkodzie. Jeśli nie chce, to i ja nie chcę. Nie, chcę... chcę! Kocham Jima i pragnę wyjść za mąż. Chcę mieć własny dom, być panią, nie panną, i zamknąć usta ciotce. Och, chciałabym zamienić się na chwilę w Barnabę albo Saula i podrapać ją do krwi! Jeśli znowu powie o mnie „biedna Nora”, rzucę w nią czymś ciężkim. Ale w końcu ona mówi tylko to, co wszyscy myślą. Mama dawno już straciła nadzieję, że wyjdę za mąż, i pozostawiła mnie samej sobie. Nienawidzę Sally. Jestem okropna, tak, ale

nienawidzę jej. Będzie miała miłego męża i śliczny dom. To niesprawiedliwe, żeby ona miała wszystko, a ja nic. Wcale nie jest lepsza czy mądrzejsza ode mnie, po prostu ma więcej szczęścia. Pewnie myślisz, że jestem okropna, ale nic mnie to nie obchodzi.

- Myślę, że jesteś bardzo, bardzo zmęczona tygodniami przygotowań i napięcia i pewne rzeczy, które zawsze były trudne, stały się nagle zbyt trudne.

- Rozumiesz mnie... Zawsze wiedziałam, że mnie zrozumiesz. Chciałam zaprzyjaźnić się z tobą, Aniu Shirley. Lubię, gdy się śmiejesz. Chciałabym śmiać się tak jak ty. Nie jestem tak ponura, na jaką wyglądam. To tylko te brwi... Doprawdy myślę, że to one odstraszały mężczyzn. Nigdy w życiu nie miałam prawdziwej przyjaciółki. Ale zawsze miałam Jima. Byliśmy przyjaciółmi od lat dziecięcych. Gdy chciałam go zobaczyć, stawiałam lampkę w oknie na poddaszu, i zaraz przyplątywał. Wszędzie chodziliśmy razem. A teraz wszystko się skończyło. On ma mnie dość i był rad z tej kłótni, bo pod jej pretekstem uwolnił się ode mnie. Pewnie znienawidzę cię jutro za to, że ci to powiedziałam.

- Dlaczego?

- Sądzę, że zawsze nienawidzimy ludzi, którzy znają nasze tajemnice - rzekła Nora posępnie. - Ale podczas tańców coś we mnie wstąpiło i nic mnie nie obchodzi, nie dbam o nic. Och, Aniu Shirley, jestem taka nieszczęśliwa. Pozwól mi się wypłakać. Przez cały jutrzejszy dzień będę musiała się uśmiechać i wyglądać na szczęśliwą. Sally myśli, że nie chciałam być jej druzną z powodu przesądów. „Kto trzy razy drużbuje, nigdy nie ślubuje”. Akurat! Nie mogłam po prostu znieść myśli, że będę stała tuż przy niej i słuchała, jak mówi „Chcę”, gdy wiem, że nigdy nie powiem tego Jimowi. Chyba zaczęłabym jęczeć! Chcę być panną młodą... mieć wyprawę... płótna z monogramem, prezenty. Nawet srebrną maselniczkę od ciotki Wywłachiwacz. Daje maselniczkę każdej pannie młodej: szkaradzieństwo z pokrywą niczym kopuła katedry Świętego Piotra. Stawialibyśmy ją na stole przy śniadaniu, aby Jim się pośmiał. Aniu, ja chyba zwariuję.

Gdy dziewczęta trzymając się za ręce wróciły do domu, potańcówka już się skończyła. Goście układali się do snu. Tomek Nelson zabrał Barnabę i Saula do stodoły. Ciotka Wywłachiwacz siedziała jeszcze na sofie, rozmyślając o wszystkich okropnych rzeczach, które, jak miała nadzieję, nie zdarzą się jutro.

- Mam nadzieję, że nikt nie wystąpi z przyczynami, dla których młodzi nie mogą się pobrać. To zdarzyło się na weselu Tillie Hatfield.

- Gordon nie będzie miał takiego szczęścia - powiedział druhna. Ciotka Wywłachiwacz utkwiała w nim surowe spojrzenie.

- Młody człowieku, małżeństwo nie jest żartem.

- Pani tak zakłada - odparł zagadnięty. - Halo, Nora, kiedy będziemy mieli okazję tańczyć na twoim weselu?

Nora nie odpowiedziała. Podeszła blisko i uderzyła go w twarz z jednej i drugiej strony. Uderzenia nie były udawane. Potem nie oglądając się poszła na górę.

XVI

Sobotnie przedpołudnie przebiegło w ogniu ostatnich przygotowań. Ania w fartuchu pani Nelson pomagała w kuchni Norze w przyrządzaniu sałatek. Nora, najwidoczniej żałując wczorajszych zwierzeń, była bardzo nieprzyjemna.

- Będziemy wykończeni przez miesiąc - warczała - a ojciec na pewno nie ma pieniędzy na cały ten pokaz. Ale Sally nalegała, że chce mieć „ładne wesele”, więc ojciec jej uległ. Zawsze ją psuł.

- Złość i zazdrość - powiedziała ciotka Wywłachiwacz, wychylając głowę ze spiżarni, w której zajmowała się straszeniem pani Nelson swoimi nadziejami na najgorsze.

- Ona ma rację - powiedziała Nora z goryczą. - Zupełną rację. Jestem zła i zazdrosna. Nie cierpię widoku szczęśliwych ludzi. Ale nie żałuję, że wczoraj dałam Judowi Taylor po twarzy. Żałuję tylko, że nie uszczypnęłam go w nos. Cóż, sałatki są gotowe. Wyglądają ładnie. Lubię robić takie rzeczy. Mimo wszystko mam nadzieję, że ze względu na Sally wszystko przebiegnie pomyślnie. Zapewne jednak ją kocham, chociaż wydaje mi się, że nienawidzę wszystkich, a najbardziej Jima Wilcoxa.

- Mam nadzieję, że pan młody stawia się na ceremonię - dobiegł ze spiżarni grobowy głos ciotki Wywłachiwacz. - Austin Greed nie przyszedł na swój ślub. Zapomniał, że tego dnia ma się żenić. Greedowie zawsze byli zapominalscy, ale uważam, że to już jest przesada.

Dziewczyny spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem. Twarz Nory zmieniła się, rozjaśniała, nabrała cieplejszego wyrazu. W tej chwili ktoś przyniósł wieść, że Barnaba się rozchorował na schodach. Pewnie zjadł za dużo kurzych wątróbek. Nora pobiegła, żeby po nim posprzątać, a ciotka Wywłachiwacz wyszła ze spiżarni, żeby oznajmić, iż ma nadzieję, że tort weselny nie zniknie nagle ze stołu, jak to było na weselu Almy Clark.

W południe ukończono przygotowania. Stół był nakryty, łóżka przystrojone świątecznymi kapami, wszędzie stały kosze z kwiatami. W pokoju, na górze, Sally i jej drużny pospiesznie kończyły swoją toaletę. Ania w zielonej sukni i kapeluszu przeglądała się w lustrze. Gdyby tak Gilbert ją teraz zobaczył!

- Jesteś prześliczna - powiedziała Nora z zazdrością.

- To ty jesteś prześliczna, Noro. Ta niebieska sukienka i fantazyjny kapelusz podkreślają kolor twoich oczu i połysk włosów.

- Nikogo nie obchodzi mój wygląd - odparła Nora gorzko. - Aniu, pilnuj, żebym uśmiechała się przez cały czas. Chyba nie powinnam wyglądać jak posłaniec śmierci. Poza

tym mam zagrać marsz weselny, bo Werę boli głowa. Jestem w nastroju bardziej odpowiednim do wykonania marsza żałobnego. W przepowiedniach ciotki Wywłachiwacz czasem jest żdźbło prawdopodobieństwa.

Ciotka, która w niezbyt czystym szlafroku i wymiętym czepeczku od rana kręciła się po domu, przeszkadzając wszystkim, teraz zjawiała się we wspaniałym stroju. Oznajmiła Sally, że jeden rękaw w sukni ślubnej nie leży dobrze i że ma nadzieję, iż spod niczyjej sukni nie ukaże się halka, jak zdarzyło się podczas ślubu Anny Gewson. Pani Nelson na widok ślicznej Sally w ślubnym stroju rozplakała się serdecznie.

- No, no, Janko, nie bądź sentymentalna - uspokajała ją ciotka Wywłachiwacz. - Zostanie ci jeszcze jedna córka... i to pewnie na długo. Łzy na weselu nie przynoszą szczęścia. Mam nadzieję, że nikt nie umrze podczas ceremonii, tak jak wuj Cromwell na ślubie Roberty Pringle. Panna młoda była w szoku przez całe dwa tygodnie.

Po ogłoszeniu przez ciotkę tej natchnionej myśli całe towarzystwo zeszło na dół. Nora burzliwie grała marsza weselnego. Sally i Gordon zostali zaślubieni bez żadnych sensacji. Nikt nie umarł i nie zapomniano o obrączce. Wyglądali tak ładnie, że nawet ciotka Wywłachiwacz na parę chwil zaniechała swoich prorocत्व.

- Mimo wszystko - powiedziała potem do Sally - jeśli nawet nie jesteś bardzo szczęśliwa wychodząc za mąż, może potem nie będziesz bardziej nieszczęśliwa.

Nora w dalszym ciągu znęcała się nad fortepianem. Po chwili jednak podeszła do siostry, uściskała ją i ucałowała w welon.

- A więc skończyło się - rzekła posępnie, gdy po obiedzie i przyjęciu weselnym większość gości się rozjechała. Rozejrzała się po pokoju, który jak zawsze po przyjęciu, wyglądał smutnie i nieporządknie. Na podłodze leżały zakurzone, przydeptane kwiaty, krzesła stały w nieładzie, na dywanach walały się strzępy podartych koronek, zgubione chusteczki do nosa, okruszyny ciast porozrzucane przez dzieci. Na suficie widniała ciemna plama w miejscu, gdzie o piętro wyżej w pokoju gościnnym ciotka Wywłachiwacz wylała na podłogę wodę z dzbanka.

- Muszę uprzątnąć ten bałagan - powiedziała Nora. - Sporo młodzieży zostanie do niedzieli, a część gości czeka na prom. Zamierzają rozpalić ognisko na plaży i tańczyć przy świetle księżyca. Nie możesz sobie wyobrazić, jak daleko mi do nastroju odpowiedniego do urządzenia tańców przy księżycu. Chcę iść do łóżka i popłakać sobie.

- Dom po weselu zawsze wydaje się opuszczony - odparła Ania. - Ale pomogę ci w sprzątaniu, a potem razem wypijemy herbatę.

- Anno Shirley, czy uważasz, że herbata jest lekarstwem na wszystko? To ty powinnaś zostać starą panną, a nie ja. Nie, nie miej mi tego za złe. Nie chcę być przykra, ale chyba mam po temu wrodzone dyspozycje. Nie cierpię myśli o tańcach na wybrzeżu jeszcze bardziej niż o weselu. Jim zawsze był u nas na takich zabawach. Aniu, postanowiłam zostać pielęgniarką. Wiem, że nie polubię tej pracy... i niech niebiosa zmiłują się nad moimi przyszłymi pacjentami... ale ani mi się śni siedzieć tutaj i wysłuchiwać docinków na temat tego, że zostałam na lodzie. No cóż, weźmy się za ten stos brudnych talerzy i spróbujmy udawać, że zmywamy je z przyjemnością.

- Ja lubię zmywać... Zawsze lubiłam. Miło jest widzieć, jak brudne naczynia z powrotem stają się czyste i błyszczące.

- Powinnaś pracować w muzeum - odburknęła Nora. Gdy na niebie pojawił się księżyc, zabawa się rozpoczęła. Chłopcy rozpalili na wybrzeżu ogromne ognisko, a wody zatoki szemrały i migotały w jego blasku. Ania myślała, że będzie się świetnie bawiła, lecz jej radosny nastrój prysnął, gdy ujrzała wyraz twarzy Nory, która przyniosła dla tańczących kosz z kanapkami.

„Jaka ona jest nieszczęśliwa. Gdybym mogła coś dla niej zrobić!” W głowie Ani pojawił się pewien pomysł. Zawsze działała pod wpływem impulsu. Wpadła do kuchni, zabrała stamtąd małą lampkę i tylnymi schodami pobiegła na poddasze. Ustawiła lampkę w oknie i spojrzała na drugi brzeg. Wiedziała, że światełka nie dostrzeże nikt z uczestników zabawy, bo zasłaniały je drzewa.

„Może zobaczy je i przyplynie. Sądzę, że Nora wścieknie się na mnie, ale to będzie bez znaczenia, jeśli tylko on przyplynie. A teraz zapakuję kawałek tortu weselnego dla Rebeki Dew.”

Jim Wilcox nie przyplynał. Ania wkrótce przestała go wyczekiwać i pośród zabawy zapomniała o nim. Nora zniknęła, a ciotka Wywąchiwacz powędrowała do łóżka. O jedenastej tańce się skończyły. Rozbawieni goście ziewając szykowali się do snu. Ania była tak śpiąca, że nawet nie pomyślała o lampce pozostawionej w oknie na poddaszu.

O godzinie drugiej nad ranem do pokoju dziewcząt wślizgnęła się ciotka Wywąchiwacz z zapaloną świecą.

- Na litość boską, co się dzieje? - wyjąkała Dorota Fraser, siadając na łóżku.

- Ci... cho - wyszeptała ciotka, a oczy jej zdawały się wychodzić z orbit. - Ktoś jest w domu... Wiem o tym. Co to za hałas?

- Coś, jakby miauczał kot, a może pies szczeka - zachichotała Dorota.

- Nic takiego - powiedziała ciotka Wywąchiwacz surowo. - Wiem, że pies szczeka w stodole, ale nie to mnie obudziło. To był huk... Wyraźny huk.

- Od duchów, upiorów, długonogich bestii i rzeczy, które hałasują w nocy, wybaw nas, dobry Boże - zamruczała Ania.

- Panno Shirley, tu się nie ma z czego śmiać. W domu są złodzieje.

Zawołam Samuela. Ciotka zniknęła, a dziewczęta spojrzały na siebie.

- Czy myślicie... Wszystkie ślubne prezenty leżą na dole w bibliotece - powiedziała Ania.

- W każdym razie ja wstaję - rzekła Mania. - Aniu, czy widziałas kiedyś coś takiego, jak wyraz twarzy ciotki Wywąchiwacz, gdy trzymała w ręku świecę? I te papiloty, tańczące wokół jej głowy! Zupełna Wiedźma z Endoru!

Cztery dziewczyny w szlafrokach wyslizgnęły się na korytarz. Ciotka Wywąchiwacz właśnie nadchodziła. Za nią szedł doktor Nelson w kapciach i piżamie. Pani Nelson, która nie mogła znaleźć szlafroka, wychyliła zza drzwi sypialni przestraszoną twarz.

- Och, Samuelu, nie narażaj się... Jeśli to są złodzieje...

- Bzdura! Nie wierzę, że w ogóle coś się dzieje - odparł doktor.

- Mówię ci, że słyszałam hałas - zaszemrała ciotka Wywąchiwacz. Dołączyło się do nich kilku chłopców i ostrożnie zeszli na dół. Na czele kroczył doktor, a ciotka Wywąchiwacz z pogrzebaczem w dłoni zamykała pochód.

Rzeczy wiście, z biblioteki dobiegały jakieś głosy. Doktor otworzył drzwi i wszedł do środka.

Na szachownicy, błyskając oczyma z zadowolenia, siedział Barnaba, któremu udało się schować w bibliotece, podczas gdy Saul poszedł spać do stodoły. Pośrodku pokoju stała Nora z młodym człowiekiem. Drgający płomień świecy oświetlał ich słabo. Młody człowiek obejmował Norę i przyciskał do jej twarzy dużą, białą chustkę.

- Chloroformuje ją! - wykrzyknęła ciotka Wywąchiwacz, z hukiem upuszczając pogrzebacz.

Młody człowiek odwrócił się, a chustka wypadła mu z rąk. Miał dość głupią minę. Wyglądał sympatycznie, z szarymi oczami, brązowoczerwonymi włosami i energicznie zarysowanym podbródkiem.

Nora chwyciła chustkę i przycisnęła ją do twarzy.

- Jimie Wilcox, co to ma znaczyć? - zapytał z nadzwyczajną powagą doktor.

- Ja tego nie wiem - odrzekł ponuro Jim. - Wiem tylko, że Nora mnie wzywała. Zobaczyłem światło dopiero o pierwszej, gdy wróciłem z bankietu w Summerside. I natychmiast przypląnąłem.

- Nie wzywałam cię - wybuchnęła Nora. - Na litość boską, ojczy, nie miej takiej miny. Nie mogłam zasnąć... Siedziałam przy oknie w moim pokoju. Nie rozbierałam się... I zobaczyłam, że od wybrzeża nadchodzi jakiś mężczyzna. Gdy się zbliżył, poznałam, że to Jim, i zbiegłam na dół... I... i wpadłam na drzwi, i rozbiłam sobie nos. On właśnie próbował zatamować krwotok.

- Wskoczyłem przez okno i przewróciłem ten stół...

- Mówiłam, że słyszałam huk - odezwała się ciotka Wywłachiwacz.

- ...a teraz Nora mówi, że mnie nie wzywała, więc uwolnię was od mojej nieproszonej osoby. Oczywiście z należytymi przeprosinami.

- Doprawdy, to już zbyt wiele; przerwałeś swój nocny odpoczynek i przypląnąłeś tu nie wiadomo po co! - powiedziała Nora najzimniej jak umiała, szukając na chustce nie zaplamionego miejsca.

- Że po „nie wiadomo co” to pewne - powiedział doktor.

- Lepiej sprawdź, czy nie trzeba zmienić klucza w drzwiach od podwórza - powiedziała ciotka Wywłachiwacz.

- To ja postawiłam lampkę na poddaszu - rzekła Ania ze wstydem. - I zupełnie o niej zapomniałam.

- Ach, ośmieliłaś się! - krzyknęła Nora. - Nigdy ci nie przebaczę!

- Czyście powariowali? - rzekł doktor ze złością. - O co tu w ogóle chodzi? Na litość boską, Jim, zamknij okno. Ten wiatr przewieje cię na drugą stronę. Nora, przechyl głowę do tyłu, to krew przestanie płynąć.

Nora z trudem powstrzymywała łzy gniewu i złości, jednak parę wymknęło się na jej policzki. Zmieszane z krwią nadawały jej przerażający wygląd. Jim sprawiał wrażenie człowieka, który marzy o tym, aby zapadła się pod nim podłoga.

- No dobrze - powiedziała ciotka Wywłachiwacz wojowniczo. - Jedyna rzecz, jaką możesz teraz zrobić, Jimie Wilcox, to ożenić się z nią. Nikt jej nie zechce, gdy rozejdzie się wieść, że znaleziono ją z tobą o drugiej w nocy.

- Ożenić się z nią? - wykrzyknął Jim z gniewem. - Jedyna rzecz, o której marzę od lat! Nigdy nie chciałem niczego więcej!

- Więc dlaczego mi tego nie powiedziałeś? - spytała Nora, odwracając się, żeby mu spojrzeć w twarz.

- Powiedzieć ci? Od lat kpiłaś ze mnie, naigrawałaś się i lekceważyłaś mnie. Nieskończoną ilość razy przechodziłaś samą siebie, żeby okazać, jak bardzo mną gardzisz. Uważałem, że nie mam co ci mówić. I w styczniu powiedziałaś...

- To ty mnie sprowokowałeś!

- Ja sprowokowałem ciebie? To mi się podoba! Specjalnie wywołałaś kłótnię, żeby się mnie pozbyć!

- Nieprawda! Ja...

- I jeszcze byłem tak głupi, żeby się tu pchać po nocy, bo myślałem, że przypomniłaś sobie o naszym starym zwyczaju i wzywasz mnie! Poprosić cię o rękę! Dobrze, zrobię to teraz, żeby raz z tym skończyć. Miej przyjemność upokorzenia mnie przy całej tej kompanii. Noro Edyto Nelson, czy zostaniesz moją żoną?

- Och, tak... Tak! - wykrzyknęła Nora tak bezwstydnie, że nawet Barnaba się zarumienił.

Jim rzucił niedowierzające spojrzenie... i skoczył ku niej. Być może krew przestała już jej płynąć z nosa... a może jeszcze płynęła. Nie miało to znaczenia.

- Pewnie zapomnieliście, że już jest niedziela rano - powiedziała ciotka Wywąchiwacz, która właśnie to sobie uświadomiła. - Chętnie wypiłabym szklankę herbaty, gdyby ktoś ją przygotował. Nie przywykłam do podobnych demonstracji. Mam nadzieję, że biedna Nora wreszcie go zdobyła. W każdym razie ma we mnie świadka!

Poszli do kuchni i pani Nelson zrobiła herbatę. Pili ją wszyscy oprócz Nory i Jima, którzy pozostali w bibliotece z Barnabą w charakterze przyzwoitki. Ania nie widziała Nory aż do rana, a kiedy zobaczyła ją przy śniadaniu, z ledwością ją poznała. Nora wydawała się młodsza o dziesięć lat. Na jej policzkach kwitły rumieńce szczęścia.

- Zawdzięczam to tobie, Aniu. Gdybyś nie postawiła lampki... Chociaż dwie godziny temu miałam ochotę wyrzucić ci włosy z głowy!

- I pomyśleć, że przespałem to wszystko! - żalił się Tomek Nelson. Lecz ostatnie słowo należało do ciotki Wywąchiwacz.

- Szybko się żenisz, długo żałujesz.

XVII

(Wyjątek z listu do Gilberta)

Dziś skończyła się szkoła. Teraz przez dwa miesiące Zielone Wzgórze spryskane rosą, pachnące paprocie przy strumieniu, tańczące cętkowane cienie w Alei Zakochanych, poziomki na pastwisku pana Bella, posępny przepych świerków w Lesie Duchów! Moja dusza ma skrzydła.

Janka Pringle przyniosła mi bukiet konwalii i życzyła wesołych wakacji. Czasem będzie do mnie przyjeżdżała na niedzielę. I mówić tu, że cuda się nie zdarzają!

Lecz serduszko małej Elżbiety zostało złamane. Chciałam, żeby i ona do mnie przyjechała, ale pani Campbell nie uważa tego „za wskazane”. Szczęśliwie nie wspominałam Elżbiecie, że prosiłam babcię o pozwolenie na jej odwiedzinę na Zielonym Wzgórzu, więc zaoszczędziłam jej rozczarowania.

- Na pewno będę przez cały czas pani nieobecności Elżusią - powiedziała dziewczynka. - W każdym razie będę się czuła jak Elżusia.

- Ale pomyśl za to, jak będzie wesoło, kiedy wrócę - odparłam. - Na pewno nie będziesz Elżusią. Nie ma w tobie nic z Elżusi. Co tydzień dostaniesz ode mnie list, mała Elżbieto.

- Och, panno Shirley, czy naprawdę? Jeszcze nigdy nie dostałam listu. To będzie zabawa! Ja też do pani napiszę, jeśli dadzą mi pieniądze na znaczek. Ale nawet gdybym nie napisała, pani i tak będzie wiedziała, że o pani myślę. Nazwałam swojego chomika Shirley... na pani cześć. Nie sprawi to pani przykrości, prawda? Wpierw chciałam nazwać go Anna Shirley, ale potem pomyślałam, że może byłby to brak szacunku... A poza tym imię Anna nie pasuje do chomika. W każdym razie musiałby to być chomik dżentelmen. Chomiki są kochane, prawda? A Kobieta twierdzi, że one zjadają korzenie krzaków różanych!

- Prędzej ona by zjadła - powiedziałam.

Spytałam Julianę Brooke, dokąd jedzie na wakacje. Odpowiedziała krótko:

- Zostaję tu. A pani myślała, że dokąd pojedę?

Poczułam, że powinnam ją zaprosić na Zielone Wzgórze, ale nie mogłam tego zrobić. Sądzę, że i tak by nie przyjechała. Ma szczególny talent do zabijania każdego przejawu radości. Zepsułaby wszystko. Lecz kiedy pomyślę, że będzie sama siedziała w tym okropnym domu, odczuwam wyrzuty sumienia.

Marcin przyniósł do domu żywego węża. Zostawił go w kuchni na podłodze. Gdyby Rebeka Dew mogła zblednąć, z pewnością by to zrobiła.

- To już doprawdy jest szczyt wszystkiego - powiedziała. Ostatnio trochę zrzedzi, bo cały wolny czas spędza w ogrodzie, zdejmując z drzewek różanych wielkie, zielone chrząszcze, które potem topi w nafcie. Rebeka Dew uważa, że na świecie jest stanowczo za dużo owadów.

- Któregoś dnia świat zostanie przez nie zjedzony - prorokuje ponuro.

Nora Nelson i Jim Wilcox pobiorą się we wrześniu. Ślub będzie bardzo cichy, żadnych gości, przyjęć, družbów i druhen. Nora powiedziała mi, że tylko w ten sposób zdoła uniknąć obecności ciotki Wywąchiwacz. Nie chce, żeby ciotka była na jej ślubie. Jednakże ja zostałam zaproszona, co prawda jakby nieoficjalnie. Nora twierdzi, że Jim nie wróciłby do niej, gdybym nie ustawiła tej lampki na poddaszu. Podobno zamierzał sprzedać sklep i wyjechać na zachód. Pomyśl, ile to małżeństw rzekomo skojarzyłam!

Sally powiada, że Nora i Jim będą się kłócić przez całe życie, lecz mimo to przejdą przez nie szczęśliwiej, niż gdyby każde z nich żyło w zgodzie z kimś innym. Lecz ja myślę, że nie będą się kłócić... przynajmniej niezbyt często. Sądzę, że przyczyną większości kłopotów na świecie są nieporozumienia. Ty i ja także nie rozumieliśmy się długo, a teraz...

Dobranoc, najukochańszy. Jeśli moje życzenia mogą mieć jakiś wpływ na Twoje sny, przyśni Ci się coś pięknego.

Tvoja na zawsze.

P S Powyższy zwrot jest dosłownym cytatem z listu babki cioci Misi.

DRUGI ROK

I

Szumiące Topole Summerside,

Aleja Duchów

14 września

Trudno mi pogodzić się z myślą, że nasze cudowne dwa miesiące już minęły. Były cudowne, prawda, najdroższy? Teraz zostały już tylko dwa lata...

Mimo to powrót do Szumiących Topoli był dużą przyjemnością. Czekala na mnie moja własna, prywatna wieża, moje własne krzesło, miękkie łóżko... nawet Marcin wygrzewający się na kuchennym parapecie.

Wdowy powitały mnie radośnie, a Rebeka Dew powiedziała szczerze:

- Dobrze, że pani jest z powrotem.

Takiego samego zdania była mała Elżbieta. Nasze powitanie przy zielonej furtce było bardzo spontaniczne.

- Bałam się, że odnajdzie pani Jutro wcześniej niż ja - powiedziała.

- Czyż nie miły wieczór? - rzekłam.

- Wszystkie wieczory są miłe, gdy jestem z panią, panno Shirley - powiedziała mała Elżbieta.

Był to piękny komplement.

- Jak przeszło ci lato, kochanie? - spytałam.

- Na rozmyślaniach - odparła miękko. - Myślałam o tym wszystkim, co zdarzy się Jutro.

Potem poszliśmy do mojego pokoju na wieży i czytałyśmy historie o słoniach. Mała Elżbieta aktualnie bardzo się interesuje słoniami.

- W samym słowie „słoń” jest coś bajkowego, prawda? - mówi poważnie opierając buzię na dłoni. - Myślę, że Jutro spotkam dużo słoni.

Zaznaczyłyśmy na mapie Krainy Czarów park słoni. Przypuszczam, Gilbertcie, że czytasz to z miną pełną wyższości i pogardy. Ale nie masz racji. Wcale. Na świecie zawsze będą istniały wróżki i czary. Nie można się bez nich obejść. I ktoś musi im pomagać wierząc, że są.

Powrót do szkoły był również miły. Julianna Brooke nic się nie zmieniła, niestety, ale za to moi uczniowie mnie lubią. Janka Pringle poprosiła, żebym pomogła jej zrobić aureole dla aniołków, potrzebnych na koncert naszej szkoły niedzielnej.

Program nauczania jest o wiele ciekawszy niż w ubiegłym roku. Dołączono do niego historię Kanady. Jutro wygłoszę mały wykładzik o wojnie tysiąc osiemset dwunastego roku. Dziwnie jest opowiadać o tych starych czasach; o czymś, co się już nigdy nie zdarzy. Sądzę, że dla żadnego z nas wojna nie stanie się czymś więcej niż historią sprzed lat. Wydaje mi się niemożliwe, aby Kanada jeszcze kiedyś wzięła udział w wojnie. Cieszę się z całego serca, że mamy już za sobą ten okropny okres w historii naszego kraju.

Zamierzam zreorganizować nasz Klub Dramatyczny i przeprowadzić wśród rodzin związanych ze szkołą kwestę na ten cel. Lewis Allen i ja wybraliśmy na kwestowanie Dawlish Road. Pójdziemy tam w sobotę po południu. Lewis spróbuje złapać dwie sroki za ogon. Ubiega się o nagrodę na konkursie na najlepsze zdjęcie gospodarstwa wiejskiego ogłoszonym przez „Gospodarstwa Kanadyjskie”. Nagroda wynosi dwadzieścia pięć dolarów. Te pieniądze bardzo by się przydały Lewisowi na kupno nowego płaszcza i ubrania. Przez całe lato pracował na farmie, a teraz ponownie prowadzi gospodarstwo ludziom, u których mieszka. Sądzę, że serdecznie nie lubi tej pracy, ale nigdy nic nie mówi na ten temat. Lubię Lewisa. Jest śmiały, ambitny i ma miły uśmiech. I doprawdy za dużo pracuje. W zeszłym roku obawiałam się, że nie wytrzyma do końca. Lato spędzone na wsi trochę podbudowało jego siły. Ten rok będzie ostatnim, jaki spędzi w Summerside. Później postara się dostać na Uniwersytet Królewski. Wdowy zamierzają jak najczęściej zapraszać go na niedzielne kolacje. Odbylam w tej sprawie konferencję z ciocią Kasią. Razem obmyśliłyśmy „sposoby i środki”, jakie należy podjąć w celu przekonania Rebeki Dew. W obecności tej ostatniej zapytałam ciocię Kasię, czy mogłabym co najmniej dwa razy w miesiącu zapraszać Lewisa na kolację. Ciocia Kasia odparła zimno, że chyba nie będą mogły sobie na to pozwolić. Przecież i tak stale zapraszają „pewną ubogą sierotę”. Rebeka Dew wydała okrzyk oburzenia:

- To już jest szczyt wszystkiego. Czyżbyśmy były aż tak biedne, aby od czasu do czasu nie dać czegoś zjeść ubogiemu chłopcu, który pragnie zdobyć wykształcenie? Więcej wydajecie na wątróbkę dla Tego Kota! Zmniejszcie moją pensję o dolara, ale zapraszajcie Lewisa!

Zapadła decyzja zgodna z pragnieniem Rebeki. Lewis będzie przychodził i ani Marcin, ani Rebeka Dew na tym nie ucierpią. Kochana Rebeka Dew!

Wczoraj wieczorem przyszła do mnie ciocia Misia, żeby powiedzieć, że chce sobie kupić kapelusz wyszywany paciorkami. Ale ciocia Kasia powiedziała jej, że jest za stara, żeby nosić takie rzeczy, więc uczucia cioci Misi zostały zranione.

- Czy myślisz, że rzeczywiście jestem za stara, Aniu? Nie chciałabym zachowywać się jak osoba niedystyngowana, ale zawsze marzyłam o kapeluszu z paciorkami. Uważałam, że te kapelusze są wesołe... i teraz ponownie stają się modne.

- Za stara! Oczywiście, że nie - zapewniłam ją. - Nikt nie jest za stary, żeby nosić to, na co ma ochotę. Gdybyś była za stara, nie chciałabyś włożyć takiego kapelusza, kochanie.

- A więc sprzeciwię się Kasi i kupię go - powiedziała zuchwałym tonem ciocia Misia. Sądzę, że zrobi to rzeczywiście...

Siedzę samotnie w mojej wieży. Wokół roztacza się ciemna, spokojna noc, pełna aksamitnej ciszy. Nawet topole nie poruszają swoimi Usteczkami. Właśnie przed chwilą wychyliłam się przez okno i posłałam pocałunek komuś, kto znajduje się o niecałe sto mil stąd, w Kingsporcie.

II

Dawlish Road była wijącą się drogą, a podobnie pięknego popołudnia mogliby sobie życzyć wszyscy wędrowcy. Tak przynajmniej uważali Ania i Lewis, idący kwestować. Od czasu do czasu zatrzymywali się, aby podziwiać szafirowy skrawek nieba, prześwitujący pomiędzy drzewami, szczególnie piękny fragment krajobrazu i malowniczo położone w dolinie domy. Pukanie do drzwi i zwracanie się z prośbą o pieniądze na rzecz Klubu Dramatycznego nie było równie przyjemne, lecz Ania i Lewis podzielili się pracą między sobą; Lewis usiłował oczarować kobiety, a Ania zwracała się do mężczyzn.

- Niech pani rozmawia z mężczyznami, jeśli pani jedzie w tej sukni i kapeluszu - radziła Rebeka Dew. - Swego czasu dużo kwestowałam i mam niezłe doświadczenie w tych sprawach. Jeśli zwracać się do mężczyzn, lepiej mieć na sobie ładną sukienkę i starać się przyjemnie wyglądać. Im ładniejsza sukienka, tym więcej pieniędzy - lub przyrzeczeń, że zostaną ofiarowane. Lecz jeśli zwracać się do kobiet, należy włożyć na siebie najstarszy i najbrzydszy łach.

- Czy ta droga nie jest wspaniała? - odezwała się Ania marząco. - Nie jest prosta, lecz pełna zakrętów, poza którymi mogą ukrywać się różne cuda i niespodzianki. Zawsze kochałam zakręty na drogach.

- Dokąd prowadzi Dawlish Road? - spytał praktycznie Lewis, chociaż w tym samym momencie uświadomił sobie, że brzmienie głosu panny Shirley zawsze nasuwało mu myśl o wiośnie.

- Mogłabym odpowiedzieć mentorskim tonem, że donikąd. Kończy się tu, lecz wolę myśleć inaczej. Jakież to ma znaczenie, dokąd ona biegnie? Może na koniec świata i z powrotem? Pamiętasz słowa Emersona*: „Och co mam zrobić z czasem?” Niech to będzie nasze motto na dzisiaj. Sądzę, że świat odurzyłby się własnym pięknem, gdybyśmy mu na to pozwolili. Spójrz na cienie rzucane przez chmury, na spokojne, zielone doliny, na tendom z jabłoniemi rosnącymi przy jego czterech rogach. Wyobraź sobie, że jest wiosna. Takiego dnia jak dziś ludzie czują, że żyją, a każdy wiaterek wydaje się bratem. Cieszę się, że rośnie tu tyle pachnących paproci, paproci pokrytych przedzą babiego lata. Przypominają mi się dni, kiedy wierzyłam - lub udawałam, że wierzę - sądząc, że wierzyłam, iż babie lato służy wróżkom za obrus.

* Ralph Waldo Emerson (1803-1882) - pisarz amerykański, czołowy ideolog amerykańskiego romantycznego nurtu filozoficzno-moralnego.

Znaleźli przy drodze złocistą kotlinkę i usiedli na mchu, który wyglądał jak zrobiony z maleńkich paprotek. Wypili herbatę z kubka naprędce skręconego z kory brzozy przez Lewisa.

- Nie zna się rozkoszy picia wody, dopóki człowiek nie jest do cna spalony pragnieniem - powiedział Lewis. - Tego lata pracowałem na budowie kolei na zachodzie. Któregoś upalnego dnia zabłądziłem na prerii i tułałem się przez kilka godzin. Myślałem, że umrę z pragnienia. Trafiłem wreszcie na szalas osadnika. Wśród wierzb było źródło podobne do tego tutaj. Och, jakże ja piłem! Od tego dnia rozumiem biblijną miłość do wody.

- Zapewne wkrótce zapoznamy się z wodą innego rodzaju - odezwała się Ania niespokojnie. - Nadchodzi deszcz. Bardzo lubię deszcze, ale mam na głowie najlepszy swój kapelusz, a na sobie prawie najlepszą sukienkę. A w promieniu pół mili nie ma żadnego domu.

- Niedaleko stąd jest stara, opuszczona kuźnia - powiedział Lewis - ale musimy do niej pójść.

Pobiegli szybko i ukryli się pod dachem. Cieszyli się deszczem jak wszystkim tego beztrudnego popołudnia. Wokół zapanowała cisza; Swobodny wietrzyk, gwiżdżący wesoło wzdłuż drogi, ucichł nagle, drzewa; zneruchomiały. Nie drgnęła ani jedna gałązka, ani jeden cień. Liście na rosnącym na zakręcie klonie odwróciły na zewnątrz srebrzyste blaszki, jakby pobladły z przerażenia. Wielki, zimny cień zdawał się pochłaniać świat niczym zielona fala. Wreszcie z szumem i śpiewem wiatru zaczęło padać. Krople ostro uderzyły po liściach, zatańczyły wzdłuż zadymionej czerwonej drogi i wesoło zabębniły w dach starej kuźni.

- Jeśli to potrwa... - odezwał się Lewis.

Deszcz przestał padać równie nagle, jak zaczął, i wśród mokrych, lśniących drzew rozbrzysły promienie słońca. Olśniewająco błękitne skrawki nieba pojawiły się między rozdartymi, białymi chmurami. Wszystko wydawało się zdumiewająco świeże i jakby odrodzone.

- Spróbujemy pójść tędy - powiedziała Ania, skoro podjęli dalszą wędrówkę. Zafascynowała ją wąska, śliczna dróżka, biegnąca wzdłuż starego żelaznego parkanu pomalowanego na złoty kolor.

- Nikt nie może tam mieszkać - rzekł Lewis z powątpiewaniem. - Ta droga biegnie pewnie tylko do przystani.

- Nie szkodzi, pójdźmy nią. Zawsze miałam słabość do bocznych dróg - zapomnianych, opuszczonych i samotnych. Czy czujesz zapach wilgotnej trawy, Lewisie? Czuję, że tam jest jakiś dom...

Wewnętrzne przekonanie Ani nie zawiodło jej. Wkrótce ujrzeli jakiś dom. Staroświecki, nieco dziwaczny, z niskim okapem i drobnymi, kwadratowymi szybami w oknach. Wielkie wierzby opiekuńczo rozciągały nad nim swoje ramiona, a dziko rosnące krzewy tłoczyły się wokół. Dom był szary i nie wyglądał dostatnio. Za to stojące za nim duże stodoły wydawały się zadbane pod każdym względem, uderzały czystością i okazałością.

- Słyszałem, panno Shirley, że jeśli obejście wygląda lepiej niż dom, oznacza to, iż dochody gospodarza przekraczają jego wydatki - powiedział Lewis, kierując się ku domowi drogą, pokrytą koleinami.

- Uznałabym to raczej za świadectwo, że gospodarz myśli więcej o swoich koniach niż o rodzinie - roześmiała się Ania. - Nie podejrzewam, byśmy uzyskali tu pieniądze dla naszego Klubu, lecz spośród wszystkich domów, któreśmy widzieli, ten ma największe szansę na uzyskanie pierwszej nagrody. Na zdjęciu jego szarość nie będzie razila.

- Ta droga nie wygląda na zbyt uczęszczaną - powiedział Lewis, wzruszając ramionami. - Prawdopodobnie ludzie, którzy tu mieszkają, nie są towarzyscy. Obawiam się, że nie wiedzą nawet, co to jest Klub Dramatyczny. W każdym razie zrobię zdjęcie, zanim wygnamy kogoś z mieszkańców z matecznika. Dom wydawał się opuszczony. Mimo to gdy Lewis go sfotografował, otworzyli białą furteczkę, przeszli przez podwórze i zapukali do zakurzonych drzwi kuchennych. Frontowe, podobnie jak w Szumiących Topolach, najwyraźniej były bardziej na pokaz niż do używania... o ile można powiedzieć, że drzwi całkiem zarośnięte bluszczem są na pokaz.

Ania pukając do drzwi oczekiwała, że spotka się z grzecznością, jak zawsze dotychczas podczas kwesty, bez względu na to, czy grzeczności towarzyszyła obietnica ofiarowania pieniędzy, czy nie. Niemal cofnęła się z wrażenia, gdy w drzwiach, zamiast uśmiechniętej żony czy córki farmera, pojawił się mieszkaniec tego dziwnego domu, wysoki i barczysty mężczyzna w wieku pięćdziesięciu lat, o szpakowatych włosach i krzaczastych brwiach.

- Czego chcecie? - zapytał bez wstępów.

- Myśleliśmy, że może zainteresuje pana nasz Klub Dramatyczny - zaczęła nieśmiało Ania.

Gospodarz zaoszczędził jej dalszych wysiłków.

- Nie słyszałem o żadnym klubie. Nie chcę o nim słyszeć. Nie mam z nim nic wspólnego - przerwał bezceremonialnie i gwałtownie zatrzęsął drzwiami.

- Ale nas złażał - powiedziała Ania, gdy wyszli z powrotem na drogę.

- Uroczy, przyjacielski dżentelmen - chichotał Lewis. - Żal mi jego żony, o ile ma taką.

- Nie przypuszczam. Żona by go trochę ucywilizowała - odparła Ania, usiłując odzyskać równowagę wewnętrzną. - Gdyby tak zabrała się za niego Rebeka Dew! W każdym razie zrobiłeś zdjęcie domu. Mam przecucie, że zdobędzie ono pierwszą nagrodę. Och! Kamyk wleciał mi do buta. Usiądę tu na kamieniu przy wale i wyrzucę go, czy się to podoba gospodarzowi, czy nie.

- Szczęśliwie nie widać nas z okien - powiedział Lewis.

Ania właśnie rozwiązała sznurowadło, gdy usłyszeli, że coś przedziera się przez krzaki. Po chwili z gęstwiny zarośli wynurzył się mały chłopczyk. Na widok nieznajomych zatrzymał się. Przez chwilę patrzył na nich nieśmiało, ściskając w pulchnych rączkach duży kawałek szarlotki. Było to ładne dziecko, o wielkich, pełnych zaufania oczach błyszczących radością, brązowych lokach i delikatnych rysach twarzy.

Za plecami chłopca stał duży owczarek nowofundlandzki, sięgający głową do jego ramienia.

- Jak się masz, synku? - powiedział Lewis. - Czyj jesteś?

Chłopiec postąpił ku nim. Uśmiechnął się i wyciągnął rączkę z kawałkiem szarlotki.

- Weźcie to - rzekł nieśmiało. - Tata upiekł dla mnie ciasto, ale chętnie je wam odstąpię. Mam dużo innych rzeczy do jedzenia.

Lewis zamierzał nietaktownie odmówić przyjęcia poczęstunku, ale Ania pospiesznie trąciła go łokciem. Wziął więc szarlotkę i poważnie podał ją Ani, która z równą powagą podzieliła ciasto na dwie części i oddała mu połowę. Pomimo wątpliwości, które obydwójce żywili co do Kulinarnych umiejętności „taty”, musieli je zjeść. Lecz już pierwszy kęs ich uspokoił. „Tata” co prawda nie wykazywał znajomości dworskiej etykiety, lecz szarlotki robił wspaniale.

- Coś pysznego - odezwała się Ania. - Jak się nazywasz, kochanie?

- Teddy Armstrong - odpowiedział mały dobroczyńca. - Ale tata nazywa mnie Małym Człowiekiem. Ma tylko mnie. Okropnie mnie kocha, a ja jego też. Pewnie myślicie, że on jest źle wychowany, bo zamknął drzwi. Ale on na pewno nie chciał źle. Słyszałem, że prosiliście o coś do jedzenia. „Nie prosiliśmy, ale to nie ma znaczenia” - pomyślała Ania.

- Byłem w ogrodzie za krzakami róż i postanowiłem, że dam wam moje ciasto. Zawsze żałuję biednych ludzi, którzy nie mają co jeść. Ja mam zawsze. Mój tata jest doskonałym kucharzem. Gdybyście wiedzieli, jaki robi pudding ryżowy!

- Czy daje do niego rodzyнки? - spytał Lewis, mrugając na Anię.

- Mnóstwo. Mój tata jest wspaniały.

- Czy mamy nie masz, kochanie? - spytała Ania.

- Nie. Moja mama umarła. Pani Merrill powiedziała, że ona poszła do nieba. Ale tata twierdzi, że takiego miejsca nie ma, a sędzę, że powinien się na tym znać. Jest bardzo mądry. Przeczytał tysiące książek. Chcę być taki jak on, gdy dorosnę; tylko będę ludziom dawał jeść, kiedy mnie poproszą. Mój tata nie lubi ludzi, ale dla mnie jest bardzo dobry.

- Czy chodzisz do szkoły? - zagadnął Lewis.

- Nie. Tata uczy mnie w domu. Ale kurator powiedział, że na następny rok muszę pójść. Chciałbym chodzić do szkoły i bawić się z innymi chłopcami. Co prawda, mam Carla, a tata jest wspaniałym kompanem, jeśli ma czas. Ale widzicie, on jest przeważnie okropnie zajęty. Prowadzi całą farmę i jeszcze dom. Dlatego nie ma czasu dla ludzi. Gdy będę większy i zacznę mu pomagać, wtedy na pewno znajdzie czas, żeby zachowywać się uprzejmie.

- To ciasto było całkiem dobre, Mały Człowieku - powiedział Lewis. Oczy malca zaśniły.

- Tak się cieszę, że wam smakowało.

- Czy chcesz, żeby ci zrobić zdjęcie? - spytała Ania. - Jeśli chcesz, to Lewis ci zrobi.

- Och, pewnie, że chcę! - rzekł Mały Człowiek z zapalem. - I Carlowi też?

- Oczywiście.

Ania ustawiła chłopca i psa na ciemnym tle krzaków. Malec objął Carla za szyję. Obydwaj mieli zadowolone miny, gdy Lewis ich fotografował.

- Jeśli zdjęcie się udało, przysyłę ci je pocztą - obiecał. - Jak mam zaadresować przesyłkę?

- Teddy Armstrong u pana Jakuba Armstronga, Glencove Road - powiedział Mały Człowiek. - Och, jaka to będzie zabawa, gdy coś do mnie przyjdzie pocztą! Mówię wam, będę okropnie dumny. Nie powiem ani słowa tacie, więc i dla niego to będzie wspaniała niespodzianka.

- A więc za dwa lub trzy tygodnie czekaj na przesyłkę - powiedział Lewis, gdy żegnał się z chłopcem.

Ania pochyliła się i ucałowała małą, opaloną twarzyczkę. Coś w tym dziecku głęboko ją wzruszało.

Jeszcze na zakręcie obejrzała się i zobaczyła, jak chłopczyk, stojąc z psem u nogi, macha ku nim rączką.

Oczywiście Rebeka Dew wiedziała wszystko o Armstrongach.

- Jakub Armstrong nie przyszedł do siebie po śmierci żony, którą stracił pięć lat temu - powiedziała. - Przedtem nie był taki zły. Uważano go nawet za dość miłego, chociaż zawsze żył jak pustelnik. Taki już był. Żona mogła go owinąć wokół swego małego paluszka. Była od niego dwadzieścia lat młodsza. Słyszałam, że jej śmierć była dla niego okropnym ciosem. Zmienił się całkowicie. Zbikował i zgorzkniał. Nie ma nawet gospodyni. Sam prowadzi dom i zajmuje się dzieckiem. Przed ożenkiem był nauczycielem, więc trochę się na tym zna.

- Ale co to za życie dla dziecka - powiedziała ciocia Misia. - Ojciec nie zabiera go nawet do kościoła. Dziecko wcale nie spotyka się z ludźmi.

- Jakub Armstrong uwielbia tego chłopca - powiedziała ciocia Kasia.

III

Dopiero w trzy tygodnie później Lewis znalazł czas na wywołanie zdjęć. Gdy przyszedł w niedzielę na kolację do Szumiących Topoli, przyniósł je ze sobą. Zarówno zdjęcie domu, jak i Małego Człowieka udało się znakomicie. Teddy uśmiechał się z fotografii „jak żywy”, powiedziała Rebeka Dew.

- Ależ on jest podobny do ciebie, Lewisie! - wykrzyknęła Ania.

- To prawda - zgodziła się Rebeka Dew, krytycznie spoglądając na zdjęcie. - Od razu pomyślałam, że ten mały mi przypomina kogoś znajomego, ale nie mogłam sobie uświadomić kogo.

- Oczy... czoło... i wyraz twarzy są twoje, Lewisie - rzekła Ania.

- Trudno uwierzyć, że byłem kiedyś takim małym chłopaczkiem - Lewis wzruszył ramionami. - Mam gdzieś swoją fotografię zrobioną w wieku lat ośmiu. Poszukam jej i porównam ją z tą. Uśmieje się pani, panno Shirley. Jestem na niej dzieckiem o poważnych oczach, długich lokach i w koronkowym kołnierzu. Wyglądam sztywno jak drut. Pewnie tak długo mnie ustawiali, że nie mogłem wyglądać inaczej. Podobieństwo do Teddy'ego to czysty przypadek. Mały Człowiek z pewnością nie jest moim krewnym. Nie mam obecnie żadnej rodziny na Wyspie Księcia Edwarda...

- A gdzie się urodziłeś? - spytała ciocia Kasia.

- W Nowym Brunswiku. Ojciec i matka zmarli, gdy miałem dziesięć lat, więc przyjechałem tutaj, żeby zamieszkać u kuzynki matki. Nazywałem ją ciocią Idą. Ona też umarła... trzy lata temu.

- Jim Armstrong pochodzi z Nowego Brunswiku - powiedziała Rebeka Dew. - Nie jest tubylcem z krwi i kości. Jako rodowity mieszkaniec Wyspy nie byłby tak zgorzkniały. My również bywamy dziwaczni, ale jesteśmy ludźmi ucywilizowanymi.

- Wcale nie wiem, czy chciałbym w miłym panu Armstrongu odnaleźć krewniaka - zachichotał Lewis, biorąc się za cynamonowe ciasteczka cioci Misi. - Niemniej gdy odblaski będą gotowe, pojedę z nimi na Glencove Road i postaram się czegoś dowiedzieć. Może jestem jakimś dalekim ich kuzynem. Nic nie wiem o rodzinie matki, o ile w ogóle posiadała taką. Zawsze myślałem, że nie miała nikogo. Ojciec na pewno nie miał.

- Jeśli sam zawieszysz zdjęcia, Mały Człowiek będzie rozczarowany, że nie dostanie przesyłki pocztowej - powiedziała Ania.

- Myślałem o tym. Poślę mu pocztą co innego.

W następną sobotę po południu Lewis zajechał przed Szumiące Topole antycznym kabrioletem, do którego była zaprzęgnięta jeszcze bardziej antyczna klacz.

- Jadę na Glencove Road, żeby zawieźć małemu Teddy'emu zdjęcie panno Shirley. Jeśli widok mojej przykurzonej karocy nie rani pani uczuć, chętnie zabiorę panią z sobą. Myślę, że żadne koło nam nie odpadnie po drodze.

- Gdzieżeś wynalazł tę chabetę, Lewisie? - zagadnęła Rebeka Dew

- Proszę się nie śmiać z mojego wspaniałego rumaka, panno Dew. Należy mieć szacunek dla podeszłego wieku. Pan Bender pożyczył mi klacz i bryczkę pod warunkiem, że załatwię coś dla niego na Dawlish Road. Nie mam czasu, żeby iść na piechotę na Glencove Road.

- Nie masz czasu! - powiedziała Rebeka Dew. - Z pewnością byłabym tam i z powrotem prędzej niż to zwierzę!

- Z worem ziemniaków dla pana Bendera na plecach? Panno Dew, jest pani nadzwyczajną kobietą!

Czerwone policzki Rebeki Dew poczerwieniały jeszcze bardziej.

- To niegrzecznie wyśmiewać się ze starszych - rzekła z wyrzutem. I dodała mimochodem: - Zjadłbyś może przed drogą kilka pączków?

Skoro wyjechali poza miasto, biała klacz rozwinęła zdumiewającą szybkość. Ania, podskakując w trzęsącej się bryczce, śmiała się do siebie. Co by powiedziała ciotka Jakubina lub pani Gardner, gdyby ją teraz zobaczyły? Mniejsza z tym. Dzień był wymarzony na wycieczkę wśród pól, na których panowała jesień, a Lewis doskonale nadawał się na towarzysza. Ten chłopiec osiągnie swój cel w życiu. Żaden z jej znajomych nie ośmieliłby się zaprosić ją na przejażdżkę starą bryczką Bendera, do której była zaprzęgnięta stara klacz. Ale Lewisowi na pewno nawet nie przyszło do głowy, że w jego propozycji jest coś niewłaściwego. Jakie znaczenie ma środek lokomocji, jeśli dzięki niemu można dostać się do celu? Spokojne zbocza oddalonych wzgórz są błękitne, drogi równie czerwone jak zawsze, a klony toną w powodzi szkarłatnych liści bez względu na to, jakim powozem się jedzie. Lewis był filozofem i nie obchodziła go ludzka gadanina. Nie przejął się wcale, gdy koledzy w szkole przezywali go „dziewczynką” dlatego, że prowadził dom u swoich gospodarzy. Niech przezywają! Nadejdzie dzień, kiedy to on będzie się śmiał. Miał puste kieszenie, ale nie głowę. Teraz zaś popołudnie było a oni jechali, żeby znów zobaczyć Małego Człowieka. Po załadowaniu ziemniaków u szwagra pana Bendera, powiedzieli mu o celu swojej podróży.

- Czy chcecie powiedzieć, że macie fotografię małego Teddy'ego Armstronga? - wykrzyknął pan Merrill.

- I to całkiem dobrą - odparł Lewis, odwijając zdjęcie i podając mu je. - Nie sędzę, by zawodowy fotograf zrobił lepszą.

Pan Merill głośno uderzył się ręką po udzie.

- No, to przechodzi ludzkie pojęcie! Mały Teddy Armstrong nie żyje...

- Nie żyje! - krzyknęła Ania z przerażeniem. - Och, panie Merill, nie, niech pan tego nie mówi... Ten mały, słodki chłopczyk.

- Przykro mi, panienko, ale to jest fakt. Jego ojciec jest nieprzytomny z rozpaczy, a co najgorsze, nie ma nawet jego zdjęcia. A wy macie, i to dobre. No, no!

- To... to wydaje się niemożliwe - powiedziała Ania z oczami pełnymi łez. Przypomniła sobie małą, drobną figurkę, machającą rączką na pożegnanie.

- Przykro mi powiedzieć, że to jest aż zbyt prawdziwe. Zmarł niecałe trzy tygodnie temu. Zapalenie płuc. Bardzo cierpiał, ale powiadają, że był tak dzielny i cierpliwy, jakby tego sobie mógł życzyć każdy z nas. Nie wiem, co będzie z Jakubem Armstrongiem. Mówią, że oszalał, bo ciągle rozpacza i mamrocze do siebie. „Gdybym chociaż miał zdjęcie mojego Małego Człowieka” - powtarza ciągle.

- Szkoda mi go - powiedziała nagle pani Merill. Do tej pory spokojnie stała przy mężu i nie odzywała się. Była to cherlawa, szara kobieta, ubrana w marną perkalową sukienkę i fartuch. - Dobrze mu się powodzi i zawsze miałam wrażenie, że patrzy na nas z góry, ponieważ jesteśmy ubodzy. Ale my mamy naszego chłopca... A bieda jest bez znaczenia, gdy ma się coś do kochania.

Ania spojrzała na panią Merill z szacunkiem. Ta kobieta nie była piękna, lecz gdy jej głębokie, szare oczy spotkały się ze wzrokiem Ani, dziewczyna poczuła w niej pokrewną duszę. Nigdy przedtem ani potem Ania nie widziała pani Merill, ale zawsze wspominała ją jako kobietę, która poznała najcenniejszą tajemnicę życia. Nigdy nie jest się biednym, jeśli ma się coś do kochania.

Złocisty dzień stracił dla Ani urok. W tamtym krótkim spotkaniu Mały Człowiek zdobył jej sympatię. W milczeniu jechała z Lewisem Glencove Road, a później drogą zarośniętą trawą. Na kamieniu przed niebieskimi drzwiami leżał Carlo. Podniósł się i poszedł im na spotkanie. Drzwi były otwarte, w pokoju siedział mężczyzna z głową opartą o blat stołu.

Na stukanie zerwał się i podszedł do drzwi. Anię zdumiała zmiana zaszła w jego wyglądzie. Obdarty, nie ogolony, z zapadniętymi policzkami, patrzył na nią oczami, w których widniała gorączka.

Ania spodziewała się nieprzyjemnego powitania, lecz wydawało się, że mężczyzna ją poznał, gdyż rzekł obojętnie:

- Więc jest pani z powrotem? Mały Człowiek mówił mi, że pani z nim rozmawiała i pocałowała go. Polubił panią. Było mi przykro, że postąpiłem z panią grubiańsko. Czego pani sobie życzy?

- Chcemy panu coś pokazać - rzekła Ania uprzejmie.

- Może wejdzie pani do środka i usiądzie? - zaproponował posępnie.

Lewis bez słowa wyjął fotografię Małego Człowieka i podał mu. Jakub Armstrong chwycił ją, obrzucił zdumionym, zgłodniałym spojrzeniem, po czym upadł na krzesło i wybuchnął płaczem. Ania nigdy jeszcze nie widziała płaczącego mężczyzny. Stała więc w milczeniu, ogarnięta serdecznym współczuciem, dopóki gospodarz nie odzyskał panowania nad sobą.

- Och, nie macie pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczy - powiedział wreszcie załamany głosem ojciec Małego Człowieka. - Nie miałem żadnego jego zdjęcia. Nie umiem zapamiętać rysów twarzy jak inni ludzie, nie mogę ujrzeć czyjejś twarzy w myśli. Od kiedy Mały Człowiek umarł, to było okropne... Nie mogłem nawet przypomnieć sobie, jak wyglądał. A teraz przynosicie mi to zdjęcie, chociaż byłem dla was nieuprzejmy. Proszę, usiądźcie... usiądźcie. Chciałbym umieć wyrazić swą wdzięczność. Uratowaliście mnie od szaleństwa... a może nawet ocaliliście mi życie. Och, panienko, czyż to nie jest on? Wydaje się, że zaraz coś powie! Mój kochany Mały Człowiek! Jakże będę bez niego żył? Nie mam po co żyć. Wpierw jego matka... a teraz on.

- Był słodkim małym chłopczykiem - powiedziała Ania z czułością.

- Tak, Mały Teddy... Teodor, jak nazywała go matka, jej „dar od Boga”, jak mówiła. Był taki cierpliwy, wcale się nie żalił. Raz uśmiechnął się do mnie i powiedział: „Tato, sądzę, że w jednej rzeczy się myliłeś... tylko w jednej. Niebo jest, prawda? Prawda, tato?” Odpowiedziałem, że tak, że jest... Uśmiechnął się znów, jakby zadowolony, i powiedział: „A więc idę tam, tatusiu, i chyba będzie mi tam dobrze. Ale boję się o ciebie. Będziesz okropnie samotny beze mnie. Postaraj się ze wszystkich sił zachowywać uprzejmie wobec ludzi, którzy czasem tu zaglądają”. Zmusił mnie, żebym mu to przyrzekł. A kiedy umarł, ta pustka była okropna... Chyba bym zwariował, gdybyście mi nie przywieźli tego zdjęcia. Teraz już nie będzie mi tak ciężko.

Przez pewien czas mówił o Małym Człowieku, jakby znajdując w tym ulgę i przyjemność. Jego rezerwa i grubiaństwo opadły zeń niczym ubranie. Wreszcie Lewis wydobył swoje małe, zakurzone zdjęcie z dziecińczych lat i pokazał mu.

- Czy widział pan kogoś podobnego do tego chłopca na fotografii, panie Armstrong? - spytała Ania. Zapytany spojrział na zdjęcie z zakłopotaniem.

- Jest niesamowicie podobny do Małego Człowieka - powiedział wreszcie. - Któż to jest?

- Ja - rzekł Lewis. - Miałem wtedy osiem lat. Właśnie ze względu na dziwne podobieństwo do Teddy'ego panna Shirley chciała, żebym to panu pokazał. Pomyślałem, że może pan lub Mały Człowiek i ja jesteśmy dalekimi krewnymi. Nazywam się Lewis Allen, a moim ojcem był Jerzy Allen. Urodziłem się w Nowym Brunswiku.

Jakub Armstrong potrząsnął głową przecząco. Po chwili zapytał:

- Jak nazywała się twoja matka?

- Maria Gardiner.

Przez chwilę Jakub Armstrong patrzył na niego w milczeniu.

- To była moja przyrodnia siostra - powiedział wreszcie. - Słabo ją znałem... widziałem ją tylko raz. Po śmierci ojca wychowywałem się u stryja. Matka ponownie wyszła za mąż i wyjechała. Raz przyjechała do mnie ze swoją małą córeczką. Wkrótce umarła i nigdy już nie widziałem swojej przyrodniej siostry. Gdy przyjechałem na Wyspę, straciłem po niej ślad. Jesteś moim siostrzeńcem i ciotecznym bratem Małego Człowieka.

Była to zdumiewająca wieść dla chłopca, który uważał, że nie ma nikogo na świecie. Ania i Lewis spędzili cały wieczór u pana Armstronga. Okazało się, że jest on czytającym i inteligentnym człowiekiem. Obydwoje go polubili. Zapomnieli o jego dawnej nieuprzejmości, odkrywając pod pozorami grubiaństwa prawdziwie wartościowy charakter.

- Naturalnie Mały Człowiek nie mógłby kochać tak bardzo swojego ojca, gdyby on nie był właśnie taki - powiedziała Ania, gdy o zachodzie wraz z Lewisem udali się w drogę powrotną do Szumiących Topoli.

Gdy w tydzień później Lewis Allen pojechał w odwiedziny do wuja, ten ostatni powiedział do niego:

- Chłopcze, zamieszkaj ze mną. Jesteś moim siostrzeńcem i mogę uczynić dla ciebie wiele dobrego... to, co zrobiłbym dla Małego Człowieka, gdyby żył. Tak jak ja, jesteś sam jeden na świecie. Potrzebuję ciebie. Jeśli pozostanę sam, stanę się jeszcze bardziej zgorzkniały i twardy. Chcę, żebyś mi pomógł dotrzymać przyrzeczenia, jakie dałem Małemu Człowiekowi. Jego miejsce jest puste. Przyjdź i zajmij je.

- Dziękuję, wujku, będę się starał - powiedział Lewis wyciągając do niego rękę.

- I od czasu do czasu przywieź ze sobą tę nauczycielkę. Lubię tę dziewczynę. Mały Człowiek ją lubił. „Tato - powiedział - zawsze myślałem, że nie będzie mi się podobało, gdy

pocałuje mnie ktoś oprócz ciebie. Ale ona zrobiła to bardzo miło. Miała coś takiego w oczach, tatusiu”.

IV

- Stary termometr na werandzie wskazuje zero, a na nowym przy drzwiach kuchennych jest dziesięć stopni ciepła - zauważyła Ania pewnego grudniowego wieczoru. - Nie wiem więc, czy zabrać mufkę, czy nie.

- Lepiej wierzyć staremu termometrowi - powiedziała ostrożnie Rebeka Dew. - Prawdopodobnie bardziej przywykł do naszego klimatu. Dokąd się pani wybiera w taki zimny wieczór?

- Na ulicę Klasztorną. Zamierzam poprosić Juliannę Brooke, aby spędziła Boże Narodzenie ze mną na Zielonym Wzgórzu.

- Zepsuje sobie pani Święta - oświadczyła uroczyście Rebeka Dew. - Ta dziewczyna nawet wobec aniołów zadzierałaby nosa... to znaczy, gdyby kiedykolwiek raczyła pójść do nieba. I, co najgorsze, jest dumna ze swojego niemożliwego zachowania. Uważa, że w ten sposób dowodzi, iż jest osobą zdecydowaną!

- Mój rozum potakuje każdemu twemu słowu, Rebeko, ale serce po prostu nie może - odparła Ania. - Wydaje mi się ciągle, że Julianna jest nieśmiałą, nieszczęśliwą dziewczyną i nonszalancja to tylko jej pancierz obronny. Nie zdołałam zbliżyć się do niej w Summerside, ale jestem pewna, że na Zielonym Wzgórzu uda mi się ją rozgryźć.

- Właśnie że nie, bo ona nie pojedzie - prorokowała Rebeka Dew. - Prawdopodobnie uzna to zaproszenie za obelgę... pomyśli, że pani robi to z litości. Kiedyś w okresie Bożego Narodzenia zaprosiliśmy ją na obiad świąteczny. Było to na rok przed pani przybyciem do Summerside. Dostałyśmy wtedy dwa indyki od pani MacComber i bałyśmy się, że same nie zdołamy ich zjeść... Panna Brooke odpowiedziała nam: „Nie, dziękuję. Najbardziej ze wszystkiego na świecie nienawidzę słowa Boże Narodzenie!”

- Ależ to okropne! Nienawidzić Bożego Narodzenia... Trzeba coś z tym zrobić. Zaproszę ją. Mam dziwne przeczucie, że się zgodzi.

- No cóż - powiedziała Rebeka Dew niechętnie - Gdy pani mówi, że coś się stanie, każdy w to wierzy. Czy pani ma zdolność jasnowidzenia jak matka kapitana MacComber? Ciarki mnie przechodzą na samą myśl.

- Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek w mojej osobie mogło wywoływać w tobie takie obawy, Rebeko. Po prostu... Wydaje mi się, że Julianna Brooke jest czasem bliska szaleństwa z samotności, a moje zaproszenie nastąpi w momencie odpowiednim z psychologicznego punktu widzenia.

- Nie jestem magistrem - odrzekła Rebeka Dew pogardliwie. - I nie przeczę, że ma pani prawo używać słów, których nie rozumiem. Nie zaprzeczam też, że potrafi pani owinąć każdego wokół swego małego paluszka. Choćby Pringle'ów. Ale powtarzam, że żal mi pani, jeśli pani zabierze do domu na Święta tę pokrzywę... i to jeszcze posypaną popiołem.

Ania nie czuła się zbyt pewnie, gdy szła ulicą Klasztorną. Julianna Brooke była ostatnio nie do wytrzymania. Po każdej kolejnej próbie nawiązania z nią kontaktu Ania, pogardliwie odepchnięta, mówiła do siebie ponuro niczym kruk z wiersza Edgara Poe*: „Nigdy więcej”. Chociażby wczoraj na radzie pedagogicznej - Julianna zachowywała się wręcz obraźliwie. Lecz w pewnej chwili Ania dostrzegła w jej oczach dziwny wyraz... Takie oczy mają zwierzęta zamknięte w klatce i oszalałe z przerażenia. Przez pół nocy Ania walczyła ze sobą. Nie mogła się zdecydować, czy zaprosić Juliannę na Zielone Wzgórze, czy nie. Wreszcie zasnęła z nieodwołalnym postanowieniem, że zaproponuje jej wspólny wyjazd do Avonlea.

Gospodyni Julianny wprowadziła Anię do zaniedbanego salonu. Na zapytanie o pannę Brooke wzruszyła pulchnymi ramionami.

- Mogę jej powiedzieć, że pani przyszła, ale wątpię, czy zejdzie na dół. Jest w złym humorze. Przy kolacji powtórzyłam jej, że pani Robinson uważa, iż jak na nauczycielkę w wyższej szkole w Summerside ubiera się skandalicznie. Wysłuchiwała mnie z tą swoją miną pełną wyższości, jak zwykle.

- Och, nie powinna była pani jej tego mówić - rzekła Ania z wyrzutem.

- Ależ ja uważam, że ona powinna o tym wiedzieć - odparła pani Dennis ze złością.

- A dlaczego pani nie uważa, że powinna wiedzieć, iż inspektor uznał ją za jedną z najlepszych nauczycielek? - zapytała Ania. - A może nie słyszała pani o tym?

- Słyszałam. Jest dość zarozumiała bez tych pochwał. Co za piekielna duma! Chociaż słowo daję, że nie wiem, z jakiego powodu! Dziś się wściekła, bo nie zgodziłam się, żeby trzymała psa. Wpadła na pomysł, że chce mieć psa. Oświadczyła mi, że płaciłaby za jego wyżywienie i dbałaby, by nie sprawiał mi kłopotu. Ale co ja bym z nim robiła, gdy ona jest w szkole? Więc tupnęłam nogą i powiedziałam: „Nie wynajmuję pokojów psom.”

- Och, pani Dennis, a może jednak by się pani zgodziła, żeby ona miała psa? Przecież by pani nie przeszkadzał... za bardzo. Pod jej nieobecność mogłaby pani go trzymać w suterenie. Pies chroni dom przed złodziejami. Niech się pani zgodzi. Bardzo panią proszę.

* Edgar Allan Poe (1809-1849) - wybitny amerykański poeta i pisarz romantyczny.

Gdy Ania o coś prosiła, w jej oczach malował się wyraz, który sprawiał, że trudno jej było odmówić. Pomimo sporej tuszy i ostrego języka pani Dennis miała dobre serce. Julianna Brooke ze swoimi „pańskimi manierami” po prostu za bardzo załazła jej za skórę.

- Nie mam pojęcia, czemu panią tak obchodzi, czy będzie miała psa, czy nie. Nie wiedziałam, że się przyjaźnicie. Ona nie ma żadnych przyjaciół. Nigdy jeszcze nie wynajmowałam pokoju tak nietowarzyskiej osobie.

- Myślę, że właśnie dlatego chce mieć psa, pani Dennis. Nikt nie może żyć bez chociażby namiastki przyjaźni.

- Owszem, jest to pierwszy ludzki odruch, jaki u niej zauważyłam - powiedziała pani Dennis. - Nie mam nic przeciwko psu, ale diabli mnie biorą, gdy ona o coś prosi tym swoim ironicznym tonem. „Sądzę, że nie zgodziłaby się pani, gdybym poprosiła o zgodę na trzymanie psa, pani Dennis” - powiedziała wyniośle. Niech ją! „Słusznie pani sądzi” - powiedziałam równie wyniośle. Nie lubię zmieniać decyzji, ale może jej pani powiedzieć, że zgadzam się na psa, pod warunkiem, że dopilnuje, aby nie brudził w salonie.

Ania pomyślała, że nawet gdyby pies nabrudził, salon nie wyglądałby wiele gorzej. Z obrzydzeniem rzuciła okiem na brudne koronkowe firanki i okropny dywan w różyczki.

„Serdecznie mi żal wszystkich, którzy muszą spędzać Boże Narodzenie w podobnie nieprzyjemnym domu - myślała. - Nie dziwię się, że Julianna nie lubi samego słowa Boże Narodzenie. Należałoby porządnie wywietrzyć ten pokój... Pachnie tu tysiącem potraw. Dlaczego Julianna wynajęła pokój właśnie tu? Przecież dobrze zarabia”.

- Mówi, żeby pani weszła na górę - oznajmiła pani Dennis, wracając do salonu. W jej głosie brzmiało powątpiewanie. Panna Brooke była naprawdę w bardzo złym humorze.

Wąskie, strome schody wyglądały odpychająco, jakby chciały odstraszyć swoim widokiem. Na pewno korzystały z nich tylko osoby, które były do tego zmuszone. W małym przedpokoju obicie w strzępach zwisało ze ścian. A pokój Julianny wydawał się jeszcze brzydszy niż salon.

Za całe oświetlenie służyła mała gazowa lampka. Żelazne łóżko było zapadnięte pośrodku, a przysłonięte nędznymi firankami okno wychodziło na ogród, znajdujący się na tyłach domu. W danej chwili w ogrodzie nie było nic poza wielkim usypiskiem suchej trzciny. Lecz poza nim widniał szereg wyniosłych lombardyjskich topoli, płonących w promieniach zachodzącego słońca, a w dali majaczyły słabo zarysowane, purpurowe wzgórza.

- Och, panno Brooke, niech pani spojrzy na ten zachód - powiedziała Ania gwałtownie, siadając na twardym fotelu na biegunach, który wskazała jej Julianna.

- Widziałam sporo zachodów - odparła ta ostatnia zimno, nie poruszając się.

- Ale tego pani nie widziała. Nie zdarzają się dwa takie same zachody słońca. Siądźmy tu i pozwólmy naszym duszom zatonać w tym cudownym widoku - odparła Ania. A pomyślała: „Czy kiedykolwiek powiesz coś miłego?”

- Niech pani nie będzie głupia.

Najbardziej obraźliwe słowa! Wypowiedziane tonem, który czynił z nich straszącą obelgę. Ania odwróciła wzrok od zachodu słońca i spojrzała na Juliannę, bardziej niż kiedykolwiek skłonna porzucić swoje zamiary i odejść. Lecz oczy Julianny wyglądały dziwnie. Czyżby płakała? Nie, z pewnością nie. Nie można było wyobrazić sobie Julianny Brooke płaczącej.

- Nie wydaje się pani być rada z mojej wizyty - powiedziała Ania powoli.

- Nie zwykłam udawać. Nie posiadam pani daru odgrywania roli królowej i mówienia właściwych rzeczy do każdego. Nie jestem rada z pani wizyty. Czyż ten pokój może być miejscem odpowiednim na czyjąkolwiek wizytę?

Julianna pogardliwie wskazała na obdrapane ściany, brudne, zniszczone krzesła i podartą muslinową serwetę na stole.

- Ten pokój nie jest przyjemny, ale dlaczego pani w nim mieszka, jeśli go pani nie lubi?

- Och! Dlaczego? Pani by tego nie zrozumiała. To nie ma znaczenia. Nie obchodzi mnie, co ludzie myślą. Czemu pani tu przysłała? Nie sądzę, aby celem pani odwiedzin była chęć rozkoszowania się zachodem słońca.

- Przysłałam spytać, czy nie spędziłaby pani Bożego Narodzenia ze mną na Zielonym Wzgórzu.

„No - pomyślała Ania - teraz usłyszę dalsze ironiczne uwagi. Wolałabym, żeby chociaż usiadła. Stoi na środku pokoju, jakby Czekala, aż wyjdę”.

Ale przez chwilę panowała cisza. Wreszcie Julianna powiedziała wolno:

- Dlaczego pani mnie zaprasza? Przecież nie lubi mnie pani.

- Po prostu nie mogę znieść myśli, że jakakolwiek ludzka istota miałaby spędzić Boże Narodzenie w miejscu takim jak to - odparła Ania otwarcie.

I teraz sarkazm Julianny znalazł ujście.

- Och, rozumiem. Chwilowy odruch litości. Doprawdy, panno Shirley, jeszcze nie jestem osobą, której należy okazywać miłosierdzie.

Ania wstała. Jej cierpliwość została wyczerpana. Przeszła przez pokój i zajrzała Juliannie w oczy.

- Julianno Brooke, czy chcesz o tym wiedzieć, czy nie, przydałoby ci się porządne lanie!

Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu.

- No, ulżyła sobie pani - odezwała się Julianna, lecz obraźliwy ton zniknął z jej głosu, a w kącikach ust ukazało się coś niby słaby prześwyt uśmiechu.

- Tak - odrzekła Ania. - Od dawna chciałam to pani powiedzieć. Nie proszę pani na Zielone Wzgórze z litości. Wie pani o tym doskonale. Powiedziałam, jaka jest prawdziwa przyczyna. Nikt nie powinien spędzać świąt tutaj. Sama myśl o tym jest wręcz nieprzyzwoita!

- Zaprosiła mnie pani, gdyż mnie pani żałuje.

- Owszem, jest mi pani żal. Wyrzuciła pani życie poza drzwi, a teraz ono pani nie chce. Czas z tym skończyć, Julianno.

- Stare przysłowie: „Jeśli uśmiechniesz się do lustra, ono uśmiechnie się do ciebie”, w interpretacji Anny Shirley - powiedziała Julianna.

- Jest prawdziwe jak wszystkie stare przysłowia. No więc, pojedzie pani na Zielone Wzgórze czy nie?

- A co by pani powiedziała, gdybym się zgodziła? Co by pani sobie powiedziała w duchu, a nie głośno do mnie?

- Powiedziałabym, że jest to pierwszy prześwyt zdrowego rozsądku, jaki u pani widzę - odparła Ania.

Julianna niespodziewanie roześmiała się. Podeszła do okna i chmurnie spojrzała na ostatnie purpurowe pasmo, jakie pozostało po wzgardzonym przez nią słońcu. Wreszcie odwróciła się.

- Bardzo dobrze zatem. Pojadę. Teraz może pani grzecznie powiedzieć to, co wypada. A więc, że cieszy się pani bardzo i że przyjemnie spędzimy czas.

- Bo naprawdę się cieszę. Ale nie wiem, czy spędzi pani przyjemnie ten czas. To zależy w głównej mierze od pani, panno Brooke.

- Och, postaram się zachowywać przyzwoicie. Zdziwi się pani. Zapewne nie będę zbyt wesołym gościem, ale obiecuję, że nie będę jadła nożem zamiast widelcem i nie powiem nic obraźliwego ludziom, którzy nawiążą ze mną rozmowę o ładnej pogodzie. Wyznam pani szczerze, że pojadę tylko dlatego, że nawet ja nie mogę znieść myśli o pozostaniu tu samej na gwiazdkę. Pani Dennis jedzie do Charlottetown, aby spędzić Boże Narodzenie z córką. Okropność, musiałabym sama sobie gotować. Jestem beznadziejną kucharką. Tak więc ciało odniosło zwycięstwo nad rozsądkiem. Ale czy przyrzeknie mi pani, że nie będzie pani składała mi życzeń Wesołych Świąt? Wcale nie chcę być wesoła na święta.

- Dobrze, lecz nie rękę za bliźnięta.

- Nie będę pani tu zatrzymywała. Jeszcze by się pani zaziębiła. Lecz widzę, że miejsce pani ukochanego zachodu zajął zupełnie okazały księżyc. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, przejdę się z panią kawalek i pomogę go pani podziwiać.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedziała Ania. - Ale musi pani wiedzieć, że w Avonlea księżyc jest daleko piękniejszy.

- A więc jedzie? - spytała Rebeka Dew, napełniając gorącą wodą butelkę dla Ani. - Hm, panno Shirley. Mam nadzieję, że nie wpadnie pani na pomysł, żeby nawrócić mnie na mahometanizm... Prawdopodobnie zdołałaby pani to uczynić. Gdzie jest Ten Kot? Lata po całym mieście, a przecież jest zero!

- Ale nie na nowym termometrze. Marcin leży w fotelu na biegunach przy piecu w mojej wieży i chrapie ze szczęścia.

- Aha - zakończyła Rebeka Dew, wstrząsając się z zimna przy zamykaniu drzwi kuchennych. - Chciałabym, aby wszystkim na świecie było dzisiejszego wieczoru równie ciepło i przyjemnie jak nam.

V

Ania nie wiedziała, że mała Elżbieta patrzy z okna na facjatce w Wiecznej Zieleni za saniami, które uwoziły ją z Szumiących Topoli. Dziewczynka z oczyma pełnymi łez myślała, że na pewien czas życie straciło dla niej sens. Nie pozostało nic innego, jak być Elżusią. Gdy machająca dłonią sylwetka zniknęła za zakrętem Alei Duchów, Elżbieta podeszła do swego łóżka i upadła na kolana.

Tymczasem Ania już rozkoszowała się radością Bożego Narodzenia. Rozbłysła szczęściem, gdy pociąg ruszył z dworca. Brzydkie ulice pozostały za nią. Jechała do domu... do domu, na Zielone Wzgórze. Poza miastem świat lśnił wspaniałą, złocistobiałą szatą, przybraną gdzieś bladofioletowymi koronkami cieni. Ciemne, czarodziejskie świerki i delikatne pnie brzoź pozbawionych liści migały za oknami. Wiszące tuż nad horyzontem słońce przezierano przez drzewa niczym wspaniałe bóstwo. Julianna milczała, lecz nie wydawało się, że jest w złym humorze.

- Niech pani nie oczekuje ode mnie chęci do rozmowy - zapowiedziała Ani ostro.

- Ależ skąd. Mam nadzieję, że nie uważa mnie pani za jedną z tych strasznych osób, które wydają się żądać, aby z nimi przez cały czas rozmawiano. Porozmawiamy, o ile będziemy miały na to ochotę. Nie zaprzeczam, że uważam pogawędkę za miły sposób spędzania czasu, ale nie musi pani słuchać, co mówię.

W Jasnej Rzece czekał na nie Tadzio z kabrioletem pełnym futer. Uściskał Anię jak niedźwiadek. Dziewczęta zakopały się w futrach na tylnym siedzeniu. Droga ze stacji na Zielone Wzgórze była dla Ani zawsze jedną z przyjemności związanych z przyjazdami do domu. Nasuwała jej wspomnienie o dniu, w którym jechała tędy pierwszy raz z Mateuszem. Wówczas na świecie panowała wiosna, a teraz był grudzień, lecz mimo to mijane pola zdawały się szeptać „Czy pamiętasz?” Śnieg iskrzył się pod kopytami konia, a dźwięk dzwonczków niósł się wśród wysokich, okrytych śniegiem świerków.

- Na tej drodze jest, pewne miejsce, w którym zawsze nagle czuję, że jestem w domu - powiedziała Ania. - Niech pani spojrzy, z wierzchołka tego wzniesienia zobaczymy światła na Zielonym Wzgórzu. Myślę już o kolacji, jaką przygotowała dla nas Maryla. Niemal czuję zapach pysznych potraw. Och, jak dobrze, jak bardzo dobrze jest być w domu!

Na Zielonym Wzgórzu każde drzewo wydawało się ją witać. Jasne światła w oknach migotały ku niej radośnie. A jakie wspaniałe zapachy otoczyły ją, skoro weszła do kuchni! Nastąpiły uściski, radosne okrzyki i wybuchy śmiechu. Nawet Julianna wydawała się kimś

bliskim. Pani Małgorzata Linde przyniosła swą ukochaną lampę z dziwnym, czerwonym abażurem i postawiła na stole. Lampa była okropnie brzydka, lecz rzucała ciepłe, różowe światło na całą kuchnię. Cienie chwiały się przyjaźnie. Na jaką ładną pannę wyrosła Tola! A Tazio wyglądał niemal jak mężczyzna.

Należało wysłuchać nowinek. Diana miała córeczkę... Józia Pye znalazła sobie wielbiciela i mówiono, że Karol Sloane się zaręczył.

Wszystko to było równie interesujące, jak wieści o Imperium. Nowa kapa pani Małgorzaty Linde, złożona z pięciu tysięcy kawałków i dopiero co ukończona, została zaprezentowana i wzbudziła należyte uznanie.

- Gdy przyjeżdżasz do domu, Aniu - powiedział Tazio - wydaje się nagle, że wszystko wraca do życia.

- Z trudnością mogę się oprzeć wezwaniu księżycowej nocy - powiedziała Ania po kolacji. - Co powiedziałyby pani na mały wypad na nartach, panno Brooke? Słyszałam, że pani jeździ.

- Tak. Jest to jedyna rzecz, jaką umiem robić... Ale nie jeździłam już od sześciu lat - odparła Julianna, wzruszając ramionami.

Ania wygrzebała swoje narty ze strychu, a Tazio skoczył na Brzozowe Wzgórze, aby pożyczyć dla Julianny stare narty Diany. Dziewczęta ruszyły Aleją Zakochanych, na której drgały cienie drzew. Wkrótce znalazły się wśród pól, obrzeżonych małymi świerkami, przemknęły przez lasy, znające tyle tajemnic, że wydawało się, iż zaraz wyszepcą je wśród szumu drzew... odkryły śliczne polanki, przypominające jeziora ze srebra.

Nie rozmawiały ani nie miały na to ochoty. Bały się rozmową odstraszyć piękno, które je otaczało. Lecz nigdy dotychczas Ania nie czuła, że Julianna jest jej tak bliska. Zimowa noc swoją czarodziejską mocą zdołała prawie zawiązać nić kontaktu między dziewczętami... Prawie, nie zupełnie.

Gdy powróciły na główną drogę, po której wśród dźwięczenia dzwoneczków i śmiechów pędziły sanie, nie zdołały powstrzymać westchnienia. Wydawało się im, że zostawiły za sobą świat, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością; świat, młody wieczną młodością, gdzie nie istnieje czas, a dusze ludzkie porozumiewają się z łatwością bez pomocy czegoś tak niedoskonałego jak słowa.

- To było cudowne - powiedziała Julianna najwyraźniej do siebie, więc Ania nie odezwała się.

Jechały dalej drogą, aż na Zielone Wzgórze. Lecz zanim weszły na podwórze, zatrzymały się nagle, jakby pod wpływem impulsu. Oparte o stary, omszały płot stały w

milczeniu i patrzyły na zamyślony, kochany dom, niewyraźnie majaczący za drzewami. Jak piękne było Zielone Wzgórze w zimowy wieczór!

Nieco poniżej, zamknięte w ramionach długich cieni drzew, widniało skute lodem Jezioro Lśniących Wód. Panowała cisza, czasem tylko na moście zatętniły końskie kopyta. Ania uśmiechnęła się. Jakże często, słysząc ten odgłos w pokoiku na facjatce, wyobrażała sobie, że to zaczarowane konie galopują przez noc. Nagle coś innego przerwało ciszę.

- Julianno... przecież ty... przecież ty chyba nie płaczesz? Wydawało się niemożliwe, aby Julianna była zdolna do płaczu - lecz płakała rzeczywiście. Łzy uczyniły ją bardziej ludzką. Ania przestała się jej obawiać.

- Julianno, kochana moja, co się stało? Czy mogę ci pomóc?

- Och! Ty nie zrozumiesz - wyjąkała Julianna. - Dla ciebie wszystko zawsze było łatwe. Ty... żyjesz jakby w zakętym kręgu piękna i romantyczności. „Ciekawe, jakiego cudownego odkrycia dziś dokonam” - oto twoja postawa życiowa, Aniu. A ja, ja zapomniałam, jak żyć. Właściwie nigdy nie wiedziałam. Jestem... jestem jak zwierzę złapane w pułapkę. Nie mogę się z niej wydostać i zawsze ktoś usiłuje mnie ukłuć poprzez pręty. A ty - jesteś otoczona szczęściem w takim nadmiarze, że sama nie wiesz, co z nim robić. Wszędzie przyjaciele, ukochany! Nie mówię tak dlatego, że chcę mieć ukochanego - nienawidzę mężczyzn. Lecz gdybym dziś umarła, nikt, ani jeden człowiek na świecie nie płakałby po mnie. Jak byś się czuła, gdybyś nie” miała ani jednej przyjaznej duszy?

Głos Julianny załamał się.

- Julianno, twierdzisz, że lubisz szczerość. Będę więc szczera. To twoja wina, że jesteś samotna. Chciałam się z tobą zaprzyjaźnić, lecz zawsze mnie odpychałaś.

- Och, wiem, wiem. Jakże cię nienawidziłam, gdy po raz pierwszy przyszedł do szkoły! Obnosząc się dumnie z pierścionkiem z pereł.

- Julianno, nie obnosiłam się z nim!

- Przypuszczam, że masz rację. To była tylko moja wrogość. Pierścionek zdawał się sam pękać z dumy. Ja naprawdę nie zazdroszczę ci narzeczonego. Nigdy nie chciałam wyjść za mąż. Dość napatrzyłam się na ojca i matkę. Ale nienawidziłam cię, bo zostałam moją zwierchniczką, chociaż jesteś młodsza. Byłam zadowolona, że Pringle'owie zatruwają ci życie. Wydawało mi się, że masz wszystko to, czego ja byłam pozbawiona: wdziek, przyjaciół, młodość. Młodość! Całe życie umierałam z tęsknoty za młodością. Nie masz o tym pojęcia. Nie wiesz, nie możesz nawet wyobrazić sobie, jak to jest, gdy nikt na całym świecie ciebie nie chce! Nikt!

- Och, czy naprawdę tak myślisz? - wykrzyknęła Ania. Opowiedziała krótko Juliannie o swoim dzieciństwie przed przybyciem na Zielone Wzgórze.

- Szkoda, że o tym nie wiedziałam - powiedziała Julianna. - To by nieco zmieniło mój stosunek do ciebie. Uważałam cię za wybrankę losu. Z całego serca wszystkiego ci zazdrościłam. Otrzymałaś posadę, o którą zabiegałam. Wiem, że masz wyższe kwalifikacje ode mnie, ale to mnie nie obchodziło. Jesteś ładna, a przynajmniej ludzie tak uważają. Najwcześniejsze wspomnienie z mojego dzieciństwa to słowa: „Och, jakie brzydkie dziecko!” Wchodzisz do pokoju, promieniując urokiem. Pamiętam, jak przyszedł do szkoły pierwszego dnia. Lecz wydaje mi się, że najbardziej nienawidziłam cię za to, że zdawałaś się nosić w sobie jakąś tajemniczą radość; jakby każdy dzień życia był cudowną przygodą.

- Doprawdy, Julianno, aż mi dech zapiera od tych komplementów. Chyba przestałaś mnie nienawidzić, prawda? Będziemy teraz przyjaciółkami.

- Nie wiem. Nigdy nie miałam przyjaciółki, i to jeszcze rówieśnicy. Chyba nawet nie wiem, co to znaczy być czyjąś przyjaciółką. Nie, nie wzbudzasz już we mnie nienawiści; zapewne twój wyżej wspomniany czar zaczyna działać. Wiem tylko, że mam ochotę opowiedzieć ci o moim życiu. Nie mogłabym tego zrobić, gdybyś nie powiedziała mi, jakie było twoje dzieciństwo, zanim przybyłaś na Zielone Wzgórze. Chciałabym, żebyś zrozumiała, dlaczego jestem taka, jaka jestem. Nie wiem czemu, ale zależy mi na tym, żebyś to zrozumiała.

- Słucham, kochanie. Bardzo pragnę cię zrozumieć.

- Wiesz, co to znaczy być nie chcianą, ale nie wiesz, jak to jest, gdy twoi własni rodzice ciebie nie chcą. Moi mnie nie chcieli. Nienawidzili mnie od chwili, gdy się urodziłam, a nawet wcześniej. Nienawidzili się też wzajemnie. Tak właśnie było. Ciągłe się kłócili. Były to obrzydliwe, zażarte kłótnie. Moje dzieciństwo przypominało koszmarne sen. Umarli, gdy miałam siedem lat i wówczas zamieszkałam u wuja Henryka. On i jego rodzina też mnie nie chcieli. Patrzyli na mnie z góry, gdyż żyłam dzięki ich litości. Pamiętam, jak często mnie łajali. Nie usłyszałam ani jednego dobrego słowa. Musiałam ubierać się w znoszone sukienki kuzynek. Szczególnie pamiętam pewien kapelusz... wyglądałam w nim jak muchomor. Zawsze śmieli się ze mnie, gdy go wkładałam. Kiedyś podarłam go i rzuciłam w ogień, i przez całą zimę musiałam chodzić w okropnym, starym berecie. Nie miałam nawet psa, a tak bardzo chciałam mieć. Byłam dość rozbawiona, myślałam o studiach. Lecz równie dobrze mogłabym pragnąć księżycy. Niemniej wuj Henryk zgodził się posłać mnie do szkoły pod warunkiem, że zwrócę mu pieniądze po ukończeniu nauki. Płacił za pokój, który wynajmowałam w trzeciorzędnym pensjonacie. Pokój ten znajdował się nad kuchnią. Całą

zimę było tam okropnie zimno, latem doskwierał upał, a we wszystkich porach roku pachniały gotowane w kuchni potrawy. A jakie sukienki wówczas nosiłam! Ale skończyłam naukę i dostałam posadę w szkole w Summerside. Był to jedyny dar od losu w moim życiu. Później musiałam żyć bardzo oszczędnie, żeby oddać wujowi Henrykowi dług. Nie tylko pieniądze, które wydał na moje wykształcenie, lecz również kosza, jakie poniósł płacąc za pensjonat. Postanowiłam, że zwrócę mu całą sumę co do centa. Dlatego mieszkałam u pani Dennis i ubierałam się w łachmany. Właśnie skończyłam spłacać ten dług. Po raz pierwszy w życiu czuję się wolna. Wiem, że jestem nietowarzyska, że nigdy nie mówię tego, co powinnam. Wiem, że z mojej własnej winy ludzie lekceważą mnie i zapominają o mnie przy przydziale prac społecznych. Wiem, że mój sposób zachowania jest bardzo nieprzyjemny, wiem, że jestem ironiczna, a uczniowie uważają mnie za tyrana. Nienawidzą mnie. Czy sądzisz, że mi to nie sprawia przykrości? Zawsze mam wrażenie, że oni się mnie boją. Nie znoszę ludzi, którzy wyglądają tak, jakby się mnie bali. Och, Aniu, nienawiść stała się u mnie chorobą. Chcę być taka jak inni - i już nie umiem. Właśnie to czyni mnie tak zgorzkniałą.

- Ależ umiesz! - Ania objęła Juliannę. - Możesz wyrzucić nienawiść z serca, wyleczyć się z niej. Życie dopiero się dla ciebie zaczyna teraz, gdy jesteś całkiem wolna i niezależna. A nigdy nie wiadomo, co kryje się za najbliższym zakrętem na drodze.

- Kiedyś słyszałam, jak to mówiłaś. Śmiałam się z twoich „zakrętów na drodze”. Cały kłopot polega na tym, że na mojej drodze nie ma żadnych zakrętów. Widzę, jak biegnie prosto i równo, aż do linii horyzontu, beznadziejnie monotonna. Aniu, czy życie nie przeraża cię swoją jednostajnością? Tłumami zimnych, obojętnych ludzi? Nie, oczywiście. Nie musisz do końca życia pracować jako nauczycielka. Wszystko wydaje ci się ciekawe, nawet to małe czerwone stworzenie, które się nazywa Rebeka Dew. Nie cierpię swojego zawodu, a niczego innego nie umiem robić. Nauczyciel jest niewolnikiem czasu. Och, wiem, że ty lubisz tę pracę. Nie mam pojęcia, jak to robisz, Aniu. Ja chcę podróżować. Jest to jedyna rzecz, jakiej pragnę od wielu lat. Pamiętam pewien obraz, który wisiał u mnie na poddaszu, gdy mieszkałam u wuja Henryka. Obraz ten był tak zniszczony, że wuj wyrzucił go do mojego pokoju. U źródła bijącego na pustyni rosły palmy, a w dali ciągnęła karawana objuczonych wielbłądów. Ten obraz mnie zafascynował. Jakże pragnęłam pojechać na pustynię i odnaleźć to źródło! Chcę zobaczyć Krzyż Południa, Tadz Mahal* i filary Karnaku*. Chcę wiedzieć - nie tylko wierzyć - że ziemia jest okrągła. Niestety, nie mam nawet o czym marzyć z moją

* Tadz Mahal - zabytkowe mauzoleum w Agrze, zwane perłą Indii.

* Karnak - ruiny zespołu starożytnych świątyń egipskich.

nauczycielską pensją. Muszę iść dalej obraną drogą, opowiadać o żonach Henryka VIII i niewyczerpanych zasobach Imperium.

Ania roześmiała się. Mogła to zrobić, gdyż w głosie Julianny nie było goryczy. Brzmiały w nim tylko żal i zniecierpliwienie.

- W każdym razie zostaniemy przyjaciółkami, a na początek naszej przyjaźni wspólnie spędzimy dziesięć wesołych dni. Zawsze chciałam się z tobą zaprzyjaźnić, Julianno. Miałam wrażenie, że pod kolczastym pancerzem ukrywasz coś, co zasługuje na przyjaźń.

- A więc tak mnie oceniłaś? Często zastanawiałam się, co o mnie myślisz. Cóż, jeśli to możliwe, postaram się zmienić skórę. Sądzę, że jest to możliwe. Wierzę, że na twoim Zielonym Wzgórzu wszystko może się zdarzyć. Jest to pierwsze miejsce, gdzie czuję się jak w domu. Chciałabym być taka jak inni ludzie, jeśli nie jest za późno. Wyćwiczę się nawet w słonecznych uśmiechach, żeby miło przywitać jutro Gilberta. Dawno zapomniałam, jak się rozmawia z młodymi ludźmi. Właściwie nigdy tego nie wiedziałam. On uzna mnie za typową, kwaśną jak ocet starą pannę. Ciekawe, czy skoro położę się dziś do łóżka, będę żałowała, że zdjęłam maskę i opowiedziałam ci o tym wszystkim.

- Nie będziesz. Pomyślisz: „Dobrze, że Ania wreszcie mnie naprawdę poznała”. Zaraz zawiniemy się w ciepłe koce, zapewne ogrzane aż dwiema butelkami z gorącą wodą. Przypuszczam, że Maryla włożyła jedną, a pani Linde, sądząc, że Maryla o tym zapomniała, drugą. Po spacerze w mroźną, księżycową noc będziesz rozkosznie śpiąca... i nagle zobaczysz, że już jest rano. Poczujesz się tak, jakbyś pierwsza na całym świecie odkryła, że niebo jest błękitne. I rozszerzysz swoją wiedzę o umiejętność robienia puddingu śliwkowego, bo pomożesz mi go upiec. Musi być gotów na wtorek. Będzie to wielki pudding pełen śliwek!

Po wejściu do domu Ania spojrzała na Julianę i zdziwiła się przyjemnie. Długi spacer na świeżym powietrzu wywołał na twarzy Julianny rumieniec, który wydawał się całkowicie ją zmieniać.

„Julianna mogłaby być ładna, gdyby nosiła odpowiednio dobrane suknie i kapelusze” - pomyślała Ania, próbując wyobrazić sobie koleżankę w kapeluszu z ciemnoczerwonego aksamitu na ciemnych włosach, fantazyjnie zapiętym nad jej bursztynowymi oczami. Kapelusz taki widziała w sklepie w Summerside.

VI

Sobota i niedziela na Zielonym Wzgórzu upłynęły w atmosferze wesołych przygotowań. Pudding śliwkowy został upieczony, a Julianna z Anią i bliźniętami wyszukały w lesie śliczną choinkę. Był to mały świerk, tak urodziwy, że Ania nie chciała się zgodzić, aby go ściąć. Dopiero Tadzio ją przekonał, przypominając, że ten las należy do pana Harrisona, który zamierza go wyciąć na wiosnę.

Wędrowali wśród drzew, szukając gałązek jodłowych i mchu na wianki. W głębokiej kotlinie odkryli nawet paprocie, które, osłonięte przed mrozami, zachowały swą świeżą zielen. Wreszcie dzień uśmiechnął się na pożegnanie ponad białymi wzgórzami, ustępując miejsca nocy, i wędrowcy triumfalnie wrócili na Zielone Wzgórze. Czekał tam na nich wysoki młodzieniec o orzechowych oczach. Mały wąsik nadawał mu tak dojrzały wygląd, że przez krótką chwilę Ania zastanawiała się, czy to rzeczywiście jest Gilbert, a nie ktoś obcy.

Julianna zamierzała uśmiechnąć się ironicznie, ale niezbyt jej się to udało. Pozostawiła młodych w salonie i przeszła do kuchni, gdzie przez cały wieczór bawiła się z bliźniętami. Zauważyła ze zdumieniem, że sprawia jej to przyjemność. A jak cudownie było razem z Tadzciem zejść do piwnicy i odkryć, że istnieje na tym świecie coś tak wspaniałego jak słodkie jabłka!

Julianna po raz pierwszy widziała piwnicę w wiejskim domu. Ciemne pomieszczenie, rozjaśnione wesołym, migającym płomykiem świecy sprawiało miłe i przytulne wrażenie. Julianna pomyślała nagle, że i dla niej życie mogłoby być piękne.

Świąteczny poranek Tadzio uczcił w osobliwy sposób. Biegał po schodach, wymachując wielkim, blaszanym dzwonkiem, którego donośny głos z pewnością obudziłby nawet siedmiu braci śpiących. Maryla była zrozpaczona, że coś takiego zdarzyło się w jej domu pod obecność gości, ale Julianna zeszła na dół roześmiana. Między Tadzciem i nią nawiązała się nić koleżeństwa. Powiedziała nawet Ani, że nie rozumie doskonalej pod każdym względem Toli, ale Tadzio jest dla niej pokrewną duszą.

Prezenty rozdano przed śniadaniem. Inaczej bliźnięta - nawet Tola - nie mogłyby niczego przełknąć. Julianna nie spodziewała się żadnego upominku, poza grzecznościowym drobiazgiem od Ani. Tymczasem dostała podarunki od wszystkich. Od pani Linde barwną serwetkę, szkatułkę z korzeni irysa florenckiego od Toli, nóż do rozcinania stronic od Tadzcia, kosz pełen słoików dżemu i galaretek od Maryli, a od Gilberta małego kotka z brązu jako przycisk na biurko.

Wreszcie spod choinki wytoczyło się coś zawiniętego w wełniany kocyk. Był to śliczny szczeniaczek o czujnie nastawionych jedwabistych uszach i uroczo zakręconym ogonku. Do szyi miał przywiązaną karteczkę z napisem: „Od Ani, która mimo wszystko ośmiela się życzyć Ci Wesołych Świąt”.

Julianna chwyciła go w ramiona i powiedziała drżącym głosem:

- Aniu, jakież on jest kochany! Ale pani Dennis nie pozwoli mi go zatrzymać. Pytałam ją, czy mogłabym mieć psa. Nie zgodziła się.

- Rozmawiałam już o tym z panią Dennis. Zobacysz, że nie będzie się sprzeciwiać - . Poza tym przecież nie zostaniesz u niej, Julianno. Teraz, gdy już spłaciłaś to, co uważałaś za swój dług, musisz znaleźć sobie porządny pokój. Zobacz, jaką śliczną papeterię przysłała mi Diana. Czyż nie jest fascynujące patrzeć na czyste kartki papieru i marzyć, co też będzie na nich napisane?

Pani Linde dziękowała niebiosom, że święta były białe. Ale Juliannie wydawało się, że Boże Narodzenie było bardziej kolorowe niż tęcza. Po cudownych Świątach nastąpił równie cudowny tydzień. Za dawnych dni Julianna niejednokrotnie zastanawiała się, co czuje szczęśliwy człowiek. Teraz umiała już odpowiedzieć sobie na to pytanie. Z posępnej, nieprzyjemnej dziewczyny zmieniła się w przemiłą towarzyszkę i Ania przepadała za nią. „I pomyśleć, że bałam się, iż ona zepsuje mi święta” - myślała ze zdumieniem. „I pomyśleć - mówiła do siebie Julianna - że niewiele brakowało, a byłabym odrzuciła jej zaproszenie”.

Chodziły na długie spacery: Aleją Zakochanych do Lasu Duchów, w którym panowała cisza pełna przyjaźni, na wzgórza, pokryte śniegiem, do starych ogrodów pełnych głębokich fioletowych cieni, do lasów, ozłoconych blaskiem zachodzącego słońca. Nie było słychać świergotu i śpiewu ptaków, szumu potoków i poświstywania wiewiórek. Zamiast nich wokół rozbrzmiewała wspaniała muzyka wiatru.

- Zawsze znajdzie się coś ładnego do posłuchania i oglądania - stwierdziła Ania.

Dziewczęta długimi godzinami rozmawiały o wszystkim i o niczym. W marzeniach odbywały podróże do gwiazd... Na Zielone Wzgórze wracały z apetytami, które poważnie zagrażały zapasom, nagromadzonym przez Marylę.

Pewnego dnia na dworze szalała śnieżycą i nie można było wyjść z domu. W okiennice łomotał wschodni wiatr, a od morza dobiegał ryk fal. Lecz na Zielonym Wzgórzu nawet burza śniegowa miała swój urok. Dziewczęta obłożyły się jabłkami i cukierkami i spędziły długie godziny przy kominku, z rozmarzeniem wpatrując się w tańczące płomienie. A jakie wesołe były kolacje, gdy wichur huczał na dworze!

Pewnego wieczoru Gilbert zawiózł Anię i Juliannę do Diany i jej niedawno narodzonej córeczki.

- Jeszcze nigdy nie trzymałam na ręku dziecka - wyznała Julianna, gdy wracały do domu. - Nie miałam na to ochoty, a poza tym bałam się, że rozerwę maleństwo na kawałki swoimi wielkimi łapami. Nie masz pojęcia, Aniu, co czułam... taka wielka i pokraczna z tym kruchym stworzeniem w ramionach. Jestem pewna, że pani Wright bała się, iż lada chwila je upuszczę. Widziałam, jak dokładała wszelkich starań, aby ukryć przerażenie. Ale to zmieniło coś we mnie... to znaczy, dziecko zmieniło... choć nie wiem co.

- Dzieci są fascynującymi stworzeniami - powiedziała Ania z rozmarzeniem. - Słyszałam, jak ktoś w Redmondzie określił je jako „olbrzymi potencjał możliwości”. Pomyśl tylko, Julianno. Homer także kiedyś był małym bobasem z dołeczkami w buzi i wielkimi oczami, pełnymi światła. Na pewno nie był wówczas ślepy.

- Jaka szkoda, że jego matka nie wiedziała, że on będzie Homerem! - powiedziała Julianna.

- Lecz cieszę się, że matka Judasza nie wiedziała, kim będzie jej syn - odparła miękko Ania. - Mam nadzieję, że się nigdy nie dowiedziała.

Pewnego wieczoru w Avonlea miał się odbyć koncert, a po nim zabawi u Abnera Sloane. Ania gorliwie namawiała Juliannę, żeby wzięła udział w] koncercie, a potem poszła na zabawę.

- Chciałabym, żebyś wystąpiła z recytacją, Julianno. Słyszałam, że przepięknie recytujesz.

- Owszem, zdarzało mi się recytować. Chyba nawet to lubiałam. Ale ubiegłego lata wystąpiłam na koncercie w pewnej miejscowości letniskowej. Część letników wstała i potem słyszałam, jak się ze mnie śmieli.

- Skąd wiesz, że z ciebie?

- Na pewno ze mnie. Nie było tam nic innego, z czego mogliby się śmiać.

Ania zachowała powagę i ponowiła prośby.

Wreszcie Julianna zgodziła się wziąć udział w koncercie, ale miała wątpliwości, czy powinna pójść na zabawę.

- Pójdę i co? Nikt mnie nie poprosi do tańca. Będę się czuła zawstydzona i popadnę w swój ironicznie - niechętny nastrój. Byłam już na kilku zabawach. Zawsze żałowałam, że poszłam. Wydawało się, że nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, iż umiem tańczyć. A umiem niezłe. Nauczyłam się jeszcze u wuja Henryka. Ich mała służąca też lubiła tańczyć.

Często wieczorami tańczyłyśmy w kuchni przy dźwiękach muzyki, dobiegającej z salonu. Na pewno może być przyjemnością taniec z odpowiednim partnerem.

- Tym razem nie będziesz żałowała, Julianno. Przecież nie jesteś już kimś, kto z zewnątrz zagląda do środka. Widzisz, cała rzecz polega na różnicy między wyglądem ze środka na zewnątrz a zaglądaniem z zewnątrz do środka. Masz piękne włosy, Julianno. Czy mogę spróbować cię uczesać?

Julianna wzruszyła ramionami.

- Proszę bardzo. Moje włosy wyglądają okropnie, ale nie miałam czasu na krygowanie się przed lustrem. Nie mam sukienki odpowiedniej na taką okazję. Chyba że ta zielona taftowa się nadaje.

- Cóż, jeśli nie masz innej. Chociaż nie powinnaś nosić rzeczy w tym kolorze. Jest ci w nim gorzej niż w jakimkolwiek innym. Ale założysz także czerwony szyfonowy szal, który ci uszyłam. Tak, założysz. Powinnaś sprawić sobie czerwoną sukienkę, Julianno.

- Nienawidzę czerwonego koloru. Gdy mieszkałam u wuja Henryka, ciotka Gertruda uszyła mi jaskrawoczerwony fartuch. Kiedy wchodziłam do klasy, wszystkie dzieci krzyczały: „Pożar!” Zresztą nie dbam o stroje.

- Niebiosa, dajcie mi cierpliwość. Stroje są bardzo ważne - rzekła Ania, czesząc Juliannę. Po chwili spojrzała krytycznie na swoje dzieło, by z zadowoleniem stwierdzić, że fryzura udała się znakomicie. Objęła Juliannę i odwróciła ją do zwierciadła.

- Nie uważasz, że stworzymy parę ładnych dziewcząt? - spytała ze śmiechem. - Czy nie miło pomyśleć, że ludzie będą na nas patrzyli z przyjemnością? Wiele osób mogłoby ładnie wyglądać, gdyby tylko zadało sobie nieco trudu. Trzy tygodnie temu w kościele rozmyślałam o otaczających mnie ludziach i starałam się ich upiększyć. Skręciłam włosy Miry Addison, Jankę Arden obdarzyłam śnieżną cerą, Emmę Dil ubrałam na niebiesko, a nie na brązowo, a Charlotte Blair kazałam włożyć suknię w paski, zamiast tej okropnej kraciastej. Zgoliłam też Tomaszowi Andersonowi długie, brudne bokobrody. Po tych zmianach z pewnością byś ich nie poznała. Co więcej, sami mogliby ich dokonać. Julianno, twoje oczy mają herbaciany kolor. Bursztynowoherbaciany. Postaraj się dziś wieczorem zachować zgodnie z nazwiskiem, jakie nosisz^{*}. Potok powinien płynąć wesoło i lśnić w słońcu.

- Nie potrafię.

- Ależ doskonale potrafiłaś przez cały ubiegły tydzień. Więc możesz być taka.

^{*} Brook (ang.) - potok.

- Sprawili to czary Zielonego Wzgórza. Gdy wrócę do Summerside, dla Kopciuszka wybiję północ.

- Zabierzesz te czary ze sobą. Spójrz tylko. Zobacz, jak powinnaś zawsze wyglądać.

Julianna rzuciła okiem w lustro, jakby powątpiewając, czy to rzeczywiście jest jej odbicie.

- Wydaję się dużo młodsza - przyznała. - Masz rację, uczesanie i strój zmieniają kobietę. Wiem, że wyglądam na więcej lat, niż mam, ale nie obchodziło mnie to. Po co? Nikogo to nie obchodziło. Nie jestem taka jak ty, Aniu. Najwyraźniej urodziłaś się, wiedząc, jak żyć. Ja nie mam nawet podstaw tej wiedzy. Ciekawe, czy nie jest za późno, żeby ją osiąść. Od tylu lat jestem zgorzkniała, że nie wiem, czy umiałabym być inna. Ironia była moją jedyną bronią w walce z ludźmi. Zawsze gdy znajdowałam się w jakimś towarzystwie, wydawało mi się, że to, co powiem, zostanie uznane za głupie i że wszyscy będą się ze mnie śmieli.

- Julianno, spójrz w lustro i zabierz ze sobą ten obraz. Wspaniałe włosy, zamiast sterczeć z tyłu głowy, otaczają twarz. Oczy błyszczą jak dwie ciemne gwiazdy, a na policzkach kwitnie rumieniec podniecenia. Świadomość, że tak wyglądasz, pozbawi cię lęku. Chodźmy. Pewnie się spóźnimy, ale szczęśliwie osoby biorące udział w koncercie mają zapewnione miejsca siedzące - „zakonserwowane” jak mówi Tola*.

Jak za dawnych dni Gilbert zawiózł je na koncert. Tylko miejsce Diany zajmowała Julianna. Ania westchnęła. Diana miała teraz co innego do roboty. Dla niej skończył się już okres młodzieńczych rozrywek, koncertów i zabaw.

Był piękny wieczór. Drobnny śnieżek właśnie przestał prószyć. Droga lśniła srebrzyście, a na zachodzie widniało bladozielone niebo. Orion wędrował wśród gwiazd, mrugających nad pogrążonymi w perłowej ciszy polami, lasami i wzgórzami.

Recytacja Julianny zachwyciła wszystkich. Na zabawie dziewczyna nie mogła się opędzić od tancerzy. Śmiała się wesoło, nieoczekiwanie dla samej siebie. Po powrocie na Zielone Wzgórze dziewczęta wygrzały stopy przy kominku. Pani Linde zajrzała do nich, pytając, czy nie potrzebują jeszcze jednego koca. Zapewniła też Julianne, że jej piesek smacznie śpi w koszyku za piecem.

„Uzyskałam nowe spojrzenie na świat - myślała Julianna, zapadając w sen. - Nawet nie przypuszczałam, że istnieją ludzie tacy jak ci, z którymi tu się zetknęłam”.

* Tola przekreśliła słowo reserved (ang.) - zarezerwowane na preserved (ang.) - zakonserwowane.

- Niech pani do nas jeszcze przyjedzie - powiedziała Maryla przy pożegnaniu. A Maryla nie zwykła była zapraszać ludzi, których nie miała ochoty oglądać.

- Oczywiście, że Julianna jeszcze nieraz tu przyjedzie - powiedziała Ania. - Na soboty i niedziele, a potem na wakacje. Urządzimy święto palenia liści w ogrodzie, będziemy zbierały jabłka, pasły krowy, pływały po jeziorze łodzią i błądziły w lesie. Julianno, chcę ci pokazać ogród Heleny Orav, Chatkę Ech i Dolinę Fiołków, gdy kwitną w niej kwiaty.

VII

Szumiące Topole

Ulica, po której powinny chodzić duchy

5 stycznia

Wielce poważany przyjacielu!

Babka cioci Misi nie napisała niczego takiego. Ale na pewno mogłaby użyć tego zwrotu, gdyby jej przyszedł na myśl.

Uczyniłam noworoczne postanowienie, że będę pisała sensowne listy miłosne. Czy uważasz, że to jest możliwe?

Opuściłam kochane Zielone Wzgórze, lecz wróciłam do kochanych Szumiących Topoli. Rebeka Dew napaliła w mojej wieży i przygotowała dla mnie butelkę z gorącą wodą.

Jak to dobrze, że lubię Szumiące Topole. Okropnie by było mieszkać i nie lubianym domu, który nie wydawałby mi się przyjazny, który by mnie nie witał szeptem: „Ciesz się, że wróciłaś”. Szumiące Topole cieszą się 2 mojego powrotu. Ten staroświecki i odrobinę prymitywny dom mnie lubi.

Z radością witałam ciocię i Rebekę Dew. Nie mogę nie widzieć ich słabostek i śmiesznych wad, ale tym więcej je kocham.

Wczoraj Rebeka Dew powiedziała mi coś bardzo miłego.

- Od kiedy pani do nas przyjechała, panno Shirley, Aleja Duchów jest tym samym miejscem co niegdyś.

Cieszę się, że polubiłaś Juliannę, Gilbercie. Była dla Ciebie zdumiewająco uprzejma. Dziwne, jak bardzo może być miła, gdy chce. Sądzę, że) sama się temu dziwi. Wcale nie myślała, że tak łatwo jest się zmienić.

Polepszenie stosunków między nami poprawiło znacznie moją sytuację w szkole. Julianna zamierza wynająć pokój u kogo innego. Co więcej, udało mi się ją namówić na kupno czerwonego kapelusza. Mam też i nadzieję, że uda mi się ją skłonić, aby śpiewała w chórze.

Wczoraj na nasze podwórze przyszedł pies pana Hamiltona i rzucił się na Marcina. „To już jest szczyt wszystkiego” - oznajmiła Rebeka Dew. Z policzkami bardziej czerwonymi niż zwykle, pulchnymi ramionami trzęsącymi się z pasji, w takim pośpiechu, że nałożyła kapelusz tyłem do przodu i nawet tego nie zauważyła, pobiegła do pana Hamiltona i powiedziała, co o tym myśli. Wyobrażam sobie, jaką miał głupią minę!

- Nie lubię Tego Kota - powiedziała mi Rebeka Dew. - Ale on jest nasz i żaden pies jakiegoś Hamiltona nie ma prawa obrażać go na naszym własnym podwórzu. „Ależ on gonił waszego kota tylko dla zabawy” - powiedział pan Hamilton. „Pańskie wyobrażenie o zabawie jest różne od wyobrażeń MacComberów, MacLeanów i wreszcie Dewów” - odparłam. „Ho, ho, chyba pani jadła kapustę na obiad, panno Dew” - rzekł. „Nie - ja na to - ale mogłam była jeść. Pani kapitan owa MacComber nie sprzedała całego zbioru co do liścia i nie zostawiła rodziny bez zapasów tylko dlatego, że ceny na kapustę były wysokie. Pewni ludzie - ciągnęłam - nie słyszą nic oprócz brzęku pieniędzy w kieszeni”. I pozwoliłam mu nad tym porozmyślać. Ale czego można się spodziewać po Hamiltonie? Szumowina!

Nisko nad białym Królem Burz wisi purpurowa gwiazda. Chciałabym, żebyś był tu i patrzył na nią razem ze mną. Mówilibyśmy zapewne o czymś więcej niż o szacunku i przyjaźni.

12 stycznia

Przedwczoraj wieczorem przybiegła mała Elżbieta z pytaniem, czy delfin Francji* to jest jakieś okropne zwierzę. Wyznała też ze łzami w oczach, że jej nauczycielka prosiła ją o wzięcie udziału w koncercie, który szkoła urządza w tym miesiącu. Ale pani Campbell stanowczo powiedziała: „Nie”, a na błagania Elżbiety rzekła ostro:

- Bądź tak miła i nie mów o tym więcej, Elżbieto, jeśli można cię o to prosić!

Dziewczynka wylała potok gorzkich łez i powiedziała mi, że czuje się tak, jakby miała już na zawsze zostać Elżusią i nie potrafi być nikim innym. Cała klasa wystąpi na koncercie, a ona będzie się czuła jak lampart. Małeńka chciała pewnie powiedzieć, że będzie się czuła jak trędowata, co by było wystarczająco okropne*. Nie mogłam na to pozwolić. Elżbieta nie powinna czuć się jak trędowata.

A więc nazajutrz znalazłam pretekst, aby złożyć wizytę w Wiecznej Zieleni. Kobieta, która wyglądała tak archaicznie, jakby żyła przed potopem, obrzuciła mnie zimnym spojrzeniem szarych, pozbawionych wyrazu oczu i zaprowadziła do gabinetu. Następnie poszła zawiadomić panią Campbell o moim przybyciu.

Nie sądzę, by od chwili powstania domu słońce zaglądało do gabinetu. Pianino wyglądało tak, jakby nigdy nikt na nim nie grał. Pod ścianą stały sztywne, obite brokatem krzesła. Wszystkie meble, oprócz marmurowego stołu, stoją pod ścianą i zdają się stronić od siebie, jakby się nie znały nawzajem.

* Delfin (fr. dauphin) - tytuł następców tronu francuskiego.

* Elżbieta pomyliła wyrazy, które w języku angielskim mają podobne brzmienie: leopard (lep d) _ lampart i leper (‘lep r) - trędowaty.

Wreszcie weszła pani Campbell. Widziałam ją po raz pierwszy. Jej drobna twarz o ostrych rysach, czarnych oczach i krzaczastych brwiach mogłaby należeć do mężczyzny. Widocznie jeszcze nie wyrzekła się próżnostek tego świata, bo nosi długie kolczyki z onyksu, które sięgają jej do ramion. Była bardzo grzeczna dla mnie, a ja dla niej.

Przez kilka chwil wymienialiśmy uwagi na temat pogody, „z powagą odpowiednią do okoliczności” - jak zauważył Tacyt wieśset lat temu. Zgodnie z prawdą powiedziałam, że przyszedłam, aby spytać, czy nie mogłabym pożyczyć na parę dni „Wspomnień” Jakuba Wallace’a Campbella. O ile wiem, dużo w nich ciekawych informacji o wczesnych dziejach Wyspy. Chciałabym skorzystać z tej książki w szkole.

Pani Campbell w widoczny sposób odtajała. Wezwała Elżbietę i poleciła jej przynieść „Wspomnienia” ze swojej sypialni. Na twarzy dziewczynki widniały ślady łez, więc pani Campbell raczyła wyjaśnić, że wywołał je ponowny list od nauczycielki, która nalegała, aby Elżbieta zaśpiewała na koncercie. Pani Campbell napisała już odpowiednio stanowczą odpowiedź, którą Elżbieta zanieś jutro do szkoły.

- Uważam, że dzieci w wieku Elżbiety nie powinny występować publicznie - rzekła pani Campbell. - Stają się bezczelne i pewne siebie.

Jakby cokolwiek mogło uczynić Elżbietę bezczelną i zbyt pewną siebie!

- Sądzę, że to bardzo mądre z pani strony, pani Campbell - powiedziałam z godnością.
- Przecież Mabela Phillips będzie śpiewała, a mówiono mi, że ma tak piękny głos, iż w zestawieniu z nią inne dzieci wydają się skrzeczeć. Bez wątpienia to dużo lepiej, że Elżbieta nie wystąpi razem z nią.

Twarz pani Campbell zmieniała się. Przyjęła nazwisko męża, ale w duszy pozostała Pringle... Nic nie powiedziała, a ja uznałam, że nie należy więcej mówić na ten temat. Podziękowałam za „Wspomnienia” i poszłam do domu.

Nazajutrz wieczorem Elżbieta przybiegła na mleko. Jej blada twarz, podobna do płatka kwiatu, jaśniała jak gwiazda. Babcia pozwoliła jej śpiewać pod warunkiem, że nie popadnie w pychę z tego powodu.

Widzisz, Rebeka Dew mówiła mi, że Philipsowie i Campbellowie od lat rywalizują ze sobą, jeśli chodzi o piękne głosy!

Na Boże Narodzenie dałam Elżbiecie obrazek do zawieszenia nad łóżkiem. Widnieje na nim ścieżynka, biegnąca wśród lasu do małego, śmiesznego domku.

Elżbieta mówi, że teraz nie będzie się tak bardzo bała spać po ciemku, bo gdy tylko się kładzie, marzy, że idzie tą ścieżką i wchodzi do jasno oświetlonego domu, w którym czeka na nią ojciec.

Biedactwo! Doprawdy nienawidzę jej ojca!

19 stycznia

Wczoraj była zabawa u Carry Pringle'a. Julianna pojawiła się w nowej sukni z czerwonego jedwabiu suto ozdobionej falbankami i z włosami kunsztownie ułożonymi przez fryzjera. Czy uwierzysz, że ludzie, którzy znają ją od dnia, kiedy przyjechała do Summerside, zapytywali jeden drugiego, kto to jest? Myślę, że sprawiły to nie tylko suknia i fryzura, lecz przede wszystkim zmiany w jej zachowaniu.

Dotychczas, gdy była w towarzystwie, wydawało się, że myśli: „Ci ludzie mnie nudzą. Sądzę, że ja też ich nudzę, co więcej, mam nadzieję, że tak jest”.

Z trudem zdobyłam przyjaźń Julianny. Ale niełatwo jest uzyskać coś naprawdę wartościowego. Zawsze uważałam, że przyjaźń tej dziewczyny jest warta zachodu.

Ciocia Misia od dwóch dni leży z gorączką i zamierza jutro wezwać doktora, bo obawia się, że dostała zapalenia płuc. W związku z tym Rebeka Dew owinęła głowę ręcznikiem i przez cały dzień obłądnie sprzątała dom, żeby go przygotować na ewentualną wizytę lekarza. Obecnie prasuje w kuchni bawełnianą koszulę nocną cioci Misi. Gdy wejdzie doktor, ciocia narzuci tę koszulę na flanelową, która jest idealnie czysta, ale Rebeka Dew uważa, że przyszarzała od leżenia na półce.

28 stycznia

Styczeń był dotychczas miesiącem zimnych szarych dni. Często szalał sztorm, a w Alei Duchów wiał wiatr. Lecz wczoraj wieczorem srebrzysty śnieg trochę stajał, a dziś świeci słońce. W moim klonowym zagajniku widzę tysiące cudów, jakie trudno by było sobie wyobrazić. Najzwyklejsze stare kąty nabrały uroku. Każda sztachetka w płocie wygląda jak kuta w kryształ.

Rebeka Dew przez cały wieczór czytała artykuł: „Typ wspaniałej kobiety”, wydrukowany w jakimś czasopiśmie.

- Czyż nie byłoby cudownie, panno Shirley, gdyby ktoś skinął czarodziejską pałeczką i obdarzył urodą wszystkich ludzi na świecie? - rzekła z rozmarzeniem. - Niech sobie pani tylko wyobrazi, jak bym się czuła spostrzegłszy, że jestem piękna! Lecz - tu nastąpiło głębokie westchnienie - kto by pracował w kuchni, gdybyśmy wszystkie były pięknosciami?

VIII

- Jestem taka zmęczona - westchnęła kuzynka Ernestyna, padając na krzesło przy nakrytym do kolacji stole w Szumiących Topolach. - Czasem boję się usiąść, gdyż nie wiem, czy mi starczy sił, żeby wstać.

Kuzynka Ernestyna, „dziesiąta woda po kisielu”, jeśli chodził pokrewieństwo z kapitanem Mac Comber, jak zaznaczała ciocia Kasia, niemniej jednak kuzynka, przyszła tego dnia z Cichej Doliny z wizytą. Trudno byłoby powiedzieć, że wdowy powitały ją serdecznie, pomimo zakorzenionych silnie więzów rodzinnych. Kuzynka Ernestyna należała do tych niezwykle wesołych osób, które bezustannie kłopotczą się nie tylko o swoje własne sprawy, lecz również o sprawy innych, i nie pozwalają ani sobie, ani innym na chwilę spokoju. Sam jej widok, jak mówiła Rebeka Dew, sprawiał, że świat wydawał się doliną łez.

Kuzynka Ernestyna z pewnością nie należała do piękności. Wątpliwe, czy kiedykolwiek można było ją nazwać ładną. Jej suchą twarz o bladoniebieskich oczach niefortunnie ozdabiałały pieprzyki. Była to twarz osoby o przykrym usposobieniu. Na domiar złego kuzynka Ernestyna miała nieprzyjemny, jęklivy głos. Stale ubierała się w ciężkie, czarne suknie i owijała szyję kawałkiem foczej skóry, której w obawie przed przeciągami nie zdejmowała nawet przy stole.

Rebeka Dew oznajmiła, że nie zamierza spożywać posiłku w towarzystwie malkontentów. Woli zjeść kolację w kuchni, lecz zastrzega sobie prawo do mówienia wszystkiego, co jej się spodoba, gdy będzie podawała do stołu.

- Pewnie czuje pani wiosnę w kościach - odparła na jęk kuzynki tonem całkowicie pozbawionym współczucia.

- Ach, mam nadzieję, że nie jest to coś więcej, panno Dew. Boję się, że będzie ze mną tak, jak z biedną panią Oliverową Gage. W zeszłym roku jadła grzyby. Musiał być wśród nich muchomor, gdyż od tego czasu czuje się o wiele gorzej.

- Lecz ty przecież nie jadłaś grzybów - rzekła ciocia Misia.

- Nie, ale boję się, że zjadłam co innego. Nie próbuj mnie pocieszać, Misiu. Wiem, że masz dobre chęci, ale to na nic. Zbyt wiele przeszłam w życiu. Czy jesteś pewna, Kasiu, że w tym dzbanuszkę ze śmietanką nie ma pająka? Widziałam jakiegoś, kiedy napełniałaś moją filiżankę.

- Nie miewamy pajaków w naszych dzbankach na śmietankę! - oświadczyła z godnością Rebeka Dew i wychodząc do kuchni trzasnęła drzwiami.

- Może to był tylko cień - przyznała potulnie kuzynka Ernestyna - Mój wzrok nie jest tak dobry, jak niegdyś. Obawiam się, że wkrótce oślepnę. To mi coś przypomina... Wpadłam dziś do Marty MacKay, którą zastałam w kiepskiej formie. Ma jakąś wysypkę. „To mi wygląda na różyczkę - powiedziałam jej. - Pewnie niemal zupełnie stracisz wzrok. Wszyscy w twojej rodzinie mieli słabe oczy”. Uważam, że powinna być na to przygotowana. Jej matka też nie czuje się dobrze. Doktor stwierdził u niej niestrawność, ale moim zdaniem to jest rak. „Jeśli będziesz musiała poddać się operacji pod narkozą - powiedziałam - nie wyjdiesz z tego. Pamiętaj, że jesteś z rodziny Hillisów, którzy mają bardzo słabe serca. Twój ojciec zmarł na serce”.

- Mając osiemdziesiąt siedem lat! - powiedziała Rebeka Dew, zmieniając talerze.

- Poza tym górna granica wieku według Biblii wynosi siedemdziesiąt lat - dodała pogodnie ciocia Misią.

Kuzynka Ernestyna wsypała trzecią łyżeczkę cukru do herbaty i ze smutkiem zamieszała w szklance.

- Podobnie mówił król Dawid, lecz wydaje mi się, że nie był to miły człowiek pod pewnymi względami.

Ania uchwyciła spojrzenie cioci Misi i nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Kuzynka Ernestyna skierowała na nią wzrok pełen dezaprobaty.

- Słyszałam, że niewiele trzeba pani do śmiechu. Cóż, mam nadzieję, że będzie tak dalej, chociaż obawiam się, że nie jest to możliwe. Ach, zbyt prędko odkryje pani, że życie składa się z łez i smutku. Kiedyś sama byłam młoda.

- Doprawdy? - spytała ironicznie Rebeka Dew, stawiając na stole półmisek z ciasteczkami. - Mam wrażenie, że pani przez całe życie bała się być młodą. Mogę panią zapewnić, panno Bugle, że do tego trzeba odwagi.

- Rebeka Dew ma taki dziwny sposób wygłaszania swoich poglądów - zahła się kuzynka Ernestyna. - Oczywiście mało mnie to obchodzi. Cieszę się, że pani może się jeszcze śmiać, panno Shirley. Obawiam się jednak, że wyzywa pani los swoim szczęściem. Bardzo mi pani przypomina żonę naszego poprzedniego pastora. Ciągle się śmiała, aż wreszcie nagle umarła na wylew krwi. Trzeciego wylewu jeszcze nikt nie przeżył. Wydaje się, że nasz nowy pastor ma skłonności do frywolnego zachowania. Gdy tylko go zobaczyłam, powiedziałam do Laury: „Mężczyzna z takimi nogami na pewno lubi tańczyć”. Sądzę, że z chwilą kiedy został pastorem, wyrzekł się zabaw, ale skłonność do uciechy na pewno objawi się wśród jego dzieci. Ma młodą żonę, która jest w nim wręcz skandalicznie zakochana. Nie mogę sobie wyobrazić niczego równie oburzającego jak fakt, że dziewczyna wychodzi za pastora z

miłości. To po prostu brak szacunku. Nasz nowy pastor wygłasza zupełnie ładne kazania, lecz sądząc z tego, co w ubiegłą niedzielę powiedział o Eliaszu, zapatruje się na Biblię dość liberalnie.

- Czytałam w gazecie, że Piotr Ellis i Fanny Bugle pobrali się w zeszłym tygodniu - rzekła ciocia Misia.

- O tak. Znali się zaledwie trzy lata. Boję się, że Piotr szybko odkryje, iż uroda nie zawsze idzie w parze z zaletami charakteru. Fanny jest bardzo niezaradna. Serwetki stołowe prasuje tylko po prawej stronie. Nie tak, jak jej święta matka. Ach, to naprawdę była święta kobieta... jeśli zdarzają się takie wśród śmiertelnych. Gdy była w żałobie, sypiała w czarnej piżamie. Powiadała, że jest jej równie smutno w nocy, jak za dnia. Byłam u Andy Bugle'a, aby pomóc w pieczeniu ciast na wesele. Wyobraźcie sobie, że gdy w poranek weselny zeszłam do kuchni, zastałam Fanny jedzącą jajko na śniadanie! W dzień własnego ślubu. Pewnie mi nie uwierzycie, bo ja bym nie uwierzyła, gdybym nie widziała tego na własne oczy. Moja biedna, świętej pamięci siostra nie brała nic do ust na trzy dni przed ślubem. A kiedy umarł jej mąż, baliśmy się, że w ogóle przestanie jeść. Czasem wydaje mi się, że już nie rozumiem Bugle'ów. Kiedyś istniała w rodzinie jakaś więź, ale te czasy minęły.

- Czy to prawda, że Janka Young zamierza ponownie wyjść za mąż? - spytała ciocia Kasia.

- Obawiam się, że tak. Freda Younga uważa się powszechnie za zmarłego, ale ja ciągle się boję, że on któregoś dnia zmartwychwstanie. Nigdy nie można było ufać temu człowiekowi. Janka wychodzi za Ireneusza Robertsa. Zdaje się, że Ireneusz żeni się z nią tylko po to, żeby była szczęśliwa. Jego wuj Filip oświadczył mi się kiedyś, ale powiedziałam mu: „Urodziłam się Bugle i umrę jako Bugle. Małżeństwo to skok na oślep i ani mi się śni przy tej okazji rozbić sobie głowę”. W Cichej Dolinie odbyło się mnóstwo ślubów tej zimy. Obawiam się, że latem będzie równie wiele pogrzebów. Równowaga musi zostać zachowana. W zeszłym miesiącu pobrali się Ania Edwards i Krzyś Hunter. Sądzę, że za kilka lat nie będą w sobie tak zakochani. Myślę, że Krzyś tak olśnił ją swymi wspaniałymi manierami, że Ania straciła głowę. Jego wuj Hiram był wariatem. Przez całe lata myślał, że jest psem.

- Jeśli tylko szczekał sam na siebie, nikt nie powinien mieć mu za złe zabawy - odezwała się Rebeka Dew, wnosząc kruchy placek i konfitury z gruszek.

- Nie słyszałam, żeby szczekał - odparła kuzynka Ernestyna. - Kradł kości i zakopywał je, gdy nikt nie widział. Jego żona bardzo nad tym bolała.

- Czy pani wie, że się pani rozpięła spódnica? - zauważyła Rebeka Dew, podając cioci Kasi placek kokosowy.

- Nie mam czasu ciągle się gapić w lustro i podziwiać swoich strojów - odrzekła kuzynka Ernestyna kwaśno. - Co z tego, że spódnica się rozpięła? Przecież mam pod spodem trzy halki. Mówiono mi, że współczesne dziewczęta noszą tylko jedną. Obawiam się, że na świecie roi się od błazeństw i grzechów. Czy te dziewczęta w ogóle rozmyślają o dniu sądu?

- Czy pani myśli, że w dzień sądu zapytają nas, ile nosiłyśmy halek? - spytała Rebeka Dew, uciekając do kuchni, zanim ktoś zdążył okazać oburzenie. Nawet ciocia Misia uznała, że Rebeka posuwa się za daleko.

- Co robiła tej zimy Janka Goldwin? - spytała ciocia Kasia. - Przez długi czas nie było jej w mieście.

- Och, biedna Janka! Zniknęła w tajemniczy sposób. Nikt nie wie, co się z nią stało, ale myślę, że to jest właśnie jakieś alibi. Dlaczego Rebeka Dew śmieje się w kuchni jak hiena? Obawiam się, że będziecie miały z nią dużo kłopotów. W jej rodzinie częste były przypadki zachorowań na choroby psychiczne.

- Podobno Tira Cooper ma dziecko - rzekła ciocia Misia.

- Tak, biedactwo. Chwała Bogu jedno. Bałam się, że urodzi bliźnięta. U Cooperów często rodzą się bliźnięta.

- Tira i Ned są bardzo miłą parą - powiedziała ciocia Kasia jakby chcąc uratować coś z walącego się według kuzynki Ernestyny świata. Ale ta ostatnia nie miała zamiaru przyznać, że w Sodomie znajdzie się choć jeden sprawiedliwy.

- Ach, Tira tak się cieszyła, że udało się jej go poślubić. Swego cza! bała się, że Ned nie wróci z Zachodu. Ostrzegałam ją: „On na pewno zawiedzie. Zawsze wszystkim sprawiał zawód. Wszyscy oczekiwali, umrze w niemowlęctwie, a tymczasem ośmiela się żyć do tej pory”. A j kupił posiadłość Holly’ów, powiedziałam jej tak: „W tym domu musi się od zarazków febry. Ostatni jego mieszkaniiec zmarł na febrę. Było zaledwie pięć lat temu”. Cóż, jeśli coś się stanie, nie będą mogli mnie winić. Józef Holly ma coś w plecach. Powiada, że to lumbago, ale ja uważam, że cierpi na początki paraliżu.

- Stary wuj Józef jest najlepszym człowiekiem na świecie - oświadczyła Rebeka Dew, wnosząc dzbanek z gorącą herbatą.

- Tak, owszem - zgodziła się ponuro kuzynka Ernestyna. - Jest zbyt dobry! Obawiam się, że wszyscy jego synowie będą źli. Często tak jest. Równowaga musi być zachowana. Nie, Kasiu, nie wypiję już herbaty. Może raczej zjem ciasteczko. Makaroniki nie zalegają na żołądku, i pozwolę sobie na jeszcze jeden. Trzeba się zbierać, bo nie wrócę do domu przed zmrokiem. Nie chciałabym przemoczyć nóg. Boję się reumatyzmu. Przez całą zimę coś wędrowało mi od ręki do nogi. Nie mogłam przez to spać noc w noc. Ach, nikt nie wie, ile

przeszłam w życiu. Lecz nie należę do ludzi, którzy wiecznie się żalą. Chciałam was odwiedzić, bo kto wie, czy wiosna zastanie mnie na tym świecie. Ale wy obie postarzałyście się tak bardzo, że może umrzecie przede mną. Przyjemniej się umiera, gdy ktoś bliski kładzie cię do trumny. Ależ wieje! Obawiam się, że zerwie dach z naszej stodoły. Mieliśmy bardzo wietrzną wiosnę. Zapewne klimat się zmienia. Dziękuję, panno Shirley - przerwała, bo Ania podała jej palto. - Niech pani uważa na siebie. Wydaje się pani bardzo zmęczona. Obawiam się, że czerwono włosów ludzie są dość słabego zdrowia.

- Myślę, że mojemu zdrowiu nie da się nic zarzucić - odparła Ania podając kuzynce Ernestynie niewiarygodnie stare cudo do przykrycia głowy, z olbrzymim piórem, opadającym do tyłu aż na plecy. - Po prostu trochę mnie boli gardło, panno Bugle, i to wszystko.

- O! - Kuzynce Ernestynie przypomniały się kolejne ponure przepowiednie. - Trzeba uważać na gardło. Objawy dyfterytu i zapalenia migdałów są identyczne aż do trzeciego dnia choroby. Lecz niech się pani pocieszy, że jeżeli pani umrze młodo, zaoszczędzi sobie pani wielu kłopotów.

IX

Pokój na wieży

Summerside

20 kwietnia

Biedny, kochany Gilbercie!

Boję się, że osiwieję za młodu, boję się, że skończę w domu dla ubogich, boję się, że żaden z moich uczniów nie zda egzaminów końcowych. Pies pana Hamiltona na mnie szczekał i boję się, że dostanę wścieklizny. Boję się, że moja parasolka się zepsuje i nie będę mogła pójść na spacer z Julianną. Boję się, że Julianna lubi mnie teraz tak bardzo, że jest niemożliwe, aby ta sympatia długo potrwiała. Boję się, że mimo wszystko moje włosy nie są kasztanowate. Boję się, że zrobi mi się pieprzyk na nosie, gdy będę miała 50 lat. Boję się, że zaręczyłeś się ze mną tylko dlatego, że zawsze kręciłam się w pobliżu. Boję się, że zaraz się schowam pod kołdrę.

Nie, najdroższy, jeszcze nie zwariowałam. To tylko wpływ kuzynki Ernestyny. Wiem już, dlaczego Rebeka Dew nazywa ją panną Bardzo - przerażoną. Ta biedaczka wymyśla sobie tyle kłopotów, że nic dziwnego, iż widzi przyszłość tego świata w tak beznadziejny sposób.

Spotyka się wiele ludzi o podobnych zapatrywaniach. Może nie wszyscy posuwają się tak daleko, lecz wielu nie cieszy się dniem dzisiejszym w strachu przed tym, co przyniesie jutro.

Gilbercie, nie trzeba ciągle się bać wszystkiego. W ten sposób poniekąd zniewala się własną duszę. Należy być śmiałym, żądnym przygód i niespodzianek. Wybiegnijmy życiu naprzeciw tanecznym krokiem, choćby miało nam przynieść kłopoty, febrę i blizny!

Dzisiejszy dzień zabłądził w kwiecień prosto z czerwca. Śnieg stopniał, a mokre doliny i złociste wzgórza śpiewają o wiosnie. W zielonej dolince, leżącej niedaleko klonowego zagajnika, słyszałam, jak Pan grał na swej fujarce. Król Burz ukrył się pod purpurowymi mgiełkami. Ostatnio często padały deszcze. Kocham spokojne godziny o zmierzchu, gdy siedzę przy oknie w swoim pokoiku. Lecz dzisiejszy wieczór jest inny, posępny, Przerażający. Chmury pędzą po niebie w pośpiechu, a księżyc przeziera Przez nie niespokojnie, rzucając na ziemię blade promienie.

Och, Gilbercie, gdybyśmy tak teraz poszli ręką w rękę drogami Avonlea!

Obawiam się, że jestem w Tobie skandalicznie zakochana. Nie uważasz chyba tego za brak szacunku?! Poza tym nie jesteś pastorem.

X

- Ja jestem taka inna! - westchnęła Hazel.

Na pewno było okropne różnić się od innych ludzi. Ale zarazem cudowne, jak gdyby pochodziło się z innej planety. Hazel wołała nie należeć do zwykłego ludzkiego motłochu bez względu na to, jak cierpiała przez swą odrębność.

- Każdy z nas jest inny - rzekła rozbawiona Ania.

- Pani się uśmiecha - Hazel klasnęła w bardzo białe i pulchne dłonie, patrząc na nią z podziwem. Miała zwyczaj podkreślać co najmniej jedno słowo w każdym wypowiedzanym zdaniu. - Pani uśmiech ma w sobie coś fascynującego. Ten uśmiech porywa. W chwili gdy panią po raz pierwszy zobaczyłam, pojęłam, że pani zrozumie wszystko. Jesteśmy z tego samego świata. Czasem myślę, panno Shirley, że mam szczególną intuicję w kontaktach z ludźmi. Zawsze od razu wiem, czy polubię daną osobę, czy nie. Od razu wiedziałam, że pani jest miła i że pani zrozumie. Nikt mnie nie rozumie, panno Shirley, nikt. Ale gdy ujrzałam panią, jakiś wewnętrzny głos mi powiedział: „Ona zrozumie, z nią możesz być sobą”. Och, czy pani lubi mnie choć trochę, panno Shirley?

- Myślę, że jesteś kochanym stworzeniem - odparła Ania ze śmiechem, głaszcząc szczupłymi palcami złociste loki Hazel. Nie było trudno polubić tę dziewczynę.

Hazel właśnie otwierała przed Anią swoje serce. Siedziały w pokoju na wieży, podziwiając widniejący nad przystanią sierp księżyca i głębokiej cienie majowego wieczoru, które kładły się na ścieżkach i kwiatach w ogrodzie.

- Nie zapalajmy jeszcze lampy - prosiła Hazel.

Ania zgodziła się chętnie.

- Miło jest, gdy zmrok przychodzi jak przyjaciel, prawda? Płomień lampy czyni go wrogiem. Noc wówczas gniewa się na nas, rozżalona, że się ją odpędza.

- Umiem coś takiego pomyśleć, lecz nie umiem tego tak pięknie wyrazić słowami - wyznała Hazel w porywie zachwytu. - Panno Shirley, pani mówi językiem fiołków.

Hazel nie potrafiłaby wytłumaczyć, co miała na myśli, lecz było to bez znaczenia. Najważniejsze, że wypowiedziane przez nią zdanie brzmiało tak poetycznie.

Tego wieczoru pokój na wieży był jedynym spokojnym miejscem w całym domu. Rano Rebeka Dew z przerażeniem w oczach oznajmiła:

- Musimy zmienić tapety w salonie i korytarzu przed zebraniem pań z Koła Pomocy, które ma się u nas odbyć.

Usunęła więc z wymienionych pomieszczeń meble, ale okazało się, że malarz może przyjść dopiero jutro. W Szumiących Topolach panował więc całkowity bałagan. Tylko wieża pozostała oazą spokoju.

Hazel Marr często „wpadała” do Ani. Jej rodzice przeprowadzili się do Summerside ostatniej zimy, byli więc przybyszami. Hazel, obdarzona złotobrązowymi włosami i brązowymi oczami, chętnie mówiła o sobie, że jest „październikową blondynką”. Zdaniem Rebeki Dew zadzierała nosa od chwili, gdy odkryła, że jest ładna. Mimo to cieszyła się powodzeniem, zwłaszcza wśród chłopców, których fascynowały jej ciemne oczy i złotawe włosy.

Ania lubiła Hazel. Tego dnia wróciła ze szkoły zmęczona po południowych zajęciach i nastrojona nieco pesymistycznie. Teraz czuła się już lepiej - może był to rezultat gadaniny Hazel, a może powiewu majowego wietrzyka, który przynosił do pokoju zapach kwitnących jabłoni. Hazel przypominała Ani jej własne dziewczęce lata, młodzieńcze porywy, idee i romantyczne marzenia.

Hazel chwyciła dłoń nauczycielki i porywczo przycisnęła ją do ust.

- Nienawidzę wszystkich ludzi, których pani kochała przede mną, panno Shirley. Nienawidzę również tych, których pani kocha obecnie. Pragnę mieć panią tylko dla siebie.

- Czy nie jesteś troszkę niesprawiedliwa, kochanie? Przecież lubisz oprócz mnie inne osoby. Chociażby Terry’ego!

- O, panno Shirley! Właśnie o tym chciałam z panią mówić. Nie mogę już dłużej milczeć - nie mogę. Muszę o tym komuś powiedzieć. Komuś, kto zrozumie. Przedwczoraj przez całą noc spacerowałam nad stawem. No, przynajmniej do północy. Ach, ileż przecierpiałam!

Hazel starała się wyglądać tragicznie, choć okrągłe różowe policzki, ocienione długimi rzęsami oczy i gęstwina kędziorków nie bardzo jej na to pozwalały.

- Ależ, Hazel, byłam pewna, że jesteś szczęśliwa z Terrym, że między wami wszystko jest w porządku...

Od trzech tygodni Hazel zwierzała się jej ze wszystkiego, co tyczyło Terry’ego Garlanda. Dziewczyna uważała, że nie warto jest mieć wielbiciela, jeśli nie można się nim nikomu pochwalić.

- Wszyscy tak uważają - odparła z goryczą. - Och, panno Shirley, życie roi się od strasznych problemów. Czasem pragnę położyć się gdzieś... gdziekolwiek... złożyć ręce i nie myśleć już nigdy.

- Ależ, kochanie, czy stało się coś złego?

- Nie... i wszystko. Och, panno Shirley, czy mogę pani o tym powiedzieć, czy mogę przed panią otworzyć serce?

- Oczywiście, kochanie.

- Nie mam przed kim otwierać serca - rzekła Hazel patetycznie. - Oczywiście z wyjątkiem mojego dziennika. Czy będę mogła kiedyś pokazać pani mój dziennik, panno Shirley? Odzwierciedla on stan mojej duszy, ale nie mogę pisać o tym, co mnie najbardziej boli. To... to aż mnie dławi!

Hazel dramatycznym ruchem przycisnęła dłoń do szyi.

- Chętnie go zobaczę, jeśli zechcesz. Lecz co się zepsuło między tobą i Terryem?

- Och, Terry! Panno Shirley, czy pani uwierzy, że Terry wydaje mi się teraz obcy? Obcy! Jak ktoś, kogo po raz pierwszy widzę - Hazel starała się dokładnie objaśnić stan swego serca, żeby nie zrozumiano jej niewłaściwie.

- Ależ, Hazel, sądziłam, że go kochasz. Mówiłaś...

- Och, wiem. Ja też myślałam, że go Kocham. Lecz teraz wiem, że to była okropna pomyłka. O, panno Shirley, nie może pani wiedzieć, jak trudne jest moje życie, jak niemożliwe wydaje się żyć dalej.

- Wiem coś o tym - rzekła Ania ze współczuciem, wspominając Roberta Gardnera.

- Och, panno Shirley, jestem pewna, że nie Kocham go na tyle, żeby wyjść za niego za mąż. Dopiero teraz to sobie uświadomiłam. Teraz, gdy jest za późno. Wyobrażałam sobie, że go Kocham. Na pewno zawinił cudowny blask księżyca, przyświecającego nam podczas spacerów. Bo gdyby nie księżyc, poprosiłabym o parę dni czasu' do przemyślenia tej sprawy. Widzę teraz, że nie byłam panią siebie. Och, ja chyba ucieknę albo zrobię coś strasznego!

- Ależ, Hazel, kochanie, jeśli uważasz, że się pomyliłaś, dlaczego mu po prostu nie powiesz...

- Och, panno Shirley, nie mogę! To by go zabiło. On mnie uwielbia. Nie mam żadnego wyjścia. A Terry zaczyna mówić o małżeństwie. Niech pani tylko pomyśli. Jestem przecież dzieckiem, mam dopiero osiemnaście lat. Wszyscy przyjaciele, którym w tajemnicy powiedziałam o moich zaręczynach, gratulują mi. To doprawdy żalosna komedia. Uważają, że Terry jest grubą rybą, bo gdy skończy 25 lat, dostanie spadek po babce, wynoszący dziesięć tysięcy dolarów. Jakbym była zdolna od myślenia o czymś tak płaskim jak pieniądze! Och, panno Shirley, dlaczego świat jest tak małostkowy? Dlaczego?

- Sądzę, że pod pewnymi względami jest małostkowy, ale nie zawsze, Hazel. A jeśli tak myślisz o Terryem... Wszyscy popełniamy błędy. Czasem jest bardzo trudno rozeznąć się we własnych uczuciach.

- Prawda? Wiedziałam, że pani to zrozumie. Naprawdę myślałam, że on mnie obchodzi, panno Shirley. Gdy go pierwszy raz zobaczyłam, usiadłam i wpatrywałam się w niego cały wieczór. Dreszcz mnie przenikał, gdy napotkałam jego wzrok. Był tak przystojny, chociaż już wtedy pomyślałam, że ma za jasne rzęsy i zanadto skręcone włosy. To powinno było mnie ostrzec. Ale pani wie, że zawsze oddaję się wszystkiemu całą duszą. Jestem taka uczuciowa! Gdy przechodził obok mnie, drżałam z przejęcia. A teraz nic nie czuję. Nic! Och, postarzałam się znacznie przez ostatnie tygodnie, panno Shirley. Od dnia zaręczyn prawie nie mogłam jeść. Mama może potwierdzić, że tak było. Jestem pewna, że nie kocham go wystarczająco. Mogę we wszystko wątpić, ale nie w to.

- Więc powinnaś...

- Nawet kiedy mi się oświadczył w tę księżycową noc, rozmyślałam, jaką suknię włożyć na kostiumową zabawę, która miała się odbyć u Janki Pringle. Chętnie bym wystąpiła jako królowa „Maj”, w bładozielonej sukience przepasanej ciemnozieloną szarfą i z czerwonymi różami we włosach. W dłoni trzymałabym pałeczkę oplecioną różami i różowo-zielonymi wstążeczkami. Prawda, że byłby to porywający strój? Lecz wuj Janki umarł i z zabawy nic nie wyszło. Całe moje rozmyślanie było zbędne. Nie kocham go, jeśli mogłam myśleć o takich rzeczach. Prawda?

- Nie wiem... Nasze myśli często sprawiają nam różne niespodzianki.

- Nie wydaje mi się, panno Shirley, żebym kiedykolwiek miała ochotę wyjść za mąż. Czy ma pani pod ręką szydełko? Dziękuję. Koronki przy mojej chusteczce są trochę zniszczone. Mogę zrobić nowe, gdy tu z panią rozmawiam. Jakże cudownie jest wymieniać najgłębsze myśli. Rzadko się nadarza taka okazja. A więc o czym mówiłam? Ach, o Terrym. Co mam zrobić, panno Shirley? Niech mi pani poradzi. Czuję się jak osaczone zwierzę.

- Hazel, to naprawdę jest proste.

- O, wcale nie takie proste, panno Shirley! To jest okropnie skomplikowane. Mama jest zachwycona Terrym, ale ciocia Janka wcale nie. Nie lubi go, a wszyscy twierdzą, że ona zna się na ludziach. Nie chcę wyjść za mąż. Jestem ambitna. Pragnę zrobić karierę. Zawsze myślałam, że chciałabym zostać pielęgniarką. To taki romantyczny zawód, prawda? Uśmierzać ból gładząc rozpalone twarze i tak dalej... Jakiś pacjent milioner zakocha się we mnie i miodowy miesiąc spędźmy w willi na Riwierze, podziwiając wschody słońca i błękit Morza Śródziemnego. Widzę siebie w tej roli. Być może są to głupie marzenia, lecz tak słodkie. Nie mogę się ich wyrzec dla prozaicznego małżeństwa z Terrym, której oznacza ugrzęźnięcie na stałe w Summerside.

Hazel wstrząsnęła się na samą myśl i krytycznie obejrzała rąbek chusteczki.

- Sądę... - zaczęła Ania.

- Nie mamy żadnych wspólnych cech, wie pani. On nie lubi poezji i romansów, które dla mnie są istotą życia. Czasem myślę, że pewnie jestem; wcieleniem Kleopatry, a może Heleny Trojańskiej? W każdym razie któreś z tych omdlewających, uwodzicielskich istot. Miewam tak wspaniałe myśli i uczucia. A Terry jest okropnie rzeczowy. Dowodzi tego chociażby jego wypowiedź w sprawie pióra Wery Fry.

- Nic nie słyszałam o piórze Wery Fry - rzekła Ania cierpliwie.

- Naprawdę? Myślałam, że pani o tym mówiłam. Tyle już pani powiedziałam. Narzeczony Wery ofiarował jej pióro, które sam zrobił z pióra kruka. Powiedział jej: „Niech twa dusza ulatuje ku niebu, skoro weźmiesz to pióro do ręki, tak jak ulatywał ptak, do którego należało”. Czyż to nie było cudowne? Lecz Terry powiedział, że pióro szybko się zepsuje, zwłaszcza jeśli Wera będzie nim pisała równie dużo, jak mówi, a poza tym kruki nie ulatują do nieba. Po prostu nie zrozumiał głębokiego sensu tej wypowiedzi.

- A jaki jest ten sens?

- Och... Hm... więc wzlatywanie, widzi pani, no, ucieczka od smutków tego świata. Czy widziała pani pierścionek Wery? Z szafirem. Uważam, że szafiry są za ciemne na zaręczynowe pierścionki. Wolałabym raczej pani słodką romantyczną obrączkę z perełek. Terry chciał od razu dać mi pierścionek, ale nie zgodziłam się. To byłoby nakładanie na siebie więzów... - coś nieodwołalnego. Gdybym go kochała, nie myślałabym w ten sposób, prawda?

- Myślę, że nie...

- Jestem szczęśliwa, że mogłam pani powiedzieć, co naprawdę czuję, panno Shirley. Och, gdybym mogła znowu być wolna - wolna, by lepiej poznać głębię życia! Terry by nawet nie pojął, o czym mówię, gdyby to usłyszał. Wiem też, że jest porywczy, jak wszyscy Garlandowie. O, panno Shirley, czy pani by mogła z nim porozmawiać, powiedzieć mu, co czuję. On uważa, że pani jest cudowna. Zrobi wszystko, co pani powie.

- Ależ, Hazel, jak miałabym to zrobić?

- Nie widzę żadnych przeszkód - Hazel skończyła robić koronkę i tragicznym ruchem odłożyła szydełko. - Jeśli pani tego nie uczyni, nikt mi nie pomoże. Lecz nie mogę, nie mogę poślubić Terry'ego Garlanda.

- Jeśli nie kochasz Terry'ego, powinnaś mu o tym powiedzieć, bez względu na to, jak on to odczuje. Kiedyś spotkasz kogoś, kogo naprawdę pokochasz, Hazel. Wówczas nie będziesz miała żadnych wątpliwości. Po prostu będziesz wiedziała.

- Już nigdy nikogo nie pokocham - odparła Hazel z tragicznym spokojem. - Miłość przynosi tylko smutek. Wiem już o tym, choć jestem taka młoda. Moja historia doskonale

pasowałaby do pani noweli, prawda? Muszę iść. Nie sądziłam, że jest tak późno. Teraz, gdy wypowiadałam się przed panią, czuję się o wiele lepiej.

Hazel przygładziła włosy i włożyła kapelusz przybrany różowymi wstążkami i pęczkami różanego kwiecia. Wyglądała tak ślicznie, że Ania nie mogła się oprzeć chęci ucałowania jej.

- Jesteś prześliczna, kochanie - rzekła z podziwem.

Hazel przez chwilę stała nieruchomo. Wreszcie podniosła oczy w górę, jakby pragnąc przeniknąć wzrokiem sufit pokoju i sięgnąć do gwiazd.

- Nigdy, nigdy nie zapomnę tej cudownej chwili, panno Shirley - wyszeptała. - Mam wrażenie, że moja uroda - jeśli jestem ładna - została uświęcona. O, panno Shirley, nie wie pani, jakie to okropne, gdy jest się uważaną za piękność. Gdy zawieram nowe znajomości, zawsze się lękam, że ludzie pomyślą, iż nie jestem tak piękna, jak oczekiwali. To istna tortura. Czasem wręcz umieram z bólu, gdyż wydaje mi się, że rozczarowałam kogoś swoim wyglądem. Być może to tylko moja wyobraźnia płata mi figle. Mam bardzo bogatą wyobraźnię. Myślę, że dla mego własnego dobra byłoby lepiej być obdarzoną nieco uboższą wyobraźnią.

- Widzę, że nie zagadała pani na śmierć - stwierdziła Rebeka Dew, gdy Ania, odprowadziwszy Hazel do końca Alei Duchów, wróciła do domu. - Nie mam pojęcia, jak pani z nią wytrzyma.

- Lubię ją, Rebeko. Naprawdę. Sama gadałam jak katarynka, gdy byłam dzieckiem. Ciekawe, czy wtedy moje wypowiedzi wydawały się ludziom, którzy mnie słuchali, równie głupiutkie jak teraz mnie wywodzi Hazel.

- Nie znałam pani, gdy była pani dzieckiem, ale jestem pewna, że nie - rzekła Rebeka Dew. - Po prostu pani rozumiała, co pani mówi, bez względu na to, jakich pani używała słów. O Hazel nie można tego powiedzieć. Ta dziewczyna jest jak zwykle mleko, które udaje śmietankę.

- O, naturalnie, że ma skłonności do przesady jak wszystkie dziewczęta, lecz sądzę, że rozumie coś niecoś z tego, co mówi - powiedziała Ania, myśląc o Terrym. Wierzyła, że Hazel była szczerą, bo sama nie miała o Terrym zbyt wysokiego mniemania i sądziła, że Hazel rada by rzeczywiście rzucić Terry'ego pomimo jego spadku po babce. Uważała wielbienia swej małej adoratorki za miło wyglądającego młodzieńca o słabym charakterze. Prawdopodobnie zakochałby się w pierwszej dziewczynie, która by na niego zwróciła uwagę. Gdyby zaś panna numer jeden porzuciła go, z równą łatwością oddałby serce innej.

Ania często widywała Terry'ego, gdyż często na prośbę Hazel pełniła rolę przyzwoitki. Gdy Hazel wyjechała do Kingsportu, Terry chętnie zabierał Anię na przejażdżki i odwiedzał ją w domu. Mówili sobie po imieniu, gdyż byli mniej więcej w tym samym wieku, chociaż Ani wydawało się, że Terry wobec niej jest dzieckiem. Chłopcu pochlebiał fakt, że „inteligentna panna Shirley” zdaje się lubić jego towarzystwo. Pewnego wieczoru na zabawie u Marysi Connely, gdy w ogrodzie zalanym księżycowym światłem tańczyły zwiewne cienie akacji, Terry skierował do Ani tak sentymentalne słowa, że zdecydowała ona za słuszne przypomnieć mu o Hazel.

- Och, Hazel! - rzeki. - To dziecko!

- Jesteś zaręczony z tym dzieckiem - powiedziała Ania poważnie.

- Ech, zaręczony! Niezupełnie. To tylko taka bzdurka między dziewczyną i chłopcem. Wydaje mi się, że po prostu zanadto uległem czarowi księżycowej nocy.

Ania rozmyślała pospiesznie. Jeśli Terry naprawdę tak mało dbał o Hazel, łatwo byłoby uwolnić dziewczynę z bezmyślnie nałożonych więzów. Może to sama opatrność zsyła okazję do rozwiązania trudnej sytuacji, w którą zawikłali się młodzi i z której, biorąc sprawę z młodzieńczą powagą, nie umieli się wyplątać.

- Oczywiście - ciągnął Terry, niewłaściwie rozumiejąc jej milczenie - przyznaję, że zawiniłem. Obawiam się, że Hazel traktowała mnie poważnie, i nie wiem, jak jej powiedzieć, że się pomyliła.

Wrażliwa Ania przybrała surowy wyraz twarzy.

- Terry, jesteście dziećmi, bawiącymi się w dorosłych. Hazel nie dba o ciebie więcej niż ty o nią. Księżyc was oboje oszołomił. Ona też pragnie być wolna, lecz nie chcąc ranić twoich uczuć boi się powiedzieć ci o tym. Hazel jest romantyczną dziewczynką, a ty chłopcem, zakochanym w samej miłości. Oboje kiedyś się z tego uśmiejecie.

„Chyba wyjaśniłam tę sprawę w dość przyjemny sposób” - myślała Ania z zadowoleniem. Terry odetchnął głęboko.

- Zdjąłeś mi kamień z serca, Aniu. Oczywiście, że Hazel jest słodkim stworzeniem. Nie chciałem jej skrzywdzić, lecz od kilku tygodni byłem świadom swego błędu. Gdy się spotyka kobietę, prawdziwą kobietę... Chyba jeszcze nie odchodzisz, Aniu? Czy księżyc cię nie cieszy? Wyglądasz jak biała róża w jego blasku, Aniu...

Ale Ania uciekła.

XI

Pewnego czerwcowego wieczoru Ania przerwała sprawdzanie prac egzaminacyjnych, żeby wytrzeć nos. Wycierała go tak często, że zaczerwienił się i zaczął boleć. Ania padła ofiarą bardzo poważnego i równie nieromantycznego zaziębienia. Nie mogła nawet się cieszyć zielonkawym niebem, widocznym za Wieczną Zielenią, blad srebrnym księżycem płynącym nad Królem Burz, cudownym zapachem bzów kwitnących pod jej oknami ani chociażby białymi irysami, które stały w wazonie na stoliku. Zaziębienie zawisło czarną chmurą nad przeszłością Ani i zniechęcało ją do przyszłości.

- Zaziębić się w czerwcu to po prostu nieprzyzwoitość - rzekła do Marcina, medytującego na parapecie okiennym. - Lecz za dwa tygodnie będę na kochanym Zielonym Wzgórzu i skończy się ślęczenie nad pełnymi błędów pracami egzaminacyjnymi oraz wycieranie nosa. Pomyśl o tym, Marcinie.

Wydawało się, że Marcin myślał. Mógł również pomyśleć, że młoda dama, która pospiesznie biegła Aleją Duchów i wpadła do ogrodu Szumiących Topoli, wyglądała na zakłopotaną, rozzłoszczoną i daleką od chęci zachwycania się czerwcowym wieczorem. Była to Hazel Marr, która wczoraj wróciła z Kingsportu. Gdy w parę chwil później, nie czekając odpowiedzi na swoje ostre pukanie, weszła do pokoju na wieży, wydawała się bardzo zaaferowana.

- Hazel, kochanie... A psik! Więc już wróciłaś? Myślałam, że zobaczę cię dopiero w przyszłym tygodniu.

- Wierzę w to - rzekła Hazel ironicznie. - Tak, panno Shirley, jestem z powrotem. I co widzę? Że zrobiła pani wszystko, by zabrać mi Terry'ego i że się to pani udało.

- Hazel! A psik!

- Wiem wszystko! Powiedziała pani Terry'emu, że go nie kocham, że chcę zerwać nasze zaręczyny, nasze uświęcone zaręczyny!

- Hazel, dziecko... A psik!

- O tak, niech pani na mnie kicha. Lecz niech pani temu nie zaprzecza. Zrobiła to pani. Zrobiła to pani z rozmysłem.

- Oczywiście, że tak. Prosiłaś mnie o to.

- Ja panią prosiłam?!

- Tutaj, w tym pokoju Powiedziałas mi, że go nie kochasz i nigdy nie wyjdiesz za niego za mąż.

- Przypuszczam, że byłam w złym nastroju. Nie sądziłam, że pani to potraktuje poważnie. Myślałam, że pani zrozumie moją artystyczną duszę. Jest pani ode mnie starsza, lecz nawet pani nie mogła jeszcze zapomnieć szalonych pomysłów dziewcząt i ich uczuć. Pani, która udawała, że jest moją przyjaciółką! „To chyba zły sen” - myślała biedna Ania, wycierając nos. - Hazel, usiądź, proszę.

- Usiąść! - Hazel dziko biegła po pokoju. - Jak mogę usiąść... Czy ktokolwiek mógłby usiąść, gdyby jego życie, całe życie leżało w ruinach? O, jeśli dorośli tak zazdroszczą młodym szczęścia i pragną je zniszczyć za wszelką cenę, będę się modliła, aby nigdy nie być dorosłą!

Anię opanowała chęć, by wytargać Hazel za uszy. Trwało to moment i z pewnością później sama by nie uwierzyła, że odczuła coś takiego.

- Jeśli nie możesz usiąść i mówić rozsądnie, bądź tak uprzejma i wyjdź. Mam dużo pracy. A... a... a psik!

- Nie wyjdę, dopóki nie powiem, co o pani myślę. O, wiem, że powinnam mieć żal tylko do siebie. Powinnam była wiedzieć. Wiedziałam. Od pierwszej chwili gdy tylko panią zobaczyłam, pomyślałam, że pani jest niebezpieczną osobą. Te czerwone włosy i szare oczy! Lecz nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że posunie się pani tak daleko, aby rozłączyć mnie z Terrym. Sądziłam, że ma pani jakieś chrześcijańskie uczucia. Nigdy nie słyszałam, by ktoś zrobił coś podobnego. Niech się pani cieszy. Złamała mi pani serce.

- Ty gąsko...

- Nie będę z panią rozmawiała. Terry i ja byliśmy tacy szczęśliwi, zanim pani wszystkiego nie zepsuła. Byłam bardzo szczęśliwa. Pierwsza z dziewcząt w klasie miałam narzeczonego. Już nawet zaplanowałam całe wesele. Cztery drużny w niebieskich sukniach z czarnymi, aksamitnymi wstęgami przypiętymi do falban. Tak elegancko! O, doprawdy, nie wiem, czy bardziej pani żałuję, czy nienawidzę. Och, jak pani mogła tak mnie potraktować, wiedząc, jak bardzo panią kochałam, jak pani ufałam i wierzyłam!

Głos Hazel załamał się, w jej oczach zabłyśły łzy i upadła na fotel.

„Chyba nie zostało jej już wiele przygotowanych zawczasu frazesów” - myślała Ania.

- To pewnie zabije biedną mamę - płakała Hazel. - Tak się cieszyła. Wszyscy się cieszyli, wszyscy uważali, że robię świetną partię. Och, czy kiedyś powróci cokolwiek z tego, co było niegdyś?

- Poczekaj do następnej księżycowej nocy i spróbuj - zaproponowała Ania uprzejmie.

- O, niech się pani śmieje, panno Shirley, niech się pani śmieje z mojego cierpienia. Nie mam wątpliwości co do tego, że cała ta historia jest dla pani bardzo zabawna. Pani nie wie, co to znaczy cierpieć.

Ania spojrzała na zegar i wytarła nos.

- Więc przestań cierpieć - rzekła bezlitośnie.

- Będę cierpiała. Moje uczucia są bardzo głębokie. Ktoś płytki by tak nie cierpiał. Chwała niebiosom, że nie jestem płytka. Czy pani ma pojęcie o tym, co to znaczy kochać? Prawdziwie, głęboko, cudownie kochać? Zaufać i zostać oszukaną? Jechałam do Kingsportu taką szczęśliwą! Kochałam cały świat. Prosiłam Terry'ego, żeby był dla pani miły podczas mojej nieobecności. Nie chciałam, żeby pani się czuła osamotniona. Wróciłam wczoraj do domu taka szczęśliwa! A on mi powiedział, że mnie nie kocha, że to była pomyłka. Pomyłka! I że pani mu powiedziała, że ja o niego nie dbam i chcę być wolna!

- Miałam uczciwe zamiary - roześmiała się Ania. Wrodzone poczucie humoru przyszło jej z pomocą. Chciało jej się śmiać zarówno z Hazel, jak i z siebie samej.

- Och, jak zdołałam przeżyć tę noc? - ciągnęła dalej Hazel. - Chodziłam cały czas po pokoju. Nie wie pani, nawet sobie pani nie wyobraża, przez co przesłam. Dzisiaj musiałam siedzieć i słuchać, jak ludzie mówili o uczuciach Terry'ego do pani. O, ludzie panią obserwowali! Wiedzą dobrze, co pani robiła! I dlaczego? Właśnie tego nie mogę zrozumieć. Przecież pani ma narzeczonego, więc czemu nie chce mi pani zostawić Terry'ego? Co pani ma przeciw mnie? W czym wobec pani zawiniłam?

- Uważam - odezwała się Ania, wyprowadzona z równowagi - że i ty, i Terry zasługujecie na dobre lanie. Gdybyś nie była tak wściekła i zechciała mnie wysłuchać...

- Nie jestem wcale wściekła, panno Shirley, tylko dotknięta, głęboko zraniona - rzekła Hazel załamany głosem. - Zdradzono mnie okrutnie, zarówno w miłości, jak i w przyjaźni. Mówi się, że człowiek, którego serce zostało złamane, już nie cierpi. Mam nadzieję, że to prawda, ale obawiam się, że tak nie jest.

- A co z twoimi ambicjami, Hazel? Co będzie z milionerem i miodowym miesiącem w willi nad błękitnym Morzem Śródziemnym?

- Nie wiem, o czym pani mówi, panno Shirley. Wcale nie jestem ambitna. Nie należę do tych okropnych współczesnych kobiet. Moim pragnieniem było zostać szczęśliwą żoną i stworzyć mężowi szczęśliwy dom. Było! Pomyśleć, że to należy do przeszłości! Cóż, nauczyłam się, że nie można nikomu ufać. Była to gorzka lekcja! Hazel wytarła oczy, Ania - nos, a Marcin z miną mizantropa wpatrywał się w gwiazdy.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli już pójdiesz, Hazel. Naprawdę jestem bardzo zajęta, a nie wydaje mi się, żeby przedłużanie tej rozmowy doprowadziło do jakiegoś sensownego rezultatu.

Hazel podeszła do drzwi z miną królowej Marii Stuart, idącej na szafot. Położyła dłoń na klamce, odwróciła się i rzekła:

- Żegnam panią, panno Shirley. Zostawiam panią sam na sam z własnym sumieniem.

Ania, pozostawiona sam na sam z własnym sumieniem, odłożyła pióro, kichnęła trzy razy i wygłosiła do siebie długie kazanie.

- Być może jesteś magistrem, Aniu Shirley, lecz jeszcze musisz się pewnych rzeczy nauczyć. Rzeczy, o których mogłaby ci powiedzieć Rebeka Dew. O których ci mówiła. Bądź szczerą wobec siebie i przyjmij tę nauczkę, jak na damę przystało. Przyznaj, że pochlebstwa Hazel zawróciły ci w głowie. Byłaś dumna z racji podziwu, który ci okazywała. Jej adoracja sprawiała ci przyjemność. Lubiałaś zabawiać się w bóstwo, ratując ludzi od ich własnej głupoty... i wbrew ich własnej woli. Przyznawszy się do tego wszystkiego, z samopoczuciem osoby starszej, mądrzejszej, smutniejszej, weź pióro do ręki i wracaj do prac egzaminacyjnych.

XII

W tydzień później Ania otrzymała list, napisany na bładoniebieskim papierze ze srebrnym szlakiem.

„Droga panno Shirley!

Piszę ten list, aby pani oznajmić, że nieporozumienia między mną i Terryem zostały wyjaśnione. Jesteśmy tak głęboko i cudownie szczęśliwi, że postanowiliśmy pani przebaczyć. Terry powiedział, że udawał zakochanego w pani, i to tylko pod wpływem chwilowego nastroju. Ale jego serce zawsze należało do mnie. Powiedział, że lubi słodkie, proste dziewczęta. Tak jak wszyscy mężczyźni nie cierpi kobiet, które zajmują się intrygowaniem i oszukiwaniem. Nie wiemy, czemu pani się tak wobec nas zachowała i nigdy tego nie zrozumiemy. Może szukała pani pomysłu do opowiadania i dlatego posunęła się pani aż do igrania z pierwszym prawdziwym, dziewczęcym uczuciem. Lecz dzięki pani odkryliśmy się nawzajem. Terry mówi, że dotychczas nie uświadamiał sobie głębokiego sensu życia. A więc wszystko skończyło się dobrze. Jesteśmy tak związani uczuciowo, że znamy swoje myśli. Nikt prócz mnie go nie rozumie. Będę dla niego zawsze źródłem natchnienia. Nie jestem tak inteligentna jak pani, lecz wiem, że potrafię przy nim odegrać dobrze swoją rolę, gdyż jesteśmy bratnimi duszami. Przysięgliśmy sobie wierność i stałość uczuć na wieki, choćby nie wiem ilu zazdrośników i fałszywych przyjaciół chciało nas skłócić.

Pobierzemy się, gdy tylko skompletuję swoją wyprawę. Jadę po nią do Bostonu. W Summerside doprawdy niczego nie ma. Będę miała suknię z białej mory, a kostium podróży z szarego - sukna. Do tego niebieski kapelusz, bluzka i rękawiczki. Jestem bardzo młoda, ale chcę wyjść młodo za mąż, zanim zwiędną najpiękniejsze kwiaty mego życia.

Właśnie Terry jest tym, o kim marzyłam w snach, każde uderzenie mojego serca należy do niego. Wiem, że będziemy niesłychanie szczęśliwi. Kiedyś sądziłam, że moi przyjaciele podzielą ze mną tę radość, lecz udzielono mi gorzkiej lekcji mądrości życiowej.

Hazel Marr

PS 1. Mówiła pani, że Terry jest porywczy. Jego siostra twierdzi, że nie ma łagodniejszego odeń chłopca.

PS 2. Słyszałam, że sok cytrynowy pomaga na piegi. Mogłaby pani go wypróbować na swoim nosie”.

- Jak powiedziałyby Rebeka Dew - rzekła Ania do Marcina - P.S. 2 to już jest szczyt wszystkiego.

XIII

Ania jechała na wakacje z mieszanymi uczuciami. Gilbert nie mógł być w Avonlea tego lata. Pojechał na Zachód, gdzie miał pracować na budowie nowej linii kolejowej. Lecz mimo to Avonlea była Avonlea, a Zielone Wzgórze - Zielonym Wzgórzem. Jezioro Lśniących Wód lśniło jak zawsze. Wokół Zwierciadła Driad rosły gęste paprocie, a stary most, coraz bardziej porośnięty mchem i zmurszały, ciągle prowadził do pełnego cieni, ciszy i pieśni wiatrów Lasu Duchów.

Ania zdołała namówić panią Campbell, żeby puściła Elżbietę do Avonlea na dwa tygodnie - nie więcej. A dziewczynka, szczęśliwa, że spędzi cały ten czas z panną Shirley, nie chciała niczego więcej od życia.

- Czuję się dziś jak panna Elżbieta - powiedziała z westchnieniem rozkosznego podniecenia, gdy powóz ruszył spod Szumiących Topoli. - Czy przedstawi mnie pani swoim przyjaciółom na Zielonym Wzgórzu jako pannę Elżbietę? Sprawি to, że poczuję się jak dorosła.

- Oczywiście - obiecała Ania, wspominając małą, czerwonowłosą panienkę, która swego czasu błagała, żeby ją nazywać Kordelią.

Droga z Jasnej Rzeki na Zielone Wzgórze była tak piękna, jak bywają drogi tylko na Wyspie Księcia Edwarda w czerwcu. Elżbieta oglądała ją z równym zachwytem, jak Ania owego niezapomnianego wiosennego wieczoru przed laty. Po obu stronach widniały piękne doliny, a za każdym zakrętem czaiła się niespodzianka. Elżbieta cieszyła się, że jest z panną Shirley, że na całe dwa tygodnie uwolniła się od Kobiety, że ma na sobie nową różową sukienkę i brązowe pantofelki. To było prawie tak, jakby nadeszło Jutro. Oczy dziewczynki błyszczały, gdy powóz skręcił w prowadzącą na Zielone Wzgórze drogę, przy której rosły krzewy dzikich róż.

Z chwilą przyjazdu na Zielone Wzgórze Elżbiecie wydało się, że wszystko uległo czarodziejskiemu przeobrażeniu. Przez dwa tygodnie żyła w krainie baśni. Nie sposób było przekroczyć progu, żeby nie natknąć się na coś czarodziejskiego. W Avonlea łatwo zdarzały się cudowne przygody, jeśli nie dziś, to Jutro. Elżbieta wiedziała, że Jutro jeszcze nie nadeszło, lecz czuła, że jest już bardzo blisko.

Miała wrażenie, że każdą, nawet najdrobniejszą rzecz na Zielonym Wzgórzu zna od dawna. Nawet ukochany serwis Maryli, zdobny girlandami różyczek, wydawał się jej starym przyjacielem. Pokoje witały ją, jakby je znała i kochała od lat, trawa była bardziej zielona niż

gdziekolwiek, a mieszkańcy Zielonego Wzgórza przybyli chyba wprost z Jutra. Kochali ją, a ona ich. Tadzio i Tola uwielbiali Elżbietę i psuli, Maryla i pani Linde szczerze cieszyły się z jej obecności. Była skromna, ale zachowywała się godnie, a wobec starszych szczególnie grzecznie. Maryla i pani Małgorzata wiedziały, że Ania nie pochwala wychowawczych metod pani Campbell, jednak było oczywiste, że surowa stara dama wychowała swą wnuczkę we właściwy sposób.

- Och, nie chcę spać, panno Shirley - wyszeptała Elżbieta, gdy po wesoło spędzonym dniu znalazły się w łóżkach w pokoiku na facjacie. - Nie chcę przespać ani jednej minuty z tych cudownych dwóch tygodni. Chciałabym przez cały ten czas nie zmrużyć oka.

Przez chwilę rzeczywiście nie spała. Rozkoszowała się wygodnym łóżkiem i nasłuchiwała dalekiego pomruku, który, jak wyjaśniła panna Shirley, był szumem morza. Elżbieta kochała go i kochała świst wiatru wiejącego na wybrzeżu. Zawsze bała się nocy. Nie wiadomo, co nagle wyskoczy z mroku. Lecz teraz po raz pierwszy w życiu noc była jej przyjacielem.

Podczas swego pobytu na Zielonym Wzgórzu co wieczór, gdy Ania już spała, Elżbieta rozmyślała o różnych rzeczach. Dlaczego życie w Wiecznej Zieleni nie mogło być takie jak tu?

W domu Elżbieta musiała zachowywać się cicho jak myszka. Cicho się poruszać, cicho mówić, nawet, zdaniem dziewczynki, cicho myśleć. Czasem miała ochotę wrzasnąć na cały głos - właśnie na przekór tej ciszy.

- Tu możesz hałasować, ile zechcesz - powiedziała Ania.

Lecz, o dziwo, teraz, gdy nikt Elżbiecie nie zabraniał krzyczeć, nie miała na to ochoty. Lubiała spokojnie spacerować, oglądając wszystkie otaczające ją cuda. Podczas pobytu na Zielonym Wzgórzu nauczyła się śmiać.

Do Summerside zabrała piękne wspomnienia. Równie piękne zostawiła po sobie w Avonlea. Wspominano ją przez wiele miesięcy. Choć Ania zgodnie z obietnicą przedstawiła ją jako pannę Elżbietę, dla mieszkańców Zielonego Wzgórza była małą Elżbietką. Osóbkę tak drobną, złocistą i słodką można było tylko tak nazywać.

„Ciekawe, czy kiedykolwiek jeszcze przeżyję równie cudowne dwa tygodnie” - myślała, wyjeżdżając z Zielonego Wzgórza. Droga na stację kolejową była równie piękna jak przed dwoma tygodniami, lecz dziewczynka jej nie widziała, bo przeszkadzały jej łzy.

- Nie uwierzyłabym, że będzie mi tak przykro z powodu wyjazdu jakiegoś dziecka - powiedziała pani Linde.

Na resztę wakacji przyjechała Julianna Brooke ze swoim psem. Zrezygnowała z pracy w szkole w Summerside i zamierzała zapisać się na kurs dla sekretarek na uniwersytecie redmondskim. Ania doradziła jej podjęcie tej decyzji.

- Sądzę, że polubisz taką pracę. Uczyć nie lubisz - powiedziała do Julianny, gdy pewnego wieczoru podziwiała zachód słońca, siedząc w zarośniętym koniczyną zakątku.

- Życie winne mi jest coś więcej, niż dało. Zamierzam to od niego wydostać - rzekła Julianna stanowczo. I dodała ze śmiechem: - Czuję się dużo młodsza niż rok temu o tej porze.

- Jestem pewna, że dokonałaś słusznego wyboru, lecz przykro mi, że nie będzie cię w Summerside. Czym zastąpię nasze wspólnie spędzone godziny dyskusje i zważenia, wieczory pełne radości i beztroski, gdy wszystko obracałyśmy w żart i śmiałyśmy się z niczego?

TRZECI ROK

I

Szumiące Topole

Aleja Duchów

8 września

Najdroższy!

Lato minęło... Lato, podczas którego widziałam Cię tylko raz pod koniec maja. Wróciłam do Szumiących Topoli, aby pracować w Summerside trzeci i ostatni rok. Spędziłam z Julianną wspaniałe wakacje. Jestem pewna, że bardzo odczuję jej brak. Nowa opiekunka młodszej klasy jest wesołą osobką, pulchną, różową i przyjacielską, ale nic ponadto. Ma błyszczące, błękitne bezmyślne oczy. Lubię ją i zapewne będę lubiła - mniej lub bardziej - ale w niej nie ma nic do odkrywania. Ileż skarbów odkryłam w Juliannie, gdy wreszcie zdobyłam jej zaufanie!

W Szumiących Topolach nic się nie zmieniło. Chociaż nieprawda, zmieniło się. Stara, czerwona krowa zdechła, o czym ze smutkiem zawiadomiła mnie w poniedziałek Rebeka Dew, gdy zeszłam na kolację. Wdowy nie chcą kupować nowej, żeby nie mieć kłopotu. Będą zamawiały mleko i śmietankę u pana Cherry. Oznacza to, że Elżbieta nie będzie już przychodziła do furtki ogrodowej po mleko. Lecz wydaje mi się, że pani Campbell pogodziła się z częstymi wizytami wnuczki w Szumiących Topolach, więc nie ma to istotnego znaczenia.

Szykuje się jeszcze jedna zmiana. Ku mojemu smutkowi ciocia Kasia powiedziała mi, że postanowiła oddać Marcina w dobre ręce przy pierwszej okazji. Gdy zaprotestowałam, stwierdziła, że trzeba to zrobić, aby utrzymać spokój w domu. Rebeka Dew przez całe lato ustawicznie żaliła się na Marcina, więc nie ma innego wyjścia. Biedny Marcin, takie z niego miłe, puszyste, mruczące stworzenie!

Jutrzejszy dzień, sobotę, spędzę u pani Raymond, która wyjeżdża na pogrzeb kuzynki do Charlottetown i prosiła mnie, abym zaopiekowała się bliźniętami podczas jej nieobecności. Pani Raymond przybyła do Summerside ubiegłej zimy i jest wdową. Rebeka Dew i ciocie - też wdowy, doprawdy, ile wdów jest w tym mieście! - uważają, że jest „zbyt wielka” jak na małe Summerside. Ale bardzo mi pomagała w pracy związanej z Klubem Dramatycznym. A za dobro należy odpłacić dobrem.

Oleś i Ola mają po siedem lat i wyglądają jak aniołki. Gdy jednak powiedziałam o swym zamiarze Rebecce Dew, wydęła ona usta z powątpiewaniem.

- Kocham dzieci, Rebeko - tłumaczyłam.

- Dzieci owszem, ale te! To jest święta zgroza. Pani Raymond uważa, że dzieci nie należy karać, choćby nie wiem co zrobiły. Powiada, że chce im zapewnić „naturalny sposób” życia. Zdobywają sympatię swoim anielskim wyglądem, lecz słyszałam, co mówią o nich sąsiedzi. Podczas wizyty żony pastora... Cóż, pani Raymond była słodka jak miód. Ale gdy pastorowa wychodziła od niej, dzieci obrzuciły ją cebulami, tak że aż spadł jej kapelusz. „Dzieci zawsze coś przeskrobia, gdy się chce, żeby były szczególnie grzeczne” - oto, co powiedziała na to pani Raymond. Nic więcej. Jakby była dumna z ich popisów. Przyjechała ze Stanów, wie pani - dodała Rebeka, jakby to wyjaśniało całą sprawę. Miała o Janekach tę samą opinię, co pani Linde.

II

W sobotnie popołudnie Ania skierowała się do ładnego staroświeckiego domku, stojącego przy drodze biegnącej do wsi. Tam właśnie mieszkała pani Raymond ze swymi słynnymi bliźniętami.

Ania zastała panią domu gotową do podróży. Jej strój był może trochę za wesoły na pogrzeb; szczególnie radośnie wyglądał kapelusz, ozdobiony kwiatami, kunsztownie przypięty do miękkich, falistych włosów. Niemniej jednak należało przyznać, że jest bardzo piękna. Bliźnięta odziedziczyły jej urodę. Siedziały na schodach, a na ich delikatnych buziach malował się iście anielski wyraz. Miały białoróżową cerę, wielkie niebieskie oczy i bladoczerwiste, puszyste, piękne włosy.

Uśmiechnęły się z ujmującą słodyczą, gdy matka przedstawiła im Anię, oznajmiając, że droga panna Shirley była tak miła i zgodziła się nimi zaopiekować podczas nieobecności mamusi i że na pewno będą grzeczne i nie sprawią drogiej panie Shirley kłopotu. Prawda, kochaneczki? Kochaneczki poważnie skinęły głowami i dokładały wszelkich starań, aby wyglądać bardziej anielsko niż zwykle.

Pani Raymond wzięła Anię pod rękę i razem z nią skierowała się do furtki.

- One są dla mnie wszystkim - rzekła. - Może trochę psuję. Wiem, że ludzie tak mówią... Ludzie zawsze wiedzą najlepiej, jak wychowywać cudze dzieci, nie zauważyła pani? Lecz ja sądzę, że miłość jest lepsza niż bicie. A pani? Jestem pewna, że nie sprawią pani kłopotu. Dzieci zawsze wiedzą, na ile z kim mogą sobie pozwolić, prawda? Ta biedna stara panna Prouty. Kiedyś została z nimi na jeden dzień, ale dzieci jej nie znoszą. Oczywiście trochę jej dokuczały, jak to dzieci. Zrewanżowała mi się, opowiadając o nich po całym mieście niestworzone historie. Lecz jestem pewna, że panią pokochają i będą się zachowywać jak aniołki. Naturalnie są ruchliwe, ale dzieci powinny być ruchliwe, nie uważa pani? Widok dzieci, które siedzą grzecznie jak cielęta, jest żaloszny, prawda? Chcę, żeby moje dzieci były naturalne. Nie sądzi pani, że zbyt grzeczne dzieci nie wydają się naturalne? Niech im pani nie pozwoli puszczać łódek w wannie i brodzić w stawie. Boję się, że się przeziębą. Ich ojciec umarł na zapalenie płuc.

Błękitne oczy pani Raymond wypełniły się łzami, ale zdołała je powstrzymać.

- Niech się pani nie martwi, jeśli zaczną się kłócić. Dzieci często się kłócą, prawda? Ale jeśli ktoś obcy przeciwko nim wystąpi... O, wtedy to co innego! Moje dzieci uwielbiają

się nawzajem. Mogłam była zabrać na pogrzeb jedno, ale nie chciały o tym słyszeć. Nie rozstają się od dnia narodzin. A na pogrzebie nie mogłabym zajmować się dwójką, prawda?

- Może pani być spokojna - rzekła Ania uprzejmie. - Jestem pewna, że Oleś, Ola i ja miło spędzimy ten dzień. Kocham dzieci.

- Wiem o tym. Gdy tylko panią zobaczyłam, wiedziałam, że pani kocha dzieci. Łatwo to odgadnąć. W osobie, która kocha dzieci, jest coś specjalnego. Biedna panna Prouty nienawidzi ich. Zawsze szuka w dzieciach wszystkiego, co najgorsze, i oczywiście to znajduje. Nie wie pani, jak wielką ulgą jest dla mnie myśl, że moje najdroższe skarby zostaną pod opieką kogoś, kto kocha dzieci i rozumie je. Z pewnością ja też przyjemnie spędzę ten dzień.

- Mogłabyś nas zabrać na pogrzeb! - krzyknął Oleś, wychylając głowę przez okno. - Jeszcze nigdy nie mieliśmy takiej zabawy!

- Och, poszły do łazienki! - rzekła pani Raymond z rozpaczą. - Droga panno Shirley, niech pani pójdzie i zabierze je stamtąd. Olesiu, wiesz, że mama nie może zabrać was obojga na pogrzeb. Och, panno Shirley, on owinał sobie wokół szyi skórę kojota, która leżała na podłodze w salonie. Zniszczy ją. Niech mu pani każe ją zdjąć. Muszę już iść, bo spóźnię się na pociąg. Pani Raymond pobiegła, a Ania wróciła do domu. W pokoju na piętrze zobaczyła, jak Ola usiłuje wyrzucić brata przez okno.

- Panno Shirley, niech pani powie Olkowi, żeby mi nie pokazywał języka - zażądała groźnie dziewczynka.

- Czy sprawia ci to przykrość? - spytała Ania z uśmiechem.

- On nie będzie mi pokazywał języka - rzekła Ola, rzucając Kolesiowi złe spojrzenie.

- Mój język należy do mnie i mogę chyba go pokazywać, gdy mam ochotę. Prawda, panno Shirley?

Ania udała, że nie słyszy tego pytania.

- Kochani, mamy godzinę czasu do obiadu. Może pójdziemy do ogrodu i będziemy się bawić i opowiadać sobie bajki? Olesiu, czy mógłbyś położyć na miejsce skórę kojota?

- Aleja chcę się bawić w wilka - rzekł Oleś.

- On chce się bawić w wilka! - wykrzyknęła Ola, przechodząc nagle na stronę brata.

- Chcemy się bawić w wilka! - wrzasnęli oboje.

Dzwonek do drzwi chwilowo uratował Anię od rozwiązania tego problemu.

- Chodźmy zobaczyć, kto to - zawołała Ola. Dzieci pobiegły do schodów i zjechały na poręcz, przez co znalazły się na dole wcześniej niż Ania. Po drodze Oleś zgubił skórę kojota.

- Nie kupujemy od wędrownych handlarzy - oświadczył damie, stojącej w progu.

Dama spytała:

- Czy jest wasza matka?

- Nie. Mama pojechała na pogrzeb ciotki Eli. Z nami została panna Shirley. Właśnie schodzi po schodach. Wyrzuci panią za drzwi!

Gdy Ania zobaczyła przybyłą, rzeczywiście miała ochotę wyrzucić ją; drzwi. Panna Pamela Drake nie była lubiana w Summerside. Zawsze kwestowała na jakiś cel albo roznosiła reklamówki i nie sposób było pozbyć się jej inaczej, jak tylko przyjmując zamówienie lub dając pieniądze. Panna Drake była zupełnie nieczuła na niegrzeczne uwagi pod swoim adresem. Wydawało się też, że zawsze ma nieograniczoną ilość czasu na załatwienie sprawy, z którą przyszła.

Aktualnie „zbierała zamówienia” na encyklopedię, a więc coś absolutnie niezbędnego dla nauczycielki. Na próżno Ania twierdziła, że nie potrzebuje encyklopedii, gdyż w szkole już jest jedna.

- Nieaktualna od dziesięciu lat - grzmiała panna Drake. - Siądźmy na ławce, panno Shirley, pokażę pani prospekty.

- Doprawdy nie mam czasu, panno Drake. Muszę opiekować się dziećmi.

- To potrwa parę minut. Zamierzałam pójść do pani. Uważam za prawdziwy los szczęścia, że zastałam panią tutaj. Dzieci, pobawcie się same, bo mamy z panną Shirley do obejrzenia przepiękne prospekty.

- Ale mama zgodziła pannę Shirley do opieki nad nami! - powiedziała Ola, z oburzeniem potrząsając złocistymi lokami. Lecz Oleś pociągnął ją za rękę i dzieci wybiegły, trzasnąwszy drzwiami.

- Widzi pani, panno Shirley, jaka to encyklopedia. Niech pani spojrzy na papier... niech go pani dotknie. Wspaniałe sztychy - żadna inna encyklopedia nie ma połowy takich sztychów - cudowny druk, nawet ślepiec mógłby ją czytać... i to wszystko za osiemdziesiąt dolarów; osiem dolarów płaci się od razu, potem osiem co miesiąc, aż do spłacenia całej sumy. Nigdy nie nadarzy się pani taka szansa. Robimy to tylko dla reklamy. Za rok będzie kosztowała sto dwadzieścia dolarów.

- Ale ja nie chcę kupić tej encyklopedii - rzekła Ania z rozpaczą.

- Na pewno pani chce. Każdy chce mieć encyklopedię... encyklopedię narodową. Nie wiem, jak mogłam żyć, póki nie zapoznałam się z nią. Żyć! To nie było życie! Proszę

spojrzeć na ten sztych wyobrażający kazuara^{*}. Czy widziała pani przedtem kazuara, panno Shirley?

- Ale, panno Drake, ja...

- Jeśli warunki są dla pani zbyt wygórowane, mogę je zmienić. Wyłącznie dla pani będzie to sześć dolarów miesięcznie, a nie osiem. Doprawdy, nie może pani odrzucić takiej propozycji, panno Shirley.

Ania niemal czuła, że nie może. Czy nie warto płacić sześć dolarów co miesiąc, żeby pozbyć się tej okropnej baby, która z pewnością nie da za wygraną, dopóki nie uzyska zamówienia? Poza tym, co robią dzieci? Zachowywały się niepokojąco spokojnie. Pewnie puściły łódki w wannie albo wymknęły się kuchennymi drzwiami i brodzą w stawie.

Ania jeszcze raz spróbowała się wymigać.

- Pomyślę o tym, panno Drake, i dam pani znać...

- Najlepiej załatwić to od razu - rzekła panna Pamela, szybko wyjmując pióro wieczne.

- Przecież pani wie, że pani kupi encyklopedię, więc może pani zapisać się na nią równie dobrze teraz, jak potem. Odkładanie niczego nie załatwia. Cena może się podnieść i wtedy będzie pani musiała zapłacić sto dwadzieścia dolarów. Proszę podpisać tutaj, panno Shirley...

Ania poczuła, że wciśnięto jej do ręki wieczne pióro. W tej samej chwili panna Drake wydała mrozący krew w żyłach krzyk. Ania upuściła pióro w kępę złocistych kwiatów, rosnących pod ławką, i z przerażeniem spojrzała na swoją rozmówczynię.

Czy ta łysa, pozbawiona włosów, okularów i kapelusza osoba to była panna Drake? Peruka, kapelusz i okulary wisiały nad jej głową i ulatywały ku oknu na pierwszym piętrze, w którym było widać złote główki bliźniąt. Oleś trzymał w ręku wędkę. Tylko on mógłby powiedzieć, jakim cudem uchwycił haczykiem przybranie głowy panny Drake. Zapewne był to czysty przypadek.

Ania pędem wbiegła do domu. Gdy wpadła do pokoju na piętrze, dzieci już tam nie było. Oleś wypuścił wędkę ze zdobyczą. Rzut okiem z okna pozwolił Ani ujrzeć, jak panna Drake zabiera swoją własność - łącznie z wiecznym piórem - i maszeruje do furtki. Po raz pierwszy w życiu panna Pamela Drake nie zdołała uzyskać zamówienia.

Ania odnalazła bliźnięta w ogrodzie na tyłach domu. Z anielskimi minami zajadały jabłka. Co powinna zrobić w tej sytuacji? Na pewno należało je skarcić.. Ale Oleś uratował ją od kupna encyklopedii, a panna Drake była okropną kobietą, której przydała się ta nauczka. Niemniej jednak...

^{*} Kazuar - ptak nielotny, żyjący w Australii i Nowej Gwinei.

- Zjadłś wielkiego robaka! - krzyknął Oleś. - Widziałem, jak zniknął w twoich ustach!

Ola odłożyła jabłko i zaczęła wymiotować. Przez pewien czas Ania miała pełne ręce roboty. Gdy Ola poczuła się lepiej, nadeszła pora obiadu. Ania postanowiła, że uczyni Olesiu tylko małą wymówkę za jego zachowanie wobec panny Drake. Ostatecznie kwestarce nie stało się złego, a tej historii nie rozgłosi ze względu na samą siebie.

- Czy sądzisz, Olesiu, że zachowałeś się jak na dżentelmena przystało? - spytała Ania łagodnie.

- Nie - odrzekł chłopiec - Ale to była niezła zabawa. Dobry ze mnie wędkarz, co?

Obiad był przepyszny. Pani Raymond przygotowała go przed wyjazdem i należało przyznać, że jeśli nawet nie miała zbyt wielkiego pojęcia o j wychowywaniu dzieci, to na pewno świetnie gotowała. Oleś i Ola, zajęci jedzeniem, nie mieli czasu, żeby przy stole zachowywać się gorzej niż; przeciętne dzieci. Po obiedzie Ania pozmywała, Ola pomogła jej wytrzeć naczynia, a Oleś schował je do kredensu. Oboje byli bardzo mili przy pracy. Ania z zadowoleniem pomyślała, że po prostu należy traktować ich stanowczo i w łagodny sposób wymagać posłuszeństwa.

III

O godzinie drugiej zadzwonił telefon. Dzwonił pan Jakub Grand. Był on członkiem zarządu szkoły i chciał omówić z Anią pewne ważne sprawy, zanim w poniedziałek wyjedzie na konferencję do Kingsportu. Ania spytała, czy mógłby przyjść wieczorem do Szumiących Topoli. Niestety nie mógł.

Pan Grand był dobrym człowiekiem, ale Ania dawno doszła do wniosku, że należy postępować z nim bardzo przemyślnie. A teraz zależało jej, żeby ją poparł w walce o nowe wyposażenie szkoły. Zwróciła się więc do bliźniąt.

- Kochani, czy będziecie się grzecznie bawić w ogrodzie podczas mojej rozmowy z panem Grandem? To nie potrwa długo. Potem urządzimy sobie piknik nad stawem i pokażę wam, jak się puszcza bańki mydlane z czerwoną kulką w środku. Są naprawdę prześliczne!

- Czy pani da nam piętnaście centów, jeśli będziemy grzeczni? - spytał Oleś.

- Nie, kochanie - rzekła Ania stanowczo. - Nie mam zamiaru was przekupywać. Wiem, że będziecie grzeczni, ponieważ was o to proszę.

- Będziemy grzeczni, panno Shirley - obiecał Oleś solennie.

- Niesamowicie grzeczni - zawtórowała równie solennie Ola. Możliwe, że dotrzymaliby przyrzeczenia, gdyby nie to, że kiedy Ania zamknęła się z panem Grandem w salonie, nadeszła Ewa Trent. Lecz niestety Ewa przyszła, a bliźnięta jej nienawidziły za to, że zawsze postępuje bez zarzutu i nigdy nie robi nic niewłaściwego, i zawsze wygląda tak, jakby dopiero co wyszła z pudełka z zabawkami.

Nie ulegało wątpliwości, że tym razem powodem wizyty Ewy była chęć pochwalenia się nowymi, pięknymi brązowymi pantofelkami, przypiętą do ramion szarfą i szkarłatną wstążką we włosach. Pani Raymond, aczkolwiek pod pewnymi względami postępowała niewłaściwie, miała bardzo rozsądne poglądy na sprawę ubierania dzieci. Jej bogobojni sąsiedzi twierdzili, że tyle wydaje na siebie, iż na dzieci nie starcza jej pieniędzy. A więc Ola nie miała żadnej szansy, by paradować po ulicy jak Ewa Trent, która każdego dnia ubierała się w inną sukienkę. Pani Trent chętnie stroiła córkę w „śnieżną biel”. Przynajmniej takie były sukienki dziewczynki, gdy mała wychodziła z domu. Jeśli owa biel nie utrzymywała się zbyt długo, winę za to ponosiły zazdrosne dzieci z sąsiedztwa.

Ola była zazdrosna. Marzyła o czerwonej szarfi, białych wyszywanych sukienkach i wstążkach. Oddałaby wszystko za takie przepiękne, zapinane na guziczki pantofelki.

- Jak się wam podoba moja nowa szarfa i wstążki? - spytała Ewa.

- Jak się wam podoba moja nowa szarfa i wstążki? - powtórzyła, przedrzeźniając ją, Ola.

- Ależ ty nie masz wstążek u ramion - rzekła Ewa wyniośle.

- Ależ ty nie masz wstążek u ramion - zapiszczała Ola.

Ewa spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Ależ mam. Nie widzisz?

- Ależ mam. Nie widzisz? - powtórzyła Ola, zachwycona pomysłem powtarzania przez cały czas tego, co swoim pogardliwym tonem mówiła Ewa.

- Nie zapłacono za nie - rzekł Oleś.

Ewa Trent była dość porywcza. Jej twarz nabrała koloru wstążek.

- Zapłacono. Moja mama zawsze płaci za to, co kupuje.

- Moja mama zawsze płaci za to, co kupuje - zaśpiewała Ola.

Ewa poczuła się niepewnie. Nie wiedziała, co począć. Zwróciła się do Olesia, który bezsprzecznie był najładniejszym chłopcem mieszkającym na tej ulicy. Ewa miała co do niego pewne plany.

- Przyszedłam powiedzieć, że chcę, żebyś został moim wielbicielem - rzekła, patrząc na niego zalotnie brązowymi oczami, których moc - pomimo młodego wieku, bo miała zaledwie siedem lat - wypróbowała na wszystkich małych chłopcach z sąsiedztwa.

Oleś poczerwieniał.

- Nie będę twoim wielbicielem - powiedział.

- Ależ musisz - zdenerwowała się Ewa.

- Ależ musisz - powtórzyła Ola, kiwając bratu głową.

- Nie będę! - wrzasnął Oleś. - I nie mów do mnie więcej, Ewo Trent!

- Będziesz - powtórzyła Ewa uparcie.

- Będziesz - odezwała się jak echo Ola.

Ewa spojrzała na nią.

- Zamknij buzię, Olu Raymond!

- Chyba mogę mówić na moim własnym podwórzu - odparła Ola.

- Pewnie - poparł ją brat. - A jeżeli ty nie zamkniesz buzi, Ewo Trent, pójde i wydrapię oczy twojej lalce.

- Moja mama cię zbije, jeśli to zrobisz! - wykrzyknęła Ewa.

- Doprawdy? A czy wiesz, co jej robi moja mama? Chwyci ją za nos!

- W każdym razie będziesz moim wielbicielem - powiedziała Ewa, spokojnie wracając do poprzedniego tematu.

- Ja... wsadzę cię głową do beczki z deszczówką! - krzyknął rozzłoszczony Oleś. - Natrę ci twarz kurzem łajnem! Porwę ci szarfę i wstążki! - dodał triumfalnie, bo to było najłatwiejsze do wykonania.

- Zróbmy to! - wykrzyknęła Ola radośnie.

Rzucili się na biedną Ewę jak furie. Mała usiłowała gryźć i kopać, ale nie zdołała poradzić sobie z dwójgiem wrogów. Bliźnięta zaciągnęły ją do szopy na opał, bo stamtąd nie można było usłyszeć jej krzyku.

- Szybko! - rzuciła Ola. - Dopóki panna Shirley jest zajęta!

Nie było czasu do stracenia. Oleś trzymał Ewę za nogi, a Ola jedną dłonią ścisnęła jej rękę, zaś drugą wyszarpywała wstążki z włosów i darła szarfę.

- Pomalujemy jej nogi - krzyknął Oleś, dostrzegając pozostawione przez malarzy puszki z farbą. - Będę ją trzymał, a ty maluj!

Na próżno Ewa krzyczała rozpaczliwie. Ola ściągnęła jej pończochy i ozdobiła nogi szerokimi pasami czerwonej i zielonej farby. Przy okazji liczne plamy pokryły piękną, białą sukienkę i pantofelki. Na zakończenie bliźnięta nasypały Ewie trocin we włosy.

Gdy wreszcie ją wypuściły, budziła litość swoim wyglądem. Oleś i Ola wydali okrzyk zadowolenia. Odpłacili nieznośnej Ewie za jej pańskie maniery i wyniosłe miny.

- Teraz idź do domu - powiedział Oleś. - To cię oduczy łażenia po mieście i oznajmiania ludziom, że mają być twoimi wielbicielami.

- Powiem mamie - płakała Ewa. - Pójdę do domu i powiem wszystko mamie, ty.... ty wstrętny, wstrętny, brzydki chłopaku!

- Nie mów, że mój brat jest brzydki, ty stuknięta dziewucho! - krzyknęła Ola. - Ty i te twoje wstążki! Weź je sobie! Wcale nie chcemy, żeby się walały po naszej szopie!

Ewa płacząc wybiegła na ulicę, a Ola cisnęła za nią strzępy wstążek.

- Szybko, lećmy do łazienki i umyjmy się, zanim panna Shirley nas zobaczy - zawołała.

IV

Pan Grand omówił swoje sprawy i z ukłonem opuścił dom. Ania przez chwilę stała nieruchomo, zastanawiając się, gdzie też są jej pociechy. Nagle w furtce pojawiła się rozwścieczona dama, prowadząca za rękę obdarte, płaczące stworzenie.

- Panno Shirley, czy jest pani Raymond? - spytała pani Trent.

- Pani Raymond...

- Muszę bezzwłocznie się z nią zobaczyć. Niech ujrzy na własne oczy, co jej dzieci zrobiły z moją biedną, bezbronną, niewinną Ewunią! Proszę spojrzeć, panno Shirley! Proszę tylko spojrzeć!

- Och, pani Trent. Jakże mi przykro! To moja wina. Pani Raymond nie ma, a ja obiecałam ich pilnować, ale przyszedł pan Grand i...

- To nie jest pani wina, panno Shirley. Nie mam do pani pretensji. Nikt by sobie nie dał rady z tymi diabelskimi dziećmi. Cała ulica je zna. Jeśli pani Raymond nie ma, nie zostanę tu dłużej. Zabiorę moje biedne dziecko do domu. Lecz pani Raymond dowie się o tym. Dowie się z pewnością. Co to jest, panno Shirley? Czy oni rozdzierają się na strzępy?

„To” było istnym chórem wrzasków, jęków i łkań, który dobiegał z piętra. Ania pędem wbiegła na górę. Na podłodze kłębiła się gryząca, krzycząca i kopiąca masa. Ania z trudem rozdzieliła rozwścieczone bliźnięta i trzymając je mocno za ramiona, zażądała wyjaśnienia przyczyn tej awantury.

- Ona mówi, że muszę zostać wielbicielem Ewy Trent! - warknął Oleś.

- Bo musi! - wrzasnęła Ola.

- Nie!

- Tak!

- Dzieci! - powiedziała Ania. W jej głosie było coś, co ich zdziwiło. Spojrzeli na nią i zobaczyli pannę Shirley, jakiej nie znali dotychczas. Po raz pierwszy w życiu odczuli siłę czyjegoś autorytetu.

- Ty, Olu - mówiła Ania spokojnie - pójdziesz na dwie godziny do łóżka. Ty, Olesiu, spędzisz ten czas zamknięty w pokoju. Ani słowa. Zachowaliście się obrzydliwie i zostaniecie ukarani. Wasza matka zostawiła was pod moją opieką. Macie mnie słuchać.

- Więc niech nas pani ukarze razem! - powiedziała Ola z płaczem.

- Tak. Nie ma pani prawa nas rozdzielać. Nigdy nas nie rozłączano - wymamrotał Oleś.

- A więc zdarzy się to teraz - Ania ciągle była bardzo spokojna.

Ola potulnie zdjęła sukienkę i zawinęła się w koc w swojej sypialni. Oleś udał się do wskazanego przez Anię, jasnego, przestronnego pokoju. Trudno byłoby powiedzieć, że został ukarany zbyt surowo. Ania zamknęła drzwi i usiadła w hallu, przy oknie, z książką w ręku. No, przynajmniej przez te dwie godziny będzie miała trochę spokoju.

Gdy po paru minutach zajrzała do Oli, dziewczynka spała i wyglądała tak słodko, że Ania niemal pożałowała swej surowości. Na pocieszenie pomyślała, że dziecku przyda się drzemka, a jeśli mała obudzi się przed upływem dwóch godzin, pozwoli jej wstać.

Minęła godzina. Ola jeszcze spała. Oleś zachowywał się tak spokojnie, że Ania zdecydowała, iż w nagrodę za zniesienie kary z męską odwagą można mu wybaczyć. W końcu Ewa Trent była próżnym stworzeniem i na pewno miała irytujący sposób bycia.

Ania otworzyła drzwi...

Olesia nie było w pokoju. Pod otwartym oknem widniał dach werandy.; Ania zacisnęła usta. Zeszła na dół do ogrodu. Olesia ani śladu. Zajrzała do szopy na drzewo i wyszła na ulicę, żeby zobaczyć, czy chłopiec nie wybrał się na przechadzkę. Ale nie było go widać. Pobiegła przez ogród do ścieżki, wiodącej przez laszek nad staw, który znajdował się na polach pana Greedmore'a.

Oleś z zadowoloną miną pływał starą łodzią pana Greedmore'a, odpychając się od dna drągiem. W chwili gdy Ania wybiegła z lasku, drąg, wepchnięty zbyt głęboko w muł, wyleciał chłopcu z rąk i malec, straciwszy równowagę, wleciał do wody.

Ania wydała okrzyk przerażenia, ale nie było powodu do alarmu. Woda w najgłębszym miejscu sięgała Olesiu do ramion, a tam gdzie się przewrócił, zaledwie do pasa. Chłopiec zdołał stanąć na nogi. Z włosami przylepionymi do głowy wyglądał dość głupio. - Okrzykowi Ani zawtórował jeszcze jeden krzyk. Przez krzaki przedarła się ubrana w piżamę Ola. Rzuciła się ku pomostowi, do którego zazwyczaj była przywiązana łódź, i wołając „Olesiu” wskoczyła do wody. Wylądowała obok brata z takim rozmachem, że niemal go przewróciła.

- Olesiu, czyś się utopił? - krzyczała. - Czyś się utopił, kochany?

- Nie... nie, kochana siostrzyczko - zapewnił ją Oleś, szczękając zębami.

Bliźnięta chwyciły się w objęcia i serdecznie uściślały.

- Dzieci, chodźcie tu natychmiast - krzyknęła Ania. Rodzeństwo ruszyło do brzegu. Po ciepłym wrześnieowym dniu nadszedł chłodny i wietrzny wieczór. Dzieci trzęsły się z zimna, a ich buzie posiniały. Ania bez słowa wymówki pobiegła z nimi do domu, rozebrała z mokrych

ubrań i położyła do łóżka pani Raymond, zaopatrując każde w butelkę z gorącą wodą do ogrzania stóp. Dzieci ciągle drżały. Czy się zaziębią? A może dostaną zapalenia płuc?

- Powinna była pani lepiej się nami opiekować, panno Shirley - powiedział Oleś, szczękając zębami.

- No pewnie - poparła go siostra.

Zrozpaczona Ania zbiegła na dół i zatelefonowała po lekarza. Tymczasem dzieci trochę się rozgrzały i doktor zapewnił ją, że nic im nie będzie, jeśli tylko do jutra zostaną w łóżkach.

Wracając po wizycie do domu doktor spotkał panią Raymond, idącą ze stacji. Zawiadomiona o przygodzie, biała i przerażona wpadła do domu.

- Och, panno Shirley, jak mogła pani pozwolić, żeby moje skarby znalazły się w takim niebezpieczeństwie!

- To samo jej powiedzieliśmy, mam - odezwał się zgodny duet.

- Ufałam pani... Mówiłam...

- Doprawdy nie wiem, czy to moja wina - odrzekła Ania, której oczy lśniły lodowato. - Uświadomi to sobie pani, gdy się pani uspokoi. Dzieciom nic nie jest. Wezwałam na wszelki wypadek lekarza. To wszystko by się nie stało, gdyby Oleś i Ola byli mi posłuszni.

- Myślałam, że nauczycielka będzie umiała wywrzeć na nie jakiś wpływ - rzekła pani Raymond.

„Na zwykłe dzieci pewnie tak, ale nie na te diablęta” - pomyślała Ania.

Powiedziała zaś:

- Ponieważ pani wróciła, mogę już chyba iść do domu. Nie wydaje mi się, żebym się tu na coś przydała, a mam dużo pracy. Bliźnięta nagle wyskoczyły z łóżka i rzuciły się jej na szyję.

- Mam nadzieję, że co tydzień będzie jakiś pogrzeb - zawołał Oleś. - Lubię panią, panno Shirley, i chciałbym, żeby pani zawsze zostawała z nami, gdy mama dokądś wyjedzie.

- I ja też - pisnęła Ola.

- Lubię panią dużo więcej niż pannę Prouty.

- Dużo więcej - potwierdziła Ola.

- Czy napisze pani o nas opowiadanie? - spytał Oleś.

- Och, niech pani napisze! - prosiła Ola.

- Jestem pewna, że chciała pani jak najlepiej - odezwała się pani Raymond drżącym głosem.

- Dziękuję - odparła lodowato Ania, próbując uwolnić się z ramion dzieci.

- Och, niech się pani nie gniewa - prosiła pani Raymond.

- Nie gniewam się - Ania umiała być stanowcza i uparta. - Nie sądzę, żeby było o co się gniewać. Oleś i Ola miło spędzili dzień, czego pewnie nie można powiedzieć o małej Ewie Trent.

Ania wróciła do domu. Czuła się starsza o tysiąc lat. „I pomyśleć, że uważałam, że Tadzio jest trudny” - myślała. W ogrodzie zastała Rebekę Dew, która zrywała bratki.

- Rebeko, zawsze uważałam, że powiedzenie: „Dzieci powinno się widzieć, lecz nie powinno słyszeć”, jest przesadą. Teraz widzę, że się myliłam.

- Biedactwo! Zaraz podam pani pyszną kolację - rzekła Rebeka Dew. I nie powiedziała: „A nie mówiłam?”

V

(Wyjątek z listu do Gilberta)

Wczoraj wieczorem przyszła pani Raymond i ze łzami w oczach błagała, żebym wybaczyła jej okropne zachowanie.

- Gdyby pani wiedziała, co znaczy serce matki, panno Shirley, łatwo by mi pani wybaczyła - powiedziała.

Oczywiście przebaczyłam jej. W pani Raymond jest „coś”. Nie mogę jej nie lubić. Poza tym naprawdę była kochana, gdy pomagała mi w Klubie Dramatycznym. Ale mimo to nie powiedziałam: „Gdy tylko zechce pani wyjechać, chętnie zostanę z pani dziećmi”. Człowiek uczy się na własnych błędach, nawet jeśli jest tak ufnie i optymistycznie nastawiony do życia jak ja.

Pewna część mieszkańców Summerside jest obecnie bardzo przejęta historią miłości Jurka Morrow i Doroty Westcott. Jak powiada Rebeka Dew, ta para jest zaręczona od ponad roku... i nic. Ciocia Kasia, daleka krewna Doroty - bardzo interesuje się tą sprawą. Uważa, że Jurek to świetna partia, a poza tym, jak podejrzewam, nie cierpi Franka Westcotta i chętnie by go ujrzała przejechanego bryczką, końmi, zdeptanego i tak dalej. Ciocia Kasia oczywiście nie przyznałaby się, że nienawidzi kogokolwiek, ale żona Franka była jej ukochaną przyjaciółką za dziewczęcych lat. A ciocia Kasia uroczyście zaręcza, że Frank ją zamordował.

Sama też interesuję się młodymi, bo bardzo lubię Jurka... i dosyć Dorotę. Ponadto podejrzewam, że drżenie we mnie zamiłowanie do wtrącania się w nie swoje sprawy, oczywiście z jak najlepszymi intencjami.

W skrócie sytuacja wygląda następująco. Frank Westcott jest wysokim, ponurym, ciężko pracującym kupcem. Uchodzi za zamkniętego w sobie i nietowarzyskiego. Mieszka w dużym, staroświeckim domu zwanym Elmcroft, przy drodze poza miastem. Spotkałam go pewnie ze dwa razy, lecz wiem o nim niewiele, poza tym, że każde zdanie, jakie wypowie, kończy wybuchem dziwnego, bezdźwięcznego śmiechu. Przez całą zimę, nawet podczas burzy, otwiera okna w domu. Mnie to ostatnie nie wydaje się aż tak bardzo dziwne, ale jestem jedyną osobą w Summerside, która nie bierze mu tego za złe. Ponadto przywykł, że należy do grona najbardziej poważanych obywateli i nic w mieście nie może się zdarzyć bez jego uczestnictwa.

Jego żona nie żyje. Powiadają, że była biedną niewolnicą, niezdolną nawet przyznać się do posiadania własnej duszy. Podobno gdy przekroczyła próg domu jako żona Franklina, małżonek oświadczył jej, że ma go we wszystkim słuchać.

Dorotka (prawdziwe jej imię brzmi Sybilla) to jego jedyne dziecko, ładna, pulchna, mała dziewczyna. Ma dziewiętnaście lat, nieco rozchylone, czerwone usta, w których połyskują białe ząbki, lśniącasz kasztanowate włosy, niebieskie oczy i rzęsy tak długie, że zawsze się zastanawiam, czy na pewno są prawdziwe. Janka Pringle twierdzi, że Jurek kocha się tylko w tych oczach. Kilka razy rozmawialiśmy na ten temat, bo Jurek to ulubiony kuzyn Janki.

Frank Westcott nigdy nie pozwalał Dorotce na wielbicieli. Gdy Jurek zaczął na nią zwracać uwagę, Frank zabronił mu przychodzić. Córcie powiedział, że nie wolno jej „biegać z tym chłopakiem”. Lecz nieszczęście już się stało. Dorotka i Jurek pokochali się całym sercem.

Sympatia miasta jest po ich stronie. Frank nie ma racji. Jurek jest młodym, zdolnym prawnikiem, ma dobre widoki na przyszłość i wiele osobistych zalet.

- Trudno by znaleźć bardziej odpowiednią partię - oświadczyła Rebeka Dew. - Jurek Morrow mógłby się ożenić z każdą dziewczyną w Summerside. Frank po prostu się uparł, że Dorota zostanie starą panną i po śmierci ciotki Maggie będzie mu prowadziła gospodarstwo.

- Czy nikt nie ma na niego wpływu? - spytałam.

- Nikt nie potrafi z nim rozmawiać. Jest zbyt ironiczny. A jeśli nie ironizuje, to ma zły humor. Nigdy go nie widziałam w pasji, ale słyszałam, jak panna Prouty opowiadała, co wyczyniał, gdy u nich szyla. Wściekał się z jakiegoś nikomu nie znanego powodu. Łapał wszystko, co było pod ręką, i wyrzucał za okno. Poematy Milтона przeleciały przez płot i wylądowały w stawie Jerzego Clarka. Frank ciągle ma pretensje do świata. Panna Prouty twierdzi, że jej matka opowiadała, jakoby wrzaski, jakie wydawał po urodzeniu, przechodziły wszystko, co słyszała w życiu. Prawdopodobnie Pan Bóg wie, dlaczego są tacy ludzie, aleja tego nigdy nie zrozumieć. - Nie widzę, żeby Dorotka i Jurek mieli jakieś szansę, chyba że uciekną. Byłoby to trochę poniżające, chociaż opowiada się tyle romantycznych bzdur o ucieczkach, lecz w tym wypadku wszyscy to rozumieją.

Nie wiem, co zrobić, ale na pewno coś wymyślę. Nie wysiedzę spokojnie, gdy pod moim nosem ludzie niepotrzebnie komplikują sobie życie. Złe humory Franka Westcotta niewiele mnie wzruszają. Jurek nie będzie czekał wieki, zdaje się, że już traci cierpliwość, bo podobno wymazał imię Doroty z pnia drzewa, na którym je wyrzył. Mówi się też, że jego

siostra powiedziała, jakoby jego matka uważa, że jej syn nie ma potrzeby trzymać się jednego dziewczęcego fartuszka przez całe wieki.

Naprawdę, Gilbercie, czuję się całkowicie nieszczęśliwa przez tę historię.

Jest księżycowa noc, kochany... Światło księżycy pada na topole, posypuje srebrem przystań, z której wypływa na morze czarodziejski, statek. Promienie rozjaśniają stary cmentarz i moją dolinkę... kłaniają się i Królowi Burz. Pewnie księżyc świeci też nad Aleją Zakochanych, nad Jeziorem Lśniących Wód, Lasem Duchów i Doliną Fiołków. Lecz, Gilbercie, księżyc jest po prostu zwyczajną lampą, gdy nie ma z kim cieszyć się jego urokiem.

Chciałabym pójść na spacer z małą Elżbietą. Bardzo lubi spacerować przy księżycu. W Avonlea często wychodziłyśmy wieczorem na przechadzkę. Tutaj Elżbieta widuje księżyc tylko przez okno.

Zaczynam się o nią niepokoić. Niedługo skończy dziesięć lat, a starsze panie nie mają pojęcia, że należałoby zadbać o jej rozwój duchowy. Nie wyobrażają sobie nawet, że trzeba jej czegoś więcej niż jedzenie i stroje. Z każdym rokiem będzie gorzej. Jak upłyną dziewczęce lata temu biednemu dziecku?

VI

Jurek Morrow odprowadzał Anię do domu po zebraniu szkolnym. Po drodze mówił jej o swoich kłopotach.

- Musisz z nią uciec, Jurku. Wszyscy tak mówią. Z zasady nie pochwalam ucieczek. („Powiedziałam to jak typowa nauczycielka z czterdziestoletnim doświadczeniem pedagogicznym” - pomyślała Ania.) Lecz od wszystkich zasad są wyjątki.

- Ale to wymaga zgody nas obojga, Aniu. Przecież sam nie ucieknę. Dorota tak się boi ojca, że nie zdołam jej namówić na ucieczkę. A to nawet nie byłaby prawdziwa ucieczka. Po prostu przyszlaby któregoś wieczoru do mojej siostry Julii. Wiesz, do pani Stevens. Tam by już czekał pastor i pobralibyśmy się w warunkach wystarczających, żeby wszystkich zadowolić. Potem pojechalibyśmy do ciotki Berty do Kingsportu na miodowy miesiąc. Prawda, że to proste? Ale nie przekonam Doroty. To biedactwo od tak dawna ulega ojcu we wszystkim, że nie ma już wcale własnej woli.

- Nie pozostało ci nic innego, jak zmusić ją do tego, Jurku.

- Dobre bogi, Aniu, chyba nie sądzisz, że nie próbowałem. Błagałem ją na klęczkach. Gdy jest ze mną, prawie się zgadza, ale skoro tylko wróci do domu, przysyła mi list, że nie potrafi tego zrobić. Może to wydawać się dziwne, Aniu, ale ona jest bardzo przywiązana do ojca. Nie umie znieść myśli, że on jej nie wybaczy.

- Musisz jej powiedzieć, że ma dokonać wyboru między nim a tobą.

- A jeśli wybierze jego?

- Nie myślę, że istnieje takie niebezpieczeństwo.

- Nigdy nie wiadomo - rzekł Jurek ponuro. - Ale wkrótce trzeba będzie na coś się zdecydować. Nie mogę tak żyć przez całe lata. Jestem szaleńczo zakochany w Dorocie, całe Summerside o tym wie. Ona jest jak róża, po którą nie można sięgnąć. Ale ja sięgnę po nią, Aniu.

- Poezja jest doskonałą rzeczą w pewnych sytuacjach, ale w tym wypadku na nic ci się nie przyda - powiedziała Ania chłodno. - Brzmi to jak uwaga Rebeki Dew, ale jest prawdą. W twojej sytuacji może cię uratować tylko zwykły chłopski rozum. Powiedz Dorocie, że masz dość tego zawieszenia w powietrzu i prosisz ją, żeby się zdecydowała, czy wyjdzie za ciebie, czy nie. Jeśli nie kocha cię na tyle, żeby dla ciebie zostawić ojca, to lepiej, że się o tym wreszcie dowiesz.

Jurek westchnął ciężko.

- Nie byłaś w łapach Franklina Westcotta przez całe życie, Aniu. Nie masz pojęcia, co to za człowiek. Cóż, spróbuję jeszcze raz. Jak mówisz, Dorota się zgodzi, jeśli ją coś obchodzi... A jeśli nie dba o mnie, przynajmniej dowiem się najgorszego. Zaczynam myśleć, że tym cierpliwym czekaniem na jej decyzję ośmieszyłem się po prostu.

„Jeśli zaczynasz tak myśleć - pomyślała Ania - to niech Dorotka ma się na baczności”.

W parę dni później Dorota przybiegła na naradę do Szumiących Topoli.

- Co mam zrobić, Aniu? Co powinnam zrobić? Jurek chce, żebym z nim uciekła. Przynajmniej będzie to wyglądało jak ucieczka. W przyszłym tygodniu ojciec pojedzie na jeden wieczór do Charlottetown na jakieś masońskie przyjęcie. A więc to będzie odpowiednia okazja. Ciotka Maggie niczego się nie domysli. Jurek chce, żebym przyszła do pani Stevens, i u niej się pobierzemy

- A ty nie chcesz? Dlaczego?

- Och, Aniu, czy naprawdę uważasz, że powinnam? - Dorotka uniosła ku niej słodką buzię. - Proszę cię, zdecyduj za mnie. Jestem roztrzęsiona, nie wiem, co robić. - W jej głosie zabrzmiały - łzy. - Och, Aniu, nie znasz ojca. On nienawidzi Jurka. Nie mam pojęcia dlaczego. Jak można w ogóle nienawidzić Jurka? Gdy do mnie przyszedł pierwszy raz, ojciec zabronił mu wstępu do naszego domu. Powiedział, że jeśli zobaczy go w pobliżu, poszczuje na niego psa... tego wielkiego buldoga. Wiesz, że te psy nigdy nie puszczają kogoś, kogo złapały. A ojciec mi nie wybaczy, jeśli ucieknę z Jurkiem.

- Musisz dokonać wyboru między ojcem a Jurkiem.

- To samo powiedział mi Jurek - płakała Dorotka. - Był taki poważny. Nigdy dotychczas go takim nie widziałam. A nie mogę, nie mogę żyć... y... ć bez niego, Aniu.

- Więc żyj z nim, kochanie. I nie nazywaj tego ucieczką. Wizyta u jego siostry i ślub w gronie przyjaciół to nie jest ucieczka.

- Ale ojciec będzie innego zdania - powiedziała Dorota, połykając łzy. - Lecz pójdę za twoją radą, Aniu. Jestem pewna, że ty nie doradziłabyś mi niczego niewłaściwego. Powiem Jurkowi, żeby wszystko przygotował, i przyjdę do jego siostry, gdy ojciec pojedzie do Charlottetown. Jurek z triumfem zawiadomił Anię, że Dorota się zgodziła.

- W przyszły wtorek wieczorem mamy się spotkać u wylotu ulicy. Dorota nie chce, żebym przyszedł po nią do domu, bo boi się, że ciotka Maggie mnie zobaczy. Pojedziemy do Julii i weźmiemy ślub. Podczas ceremonii będą wszyscy moi przyjaciele, żeby Dorotka pewniej się czuła. Franklin Westcott powiedział, że nigdy nie dostanę jego córki. Pokażę mu, że się pomylił.

VII

Wtorek był ponurym dniem listopadowym. Od czasu do czasu padał zimny deszcz. Świat, zalany jego strugami, wydawał się opuszczonym i żalosnym miejscem.

„Biedna Dorota nie ma zbyt pięknego dnia na swój ślub - myślała Ania. - Przypuśćmy, przypuśćmy - zadrżała - że im to nie wyjdzie na dobre. Wtedy będzie to moja wina. Gdyby nie ja, Dorota, nie uległaby namowom Jurka. A jeśli Frank jej nie wybaczy? Aniu Shirley, nie myśl o tym! Jesteś po prostu w złym nastroju, bo tak okropnie pada”.

Pod wieczór przestało lać, ale było zimno, a po niebie przesuwały się ciężkie chmury. Ania poprawiała klasówki. Marcin, zwinięty w kłębek pod piecem, dotrzymywał jej towarzystwa. Nagle rozległo się mocne pukanie do frontowych drzwi.

Ania zbiegła na dół. Rebeka Dew wytknęła głowę z sypialni, ale Ania poprosiła ją, żeby się schowała.

- Ktoś puka do frontowych drzwi - rzekła Rebeka z przerażeniem.

- Tak, Rebeko. Obawiam się, że stało się coś złego. Ale w każdym razie to jest tylko Jurek Morrow. Widziałam go przez okno i wiem, że chce się zobaczyć ze mną.

- Jurek Morrow! - Rebeka Dew cofnęła się i zamknęła za sobą drzwi. - To już jest szczyt wszystkiego!

- Jurku, o co chodzi?

- Dorota nie przyszła - rzekł chłopiec. - Czekaliśmy godzinami - pastor i moi przyjaciele. Julia przygotowała kolację, a Dorota nie przyszła. Czekałem na nią w umówionym miejscu tak długo, że myślałem, iż zwariuję. Nie ośmieliłem się pójść po nią do domu, bo nie wiedziałem, co się stało. Może ten stary brutal Frank Westcott wrócił? Może ciotka Maggie ją zamknęła? Ale muszę się dowiedzieć, co tam się dzieje. Aniu, musisz tam pójść i zobaczyć, dlaczego Dorota nie przyszła.

- Ja? - spytała Ania przerażona tą propozycją.

- Tak, ty. Nikomu innemu nie mogę zaufać. Nikt poza tobą o niczym nie wie. Och, Aniu, nie zawieź mnie. Przecież nas poparłaś. Dorota mówi, że jesteś jej jedyną prawdziwą przyjaciółką. Jeszcze nie jest za późno, dopiero dziewiąta. Pójdź tam...

- ...i niech cię pogryzie pies! - dodała sarkastycznie Ania.

- Ten stary buldog? - powiedział pogardliwie Jurek. - Nie warknąłby nawet na złodzieja. Nie sądzisz chyba, że bałem się psa. Poza tym on jest zamknięty przez całą noc. Nie chcę zrobić Dorocie kłopotów, gdyby cała sprawa wyszła na jaw. Aniu, proszę cię!

- Obawiam się, że muszę to zrobić - rzekła Ania z rozpaczą, wzruszając ramionami.

Jurek podwiózł ją do zakrętu drogi, wiodącej do Elmcroft. Nie pozwoliła mu jechać dalej.

- Sam mówisz, że jeśli Frank wrócił, widok twojej osoby tylko utrudni Dorocie sytuację.

Ania pospieszyła naprzód. Od czasu do czasu spoza chmur wyglądał księżyc, lecz mimo to wieczór był posępny, ciemny i Ania miała wątpliwości co do tego, czy pies rzeczywiście jest zamknięty.

Wydawało się, że w Elmcroft pali się tylko jedno światło. Było to światło w kuchni. Ciotka Maggie otworzyła Ani drzwi. Była to bardzo wiekowa, zgarbiona kobieta, której nigdy nie uważano za zbyt rozgarniętą, ale za to zawsze podziwiano jej umiejętności kulinarne.

- Ciociu Maggie, czy Dorota jest w domu?

- Dorota leży w łóżku - odparła ciotka Maggie obojętnie.

- W łóżku? Czy jest chora?

- Nie sądzę. Przez cały dzień była nieswoja, a po kolacji powiedziała, że jest zmęczona, i poszła do łóżka.

- Muszę się z nią na chwilę zobaczyć. Chcę... chcę dowiedzieć się pewnej ważnej rzeczy.

- Więc niech pani do niej pójdzie. Pierwszy pokój na piętrze po prawej stronie.

Ciotka Maggie machnęła ręką w kierunku schodów i poczłapała do kuchni.

Gdy Ania bezceremonialnie weszła do pokoju, Dorota usiadła na łóżku. Przy słabym świetle świecy było widać, że płakała, ale to tylko bardziej rozgniewało Anię.

- Doroto Westcott, czy zapomniałaś, że obiecałaś zostać dziś żoną Jurka Morrowa? Dziś!

- Nie - wyszeptała Dorota. - Och, Aniu, jestem taka nieszczęśliwa, miałam okropny dzień. Nie masz pojęcia, nigdy nie pojmiesz, co ja przeżyłam!

- Wiem, co przeżył Jurek, czekając na ciebie w tym deszczu i chłódzie przez dwie godziny - rzekła Ania bezlitośnie.

- Czy on... jest bardzo zły, Aniu?

- Jest to widoczne - padła zgryźliwa odpowiedź.

- Aniu, wystraszyłam się. Ubiegłej nocy nie zmrużyłam oka. Nie mogłam przestać o tym myśleć. Nie mogłam. Ja... Naprawdę, w uciekaniu jest jakaś niewdzięczność, Aniu. I nie dostałabym żadnych prezentów. A w każdym razie niewiele. Zawsze chciałam mieć ślub w kościele, żeby było dużo kwiatów i biały welon, i suknia, i srebrne pantofelki!

- Doroto Westcott, wstawaj. Natychmiast... i ubieraj się. Pójdiesz ze mną.

- Aniu, jest za późno.

- Jeszcze nie. Teraz albo nigdy, musisz sobie z tego zdawać sprawę, jeśli masz za grosz rozumu. Wiesz dobrze, że Jurek Morrow już nigdy nie odezwie się do ciebie, jeśli zrobisz z niego wariata.

- Och, Aniu, gdyby wiedział, przebaczyłby mi...

- Nie. Znam go. Nie zamierza pozwolić ci igrać z sobą bez końca. Doroto, czy chcesz, żebym osobiście wyrzuciła cię z łóżka?

Dorotka wstrząsnęła się i westchnęła.

- Nie mam żadnej odpowiedniej sukienki.

- Masz pół tuzina ładnych sukienek. Włóż różową.

- Nie mam żadnej wyprawy. Morrowowie będą mi to wyrzucali do końca życia.

- Dostaniesz wyprawę później. Czy nie zastanawiałś się nad tym wszystkim przedtem?

- Nie, i właśnie to jest cały kłopot. Zaczęłam o tym myśleć ubiegłej nocy. I ojciec... Ty go nie znasz, Aniu!

- Zostawiam ci dziesięć minut czasu na ubranie się! Dziewczyna była gotowa co do minuty.

- Ta sukienka jest za ciasna - wyszłochała. - Jeśli jeszcze bardziej utyję, Jurek przestanie mnie kochać. Chciałabym być wysoka i szczupła, i biała, jak ty, Aniu. Och, co będzie, jeśli ciotka Maggie nas usłyszy?

- Nie usłyszysz. Zamknęła się w kuchni, a jest przecież trochę głucha. Oto twój płaszcz i kapelusz. Zapakuję jeszcze kilka drobiazgów.

- Och, jak mi serce wali. Czy bardzo źle wyglądam?

- Wyglądasz ślicznie - rzekła Ania szczerze. Kremową buzię Doroty zabarwił rumieniec, a łzy nie ujęły uroku jej oczom. Lecz Jurek w mroku nie dostrzegł tego i był tak rozgniewany na ukochaną, że zachowywał się w stosunku do niej raczej chłodno.

- Na miłość boską, nie miej takiej przerażonej miny, jakby cię zmuszano, żebyś za mnie wyszła - rzekł niecierpliwie, gdy podjechali pod dom Stevensów. - I nie płacz, bo będziesz miała czerwony nos. Jest dziesiąta. Musimy zdążyć na jedenastą na pociąg.

Dorota przestała płakać, gdy tylko połączono ją nierozzerwalnym węzłem małżeńskim z Jurkiem.

- Aniu, kochanie, zawdzięczamy to tobie. Nigdy tego nie zapomnimy, prawda, Jurku? I czy mogłabyś jeszcze coś dla nas zrobić? Zawiadom ojca o naszym ślubie. Jutro wraca do

domu, a ktoś musi mu powiedzieć. Jeśli w ogóle istnieje człowiek zdolny go ułagodzić, ty nim jesteś. Proszę, zrób wszystko, żeby mi przebaczył.

Ania poczuła, że jej samej przydałby się ktoś, kto by ją ułagodził. Lecz czuła również, że jest odpowiedzialna za tę sprawę, więc obiecała, że porozmawia z Frankiem.

- On będzie okropny, po prostu okropny, Aniu. Ale nie zabije cię - rzekła Dorota uspokajająco. - Och, Aniu nie wiesz, nie możesz wiedzieć, jak bardzo bezpieczna czuję się z Jurkiem.

Gdy Ania wróciła do domu, Rebeka Dew była bliska obłędu z ciekawości. Okręciła szyję kawałkiem flaneli i w koszuli nocnej przysłała na wieżę, by wysłuchać całej historii.

- Sądzę, że to jest właśnie coś, co można nazwać „życiem” - rzekła j sarkastycznie. - Ale szczerze się cieszę, że Franklin Westcott dostał wreszcie nauczki. Pani MacComber też będzie rada. Lecz nie zazdroszczę pani obowiązku zanieśienia tej wieści Frankowi. Będzie wściekły i usłyszy J pani moc niemiłych rzeczy o sobie. Gdybym była w pani skórze, panno Shirley, nie spałabym przez całą noc.

- Obawiam się, że nie będzie to najprzyjemniejsza wizyta - przyznała żałośnie Ania.

VIII

Nazajutrz wieczorem Ania poszła do Elmcroft. Niepokój nie pozwalał jej cieszyć się spacerem w listopadowej mgle, która przystroiła świat nierealną szatą. Czeką ją niełatwe zadanie. Oczywiście, że Franki Westcott jej nie zabije. Ania nie bała się fizycznej przemocy, chociaż jeśli w opowiadanym o nim historiach tkwiło źdźbło prawdy, może w nią czymś rzucić. Pewnie Frank popisie się przed nią swą słynną sztuką ironizowania, a ironii Ania bała się bardziej niż cegokolwiek. Sarkastyczne uwagi raniły ją boleśnie i zostawiały w jej sercu ślad na długie miesiące.

Elmcroft był to staroświecki dom z czterema wieżyczkami i kopułką na dachu. A na szczycie frontowych schodów siedział pies.

„Te psy nie puszczają, gdy już raz schwycą” - przypomniała sobie Ania. Może spróbować wejść kuchennymi drzwiami? Ale myśl, że Frank Westcott pewnie obserwuje ją przez okno, dodała jej odwagi. Nie da mu tej satysfakcji. Niech nie myśli, że ona boi się jego psa. Z dumnie uniesioną głową weszła po schodach, minęła psa i zadzwoniła do drzwi. Pies ani drgnął. Rzuciwszy na niego okiem Ania stwierdziła, że śpi.

Frank jeszcze nie wrócił, ale ciotka Maggie spodziewała się go lada chwila, gdyż o tej porze przychodził pociąg z Charlottetown. Zaprowadziła Anię do, jak powiedziała, „biblioteki” i zostawiła samą. Pies wstał, wszedł za nimi do domu i wygodnie ułożył się u stóp Ani.

„Biblioteka” spodobała się Ani. Był to pogodny, wesoły pokój. Na kominku trzeszczał ogień, a zniszczony czerwony dywan zakrywały skóry niedźwiedzie. Widocznie Frank Westcott przychylnie odnosił się do palenia fajki i czytania książek. Chętnie spędzał tu czas.

Usłyszała, jak wszedł do domu. Zostawił w korytarzu kapelusz i płaszcz, po czym ze zmarszczonymi brwiami stanął w drzwiach biblioteki. Ania nagle przypomniała sobie, że po pierwszej rozmowie z Frankiem stwierdziła, że ma on w sobie coś z eleganckiego pirata.

- O, to pani? - powiedział dość ponuro. - Czego pani chce?

Nie zamierzał nawet jej powitać. Ania pomyślała, że spośród mieszkańców tego domu, przebywających aktualnie razem z nią w pokoju, pies był bezsprzecznie lepiej wychowany.

- Panie Westcott, niech mnie pan cierpliwie wysłucha, zanim...

- Jestem cierpliwy, bardzo cierpliwy. Proszę!

Ania zdecydowała, że mając do czynienia z takim człowiekiem nie ma co owijać rzeczy w bawełnę.

- Przyszedłam, żeby panu oznajmić - rzekła spokojnie - że pańska córka wyszła za mąż za Jurka Morrowa.

Teraz powinno nastąpić trzęsienie, ziemi... Lecz nic takiego się nie zdarzyło. Na brązowej twarzy Franka Westcotta nie drgnął ani jeden mięsień. Wszedł do pokoju i zasiadł w fotelu naprzeciwko Ani.

- Kiedy? - spytał.

- Wczoraj wieczorem - rzekła Ania. - Ślub odbył się u jego siostry. Przez chwilę Frank przyglądał się jej spod nawisłych, krzaczastych brwi żółtobrązowymi oczami. Ania zaczęła się zastanawiać, jak też mógł wyglądać jako dziecko. Nieoczekiwanie gospodarz odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął bezdźwięcznym śmiechem.

- Proszę nie winić Doroty, panie Westcott - kontynuowała Ania odważnie, czując, że po wygłoszeniu tej strasznej wieści wraca jej pewność siebie. - To nie była jej wina.

- Gotów byłbym się założyć, że nie - odparł Frank.

Czy to miała być ironia?

- Nie, to wszystko stało się przeze mnie - rzekła Ania szczerze i prosto. - Poradziłam, żeby ucie... żeby wyszła za niego. Zmusiłam ją do tego. Proszę, niech jej pan wybaczy, panie Westcott.

Franklin Westcott spokojnie wyjął fajkę i nabił ją tytoniem.

- Jeśli udało się pani skłonić Sybillę do ucieczki z Jurkiem Morrowem, to zrobiła pani więcej, niż mogłem oczekiwać. Zaczynałem już się obawiać, że nie starczy jej odwagi. Musiałbym wówczas się wycofać, a na Boga, my Westcottowie, bardzo nie lubimy tego robić! Uratowała pani mój honor, panno Shirley, za co jestem pani szczerze wdzięczny.

Zapanowała dzwoniąca w uszach cisza. Frank zapalił fajkę i popatrzył na Anię z uśmiechem, mrużąc oczy.

- Sądzę - ciągnął - że przyszła tu pani, trzęsąc się ze strachu, żeby mi przynieść tę straszną nowinę?

- Tak - odpowiedziała krótko Ania.

Franklin znów bezdźwięcznie zachichotał.

- Niepotrzebnie się pani bała. Nie mogła mnie pani zawiadomić o niczym radośniejszym. Już dawno myślałem, że Jurek będzie odpowiednią partią dla Sybilli. Spławiałem innych chłopców, którzy się nią interesowali. Dlatego Jurek zwrócił na nią uwagę. Chciał pokazać staremu! Ale miał takie powodzenie wśród dziewcząt, że nie

wierzyłem własnym oczom, gdy się okazało, że rzeczywiście jest w niej zakochany. Wówczas ustaliłem plan działania. Dobrze znam Morrowów. Pani pewnie nie. To porządni ludzie, ale mężczyźni z tej rodziny nie sięgają po nic, co mogą z łatwością uzyskać. Gdy zaś powiedzieć im, że czegoś nie dostaną, stają na głowie, żeby to zdobyć. Zawsze robią wszystko na przekór. Ojciec Jurka złamał serca trzem pannom tylko dlatego, że rodziny tych dziewcząt zanadto okazywały, jak bardzo im na nim zależy. Byłem pewny, że Dorota szybko się znudzi Jurkowi, jeśli będzie myślał, że łatwo ją dostanie. A więc zabroniłem mu do nas przychodzić, a Sybilli zapowiedziałem, że nie wolno jej z nim rozmawiać. Doskonale odegrałem rolę okropnego ojca. Powiadają o uroku rzeczy, których nie udało się uzyskać. Co dopiero mówić o tych, których nie można zdobyć aktualnie! Wszystko zdawało się iść doskonale, ale na przeszkodzie stanęło usposobienie mojej córki. To miłe dziecko, ale całkowicie pozbawione własnej woli. Już zaczynałem się obawiać, że nigdy nie zdobędzie się na tyle odwagi, aby wyjść za mąż za Jurka bez mojej zgody. No, a teraz, jeśli tylko odzyskała już pani oddech, proszę mi o wszystkim opowiedzieć, moja młoda damo.

Ania miała duże poczucie humoru i nigdy nie omijała sposobności, żeby się pośmiać... choćby i z siebie samej. Nagle poczuła się tak, jakby była starą, dobrą znajomą Franklina Westcotta.

Gospodarz wysłuchał jej opowiadania, pykając fajkę. Gdy skończyła, z zadowoleniem skinął głową.

- Widzę, że zawdzięczam pani więcej, niż przypuszczałem. Dorota nie zdobyłaby się na tyle odwagi bez pani pomocy, a Jurek Morrow nie zaryzykowałby ponownego ośmieszenia... na pewno nie, o ile go znam. Ależ mi się udało! Będę do końca życia pani dłużnikiem. Prawdziwa z pani bohaterka, że przyszła tu pani pomimo rozpowszechnianych o mnie plotek. Słyszała ich pani wiele, prawda?

Ania skinęła głową. Buldog ułożył pysk na jej stopie i błogo chrapał.

- Wszyscy zgodnie twierdzili, że jest pan zwariowany, cierpki i opryskliwy - rzekła szczerze.

- Mówili też pewnie, że byłem tyranem, unieszczęśliwiłem swoją biedną żonę i rządziłem w domu żelazną ręką?

- Tak, ale nie brałam tego na serio, panie Westcott. Wydawało mi się, że gdyby te okropne plotki zgadzały się z prawdą, Dorota nie byłaby do pana tak bardzo przywiązana.

- Słusznie! Moja żona była szczęśliwa, panno Shirley. Jeśli pani MacComber zacznie krzyczeć, że wpędziłem biedną Molly do grobu, niech jej pani zmyje głowę. Proszę wybaczyć ten pospolity zwrot. Molly była ładna, ładniejsza od Sybilli. Była najładniejszą kobietą w

Summerside. Musiała być. Nie zniósłbym tego, żeby jakiś mężczyzna przyszedł do kościoła z żoną ładniejszą od mojej. Zachowywałem się jak prawdziwy pan domu, ale nie byłem tyranem. Oczywiście zdarzały mi się wybuchy gniewu, ale Molly szybko się do nich przyzwyczaiła i nie zwracała na nie uwagi. Chyba każdy mężczyzna ma prawo pokłócić się z żoną od czasu do czasu? Kobiety nie lubią nudnych mężów. A poza tym, gdy się uspokoiłem, dawałem jej prezenty - pierścionki albo naszyjniki. Żadna kobieta w Summerside nie miała takiej biżuterii jak ona. Muszę wyciągnąć te świecidełka i dać je Sybilli. Anię ciekawiła inna sprawa.

- A jak to było z poematami Milтона?

- Poematy Milтона? Aha! To nie był Milton, tylko Tennyson. Poważam Milтона, a nie znoszę Tennysona. Jest obrzydliwie przesłodzony. Ostatnie stronicie „Enocha Ardena” rozwścieczyły mnie kiedyś do tego stopnia, że wyrzuciłem książkę za okno. Ale przyniosłem ją z powrotem ze względu na „Pieśń trębacza”. Każdemu bym wszystko wybaczył za napisanie czegoś tak pięknego. Ale wcale nie wrzuciłem tej książki do sadzawki Jerzego Clarka, to już jest wymysł panny Prouty. Jeszcze chyba pani nie idzie? Niech pani zostanie na kolacji u biednego, samotnego starca, któremu skradziono jego ostatnią radość.

- Naprawdę bardzo mi przykro, panie Westcott, ale nie mogę. Muszę pójść na zebranie ciała pedagogicznego.

- Więc zobaczę panią, gdy wróci Sybilla. Będę musiał na pewno wydać przyjęcie na ich cześć. O, dobry Boże, naprawdę odetchnąłem z ulgą. Nie ma pani pojęcia, ile by mnie kosztowało wezwanie tego młokosa i wyrażenie zgody na jego konkury. Teraz muszę udawać, że Sybilla złamała mi serce, ale przez pamięć jej biednej matki, wybaczę jej. O, jak pięknie odegram scenę przebaczenia... Jurek nie może się niczego domyślić. Niech się pani nie wygada.

- Może być pan spokojny - obiecała Ania.

Franklin Westcott grzecznie odprowadził ją do drzwi. Pies obudził się i pożegnał Anię smutnym szczekaniem. Gospodarz wyjął z ust fajkę i postukał nią Anię po ramieniu.

- Niech pani zawsze pamięta - rzekł uroczyście. - Kota można obedrzeć ze skóry na wiele sposobów. Nawet tak, żeby zwierzę nie poczuło, że mu zdjęto skórę. Proszę przekazać wyrazy szacunku Rebecce Dew. Kochana z niej kocica, jeśli ją odpowiednio wziąć pod włos. I dziękuję pani... dziękuję.

Ania poszła do domu. Był miły, spokojny wieczór. Mgła się nieco uniosła, wiał wiatr, a bladoszare niebo wydawało się zapowiadać mróz.

„Ludzie mi mówili, że nie znam Franka Westcotta - myślała Ania. - I mieli rację. Nie znałam go. I oni też nie”.

- Jak to przyjął? - chciała wiedzieć Rebeka Dew.

- Nie tak źle - rzekła Ania. - Myślę, że wybaczy Dorocie z czasem.

- Jeszcze nie zdarzyło się, żeby ktoś z panią wygrał, panno Shirley, gdy trzeba zagadać ludzi - powiedziała Rebeka Dew z podziwem. - Ma pani jakiś szczególny dar.

IX

(Wyjątek z listu do Gilberta)

Pewna dama zaprosiła mnie na jutro na kolację. Wiem, że mi nie uwierzysz, Gilberte, ale ona nazywa się Tomgallon... pani Minerwa Tomgallon. Pewnie myślisz, że zbyt długo w nocy czytałam Dickensa.

Kochany, czy jesteś zadowolony ze swego nazwiska? Wydaje mi się, że nie mogłabym za Ciebie wyjść, gdybyś nazywał się Tomgallon. Pomyśl tylko... Ania Tomgallon! Nie, tego nie' można sobie nawet wyobrazić.

Zaproszenie do Domu Tomgallonów jest w Summerside uważane za wielki zaszczyt. Dom ten nie ma innej nazwy. Tomgallonowie nie uznawali żadnych takich bzdur, jak jakieś tam Klonowe Wzgórza lub Leszczynowe Pola.

O ile wiem, byli kiedyś Królewską Rodziną. W zestawieniu z nimi Pringle'owie to po prostu zwykłe muchomory. Obecnie z całej rodziny została tylko panna Minerwa, jedyna żyjąca przedstawicielka sześciu pokoleń tego rodu. Mieszka samotnie w dużym domu przy ulicy Królowej... w domu o wielkich kominach i zielonych okiennicach, który, jeden jedyny w Summerside, ma witrażowe okno.

Dom ten jest tak duży, że spokojnie mogłyby w nim mieszkać cztery rodziny, a zajmuje go tylko panna Minerwa z kucharką i służącą. Jest bardzo dobrze utrzymany, ale ilekroć obok niego przechodzę, nie mogę nie pomyśleć, że życie o nim zapomniało.

Panna Minerwa rzadko wychodzi z domu. Właściwie tylko w niedzielę idzie do kościoła ewangelickiego na nabożeństwo. Spotkałam ją po raz pierwszy zaledwie parę tygodni temu, gdy przysłała na zebranie szkolne, żeby ofiarować do biblioteki cenne książki swego ojca. Wygląda dokładnie tak, jak można oczekiwać po kimś, kto nazywa się Tomgallon - jest wysoka, szczupła, z długą, wąską białą twarzą, długim, cienkim nosem i długimi, cienkimi wargami. Nie brzmi to obiecująco, ale panna Minerwa jest przystojna na pewien arystokratyczny sposób. Zawsze ubiera się bardzo elegancko, choć trochę po staroświecku. Rebeka Dew mówi, że za młodych lat była piękną. Jeszcze dziś jej wielkie czarne oczy są pełne ognia. Nie wydaje się też, żeby kiedykolwiek zabrakło jej słów. Chyba jeszcze nie widziałam nikogo, kto by z taką przyjemnością wygłaszał mowy.

Panna Minerwa była dla mnie niesłychanie miła, a wczoraj otrzymałam od niej zaproszenie na kolację. Kiedy powiedziałam o tym Rebecce Dew, otworzyła oczy tak szeroko, jakby mnie zaproszono do pałacu Buckingham.

- Zaproszenie do Domu Tomgallonów to wielki zaszczyt - rzekła z szacunkiem. - Nie słyszałam, żeby panna Minerwa zapraszała któregoś z poprzednich kierowników szkoły. Co prawda, byli to sami mężczyźni, więc nie bardzo jej wypadało. Mam nadzieję, że nie zagada pani na śmierć. Tomgallonowie mogą mówić bez końca. Lubią grać pierwsze skrzypce. Niektórzy myślą, że panna Minerwa żyje jak odludek dlatego, że jest za stara, aby wszystkiemu przewodzić, jak kiedyś. A nie chce zejść na drugie miejsce. Co pani włoży, panno Shirley? Niech się pani ubierze w suknię z kremowego jedwabiu z czarnymi aksamitnymi wstążkami. Jest bardzo strojna.

- Chyba za strojna na zwykłą kolację - powiedziałam.

- Myślenie pannie Minę rwie się spodoba. Tomgallonowie lubią przebywać w towarzystwie dobrze ubranych ludzi. Powiadają, że ojciec panny Minerwy kiedyś zamknął drzwi przed nosem jakiejś pani, która przyszła na bal w nie dość wytwornej sukni. Powiedział jej, że nawet najlepsza ze wszystkich sukien, jakie ma, nie byłaby wystarczająco elegancka na bal u Tomgallonów.

- Mimo to włożę zieloną i duchy. Tomgallonów będą musiały jakoś to znieść.

Gilbercie, muszę się przyznać do czegoś, co uczyniłam w ubiegłym tygodniu. Pewnie pomyślisz, że znów wtrącam się w nie swoje sprawy. Ale musiałam coś zrobić. W przyszłym roku już mnie nie będzie w Summerside, a nie mogę znieść myśli, że mała Elżbieta pozostanie tutaj na pastwę tych dwóch starych kobiet, które nie kochają jej i z każdym rokiem stają się bardziej zgorzkniałe. Jaka młodość ją czeka w tym ponurym domu?

- Ciekawa jestem - powiedziała z rozmarzeniem kilka dni temu - jak by było, gdybym miała babcię, której nie musiałabym się bać.

A oto, co zrobiłam - napisałam do jej ojca. Mieszka on w Paryżu i nie miałam jego adresu. Szczęśliwie Rebeka Dew zapamiętała nazwę firmy, którą Piotr Grayson tam prowadzi. Napisałam więc na adres firmy. Staralam się załatwić to dyplomatycznie, ale napisałam, że musi zabrać stąd Elżbietę. Napisałam, jak bardzo dziewczynka za nim tęskni, jak marzy o tym, żeby go zobaczyć. Nie przemilczałam też, że pani Campbell jest dla niej za surowa i zbyt wymagająca. Pewnie ten list nic nie pomoże, ale przynajmniej nie będę miała do końca życia wyrzutów sumienia, że nie zrobiłam wszystkiego, co powinnam.

Wpadłam na ten pomysł, gdy Elżbieta powiedziała mi, że napisała list do Boga, prosząc, by zwrócił jej ojca i napelnił jego serce miłością do niej. Elżbieta wracając ze szkoły zatrzymała się i przeczytała list głośno, patrząc w niebo. Wiedziałam, że zrobiła coś dziwnego, bo panna Prouty, która ją widziała, powiedziała mi o tym, gdy następnego dnia przyszła do nas szyć. Orzekła, że Elżbieta dziwaczeje. Spytałam dziewczynkę, jak to było.

- Pomyślałam, że może Bóg zwróci większą uwagę na list niż na modlitwę - rzekła. - Modliłam się już tyle razy. On pewnie musi wysłuchiwać tylu modlitw, że moją przeoczył. Tego dnia wieczorem napisałam do jej ojca.

Muszę jeszcze opisać Ci historię Marcina... Kiedyś ciocia Kasia powiedziała mi, że szuka dla niego nowej pani, bo Rebeka tak się nań załży, że trudno to wytrzymać. Pewnego wieczoru w ubiegłym tygodniu, gdy wróciłam do domu, Marcina nie było. Ciocia Misia powiedziała, że oddała go pani Edmonds, która mieszka na drugim końcu miasta. Zrobiło mi się smutno, bo byłam z nim w wielkiej przyjaźni. Ale pomyślałam, że przynajmniej Rebeka Dew będzie zadowolona.

Rebeka przez cały ten dzień była u krewniaczki. Pomagała jej tkać dywan. Kiedy o zmierzchu przyszła do domu, nic jej nie powiedziałyśmy. Dopiero gdy wieczorem zaczęła z werandy nawoływać Marcina, ciocia Kasia odezwała się:

- Nie musisz wołać Marcina, Rebeko. Nie ma go. Znalazłyśmy mu inny dom. Już nie będziesz z nimi miała kłopotów.

Gdyby Rebeka Dew umiała zblednąć, pewnie by to zrobiła.

- Nie ma go? Ma nowy dom? Dobre nieba! Czyż jego dom nie jest tutaj?

- Oddałyśmy go pani Edmonds. Jest bardzo samotna, od czasu gdy jej córka wyszła za mąż. Kot będzie dla niej miłym towarzyszem.

Rebeka Dew weszła do środka i z hukiem zatrzęsnęła drzwiami. Wyglądała groźnie.

- To już jest szczyt wszystkiego - powiedziała. Wydawało się, że tym razem rzeczywiście. Nigdy dotychczas nie widziałam Rebeki ciskającej oczami błyskawice gniewu.

- Od przyszłego miesiąca odchodzę, pani MacComber, a nawet wcześniej, jeśli wam to odpowiada.

- Ależ, Rebeko - rzekła ciocia Kasia zmieszana. - Nie rozumiem cię. Nigdy nie lubiłaś Marcina. Dopiero co przecież mówiłaś, że...

- To prawda - rzekła Rebeka Dew z goryczą. - Wyrzucajcie mi to teraz! Nie miejcie żadnych względów dla moich uczuć! Biedny, kochany kot! Czekałam na niego wieczorami, psułam go, wstawałam z łóżka, żeby go w nocy wpuścić do domu. A wy oddałyście go za moimi plecami, nawet nie pytając o zgodę. I to Janinie Edmonds, która nie kupi biednemu stworzeniu ani kawałeczka wątróbki, choćby miało umrzeć! Mój jedyny towarzysz w kuchni!

- Ależ, Rebeko, zawsze mówiłaś...

- No dalej, dalej. Niech mi pani wszystko wypomni, pani MacComber. Wyhodowałam go z kociątka, dbałam o jego zdrowie, wychowałam go! I po co? Żeby Janina Edmonds miała dobrze wychowanego kota? Mam nadzieję, że będzie na niego czekała nocami tak jak ja i nie

pozwole mu zamarznąć, ale śmiem w to wątpić. Doprawdy, poważnie w to wątpię. Mam nadzieję, pani MacComber, że nie zadręczy panią sumienie, gdy temperatura spadnie poniżej zera. Ja nie zmrużę wtedy oka, ale oczywiście to nikogo nie obchodzi.

- Rebeko, gdybyś tylko...

- Pani MacComber, nie jestem ani robakiem, ani wycieraczką. Dobrze, to była dla mnie nauczka, cenna nauczka! Już nigdy nie pozwolę sobie na obdarzenie uczuciem jakiegoś zwierzęcia. Gdybyście jeszcze zrobiły to otwarcie! Ale za moimi plecami... korzystając z mojej nieobecności! Nigdy nie słyszałam o czymś równie niegodziwym! Ale kimże jestem, żeby oczekiwać, iż moje uczucia będą uszanowane!

- Rebeko - rzekła ciocia Kasia z rozpaczą. - Jeśli chcesz, możemy wziąć Marcina z powrotem.

- Dlaczego od razu tego nie powiedziałyście? - spytała Rebeka. - Ale wątpię, czy wam się to uda. Janina Edmonds nie odda tak łatwo czegoś, co chwyciła w swoje pazury. Czy go zwróci?

- Myślę, że tak - rzekła ciocia Kasia, wracając do galaretki. - Czy zostaniesz u nas, Rebeko, jeśli Marcin będzie znów w domu?

- Mogę się nad tym zastanowić - odparła Rebeka z miną kogoś, kto robi łaskę.

Nazajutrz ciocia Misia przyniosła Marcina. Widziałam, jak wymieniały spojrzenia z ciocią Kasią, gdy Rebeka Dew wyniosła kota do kuchni i zamknęła za sobą drzwi. Ciekawe! Czyżby cała ta zabawa była celowo zaplanowana przez ciocię przy udziale Janiny Edmonds?

Od tego dnia Rebeka nie powiedziała ani jednego złego słowa na Marcina. Gdy wieczorem go woła, w jej głosie brzmia nutki triumfu. Widać, chciałyby oznajmić całemu miastu, że Marcin wrócił do domu, a ona raz jeszcze odniosła zwycięstwo nad wdowami.

X

W ciemny marcowy wieczór, gdy ciężkie chmury w pośpiechu płynęły po niebie, Ania weszła po schodach wiodących do masywnych drzwi Domu Tomgallonów. Schodów tych strzegły kamienne lwy. Zazwyczaj gdy przechodziła tędy wieczorami, tylko w dwóch oknach migotały słabe światełka. Teraz wszędzie płonęły lampy. Nawet boczne skrzydła domu były oświetlone, jak gdyby panna Minerwa oczekiwała wizyty całego miasta. Ta iluminacja raczej przestraszyła Anię. Niemal zaczęła żałować, że nie włożyła kremowej sukni.

Jednak w zielonej wyglądała równie ładnie. W każdym razie tak chyba uważała panna Minerwa, bo jej głos i wyraz twarzy były bardzo serdeczne. Strojna w czarny aksamit, z diamentowym grzebieniem w ciężkich splotach stalowoszarych włosów i z masywną broszką, kameą otoczoną wianuszkami włosów zmarłych Tomgallonów, panna Minerwa przypominała królową. Strój ten był trochę staroświecki, lecz nosiła go z taką gracją, że wydawał się równie wspaniały, jak niemodny.

- Witam panią w Domu Tomgallonów, kochanie - powiedziała, wyciągając do Ani szczupłą, połyskującą diamentami dłoń. - Cieszę się, że mogę panią gościć.

- Jestem...

- Za dawnych dni Dom Tomgallonów był pełen młodości i piękna. Często wydawaliśmy przyjęcia - ciągnęła panna Minerwa, prowadząc Anię po wysłanym czerwonym dywanem schodach. - Teraz wszystko się zmieniło. Mało bywam i mało przyjmuję. Jestem ostatnią z Tomgallonów, kochanie. Może to i dobrze. Nad moją rodziną ciąży przekleństwo.

Głos panny Minerwy brzmiał tajemniczo i tak groźnie, że Ania wstrząsnęła się. Przekleństwo Tomgallonów! Co za tytuł do opowiadania!

- Mój prapradziadek Tomgallon spadł z tych schodów i skręcił kark. Wydarzyło się to w wieczór, gdy wydawał przyjęcie z okazji zamieszkania w nowym domu. Ten dom został uświęcony ludzką krwią. Upadł tutaj... - panna Minerwa białym palcem wskazała tygrysią skórę, leżącą w holu. Jej gest był tak dramatyczny, że Ania niemal ujrzała owego prapradziadka, jak kona u stóp schodów. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc powiedziała: „Och!”

Panna Minerwa prowadziła ją wielkim korytarzem, na którego ścianach wisiały wyblakłe portrety i fotografie. Korytarz zamykało owo słynne okno witrażowe. Wkrótce znalazły się we wspaniałym pokoju. Wysokie łóżce z baldachimem było zasłane bogato

haftowaną kapą. Ania miała wrażenie, że kładąc na niej płaszcz i kapelusz popępnia świętokradztwo.

- Ma pani bardzo piękne włosy, kochanie - powiedziała panna Minerwa z podziwem. - Zawsze lubiłam rude włosy. Ciotka Lidia miała takie. Była jedyną rudowłosą kobietą w rodzinie Tomgałlonów. Pewnego wieczoru, gdy je szczotkowała, zapaliły się od świecy. Ciotka, cała w płomieniach, z krzykiem zbiegła na dół. Wszystko to przez klątwę... Wszystko przez klątwę.

- Czy ona...

- Nie spaliła się na śmierć, ale straciła urodę. Była bardzo piękna i próżna. Po tym wypadku nigdy już nie wyszła z domu. Zażądała też, żeby po jej śmierci wystawiono jej zwłoki w zamkniętej trumnie. Nikt nie mógł zobaczyć jej zeszpeconej twarzy. Niech pani siądzie w tym fotelu, kochanie, i zdejmie kalosze. To bardzo wygodny fotel. Moja siostra zmarła w nim na udar. Była wdową, po śmierci męża wróciła do domu. Jej córeczka poparzyła się wrzątkiem w naszej kuchni. Czy to nie jest tragiczna śmierć dla małego dziecka?

- Och, jak...

- Ale przynajmniej wiadomo, w jaki sposób umarła. Ciotka Eliza - w każdym razie byłaby moją ciotką, gdyby żyła - po prostu zniknęła, gdy miała sześć lat. Nikt się nigdy nie dowiedział, co się z nią stało.

- Lecz z pewnością...

- Dokonano wszelkich starań, ale niczego nie wykryto. Mówiono, że jej matka - macocha mojego ojca - była bardzo okrutna dla osieroconej siostrzenicy dziadka, która tu się wychowywała. W gorące letnie dni zamykała ją w pokoju u szczytu schodów. Kiedyś gdy przyszła, żeby ją wypuścić, dziecko było martwe. Ludzie uważali, że zniknięcie Elizy było karą za śmierć tamtej dziewczynki. Ale ja myślę, że to sprawiła nasza klątwa.

- Kto...

- Jakie pani ma wysokie podbicie, kochanie! Moje podbicie też kiedyś podziwiano. Mówiono, że pod moją stopą mógłby przepłynąć strumień wody.

Panna Minerwa skromnie wysunęła pantofel spod aksamitnej sukni i zademonstrowała Ani niewątpliwie bardzo kształtną stopę.

- Rzeczywiście...

- Czy chciałaby pani, kochanie, zwiedzić nasz dom przed kolacją? Swego czasu był on dumą Summerside. Sądzę, że obecnie wszystko tu jest staroświeckie, ale może znajdzie pani kilka interesujących rzeczy. Ten miecz, wiszący nad schodami, należał do mego

prapradziadka, który służył w armii brytyjskiej jako oficer. W dowód zasług otrzymał wielką posiadłość na Wyspie Księcia Edwarda. Nigdy nie mieszkał w tym domu, ale przez kilka tygodni mieszkała tu jego żona. Niedługo żyła po tragicznej śmierci swego syna.

Panna Minerwa oprowadziła Anię po całym domu, pełnym dużych kwadratowych pokoi. Była tu sala balowa, salon, pokój bilardowy, trzy gabinety, jadalnia, mnóstwo sypialni i olbrzymi strych. Wszystko to wyglądało wspaniale i żałośnie zarazem.

- Oto moi wujowie, Ronald i Reuben - powiedziała panna Minerwa, wskazując wiszące po dwóch stronach kominka portrety mężczyzn, którzy wydawali się spoglądać na siebie zezem. - Byli bliźniętami i od samego początku nienawidzili się z całego serca. Ich matka bolała nad tym przez całe życie. Podczas ostatniej kłótni - właśnie w tym pokoju - była burza. Reuben zginął od pioruna. Ronald nie mógł tego przeboleć. Od tego dnia stał się strasznym człowiekiem. Jego żona - dodała, przypominając sobie panna Minerwa - połknęła obrączkę ślubną.

- Co za...

- Ronald uznał to za nieuwagę i nie przedsięwziął żadnych kroków. A przecież zwykły środek przeczyszczający... Ten wypadek złamał biednej kobiecie całe życie. Bez obrączki czuła się jak niezamężna!

- Jaki piękny po...

- Och, tak, to moja ciotka Emilia. Oczywiście nieprawdziwa ciotka. Po prostu była żoną stryja Aleksandra. Czarowała ludzi uduchowionym wyrazem twarzy, ale męża otruli grzybami. Ściślej mówiąc, muchomorami. Zawsze udawaliśmy, że uważamy to za przypadek, bo nie jest miło mieć mordercę w rodzinie. Ale wszyscy wiedzieliśmy, jak to naprawdę było. Naturalnie poślubiła go wbrew woli. Była młodą wesołą dziewczyną - on był od niej o wiele starszy. Pasowali do siebie jak grudzień i maj. Ale to jej nie usprawiedliwia. Wkrótce po jego śmierci zapadła na suchoty. Są razem pochowani w Charlottetown. Wszyscy Tomgallonowie tam leżą. A oto moja ciotka Luiza. Zażyła zbyt dużą dawkę opium. Doktor zrobił jej pompowanie żołądka, dzięki czemu wyżyła, ale już nigdy nie mieliśmy do niej zaufania. Doprawdy odetchnęliśmy z ulgą, gdy umarła przyzwoicie na zapalenie płuc. Oczywiście niektórzy nie winili jej zbytnio. Widzi pani, jej mąż... dawał jej... dawał jej klapsy.

- Dawał...

- Dokładnie tak. Istnieją rzeczy, których dżentelmen nie powinien robić, a dawanie klapsów żonie do nich należy. Kopnąć... może... ale dawać klapsy! Nigdy! Chciałabym - zakończyła panna Minerwa - zobaczyć mężczyznę, który ośmieliłby się dawać klapsy mnie.

Ania chciałaby również. Pojęła, że nawet dla jej bogatej wyobraźni istnieją pewne granice. Pomimo wysiłków nie zdołała sobie wyobrazić mężczyzny, który dałby klapsa pannie Minerwie Tomgallon.

- Oto sala balowa. Teraz oczywiście już się jej nie używa. Ale odbyło się tu sporo balów. Bale u Tomgallonów były słynne. Przyjeżdżali na nie ludzie z całej Wyspy. Ten żyrandol kosztował mojego ojca pięćset dolarów. Moja cioteczna babka Pacjencja padła tu martwa w tańcu pewnej nocy... właśnie w tym rogu. Dużo przecierpiała przez mężczyznę, który ją zawiódł. Nie rozumiem, żeby się tak przejmować mężczyznami... Mężczyźni - stwierdziła panna Minerwa, wpatrując się w fotografię swojego ojca, pana o połyskujących bokobrodach i haczykowatym nosie - zawsze wydawali mi się trywialnymi stworzeniami.

XI

Jadalnia była utrzymana w tym samym stylu co reszta domu. U sufitu wisiał bogato zdobiony żyrandol, nad kominkiem lśniły lustra, a stół zastawiono kryształami i srebrem. Obfitą i smaczną kolację podała ponura służąca. Ania, obdarzona zdrowym młodzieńczym apetytem, oddała sprawiedliwość wszystkim smakolym. Przez parę minut panna Minerwa milczała. Ania nie odzywała się w obawie przed wywołaniem kolejnej serii opowiadań o tragediach. Nagle do pokoju wszedł wielki czarny kot i z przerażającym miauknięciem ułożył się u stóp gospodyni. Panna Minerwa napełniła spodek śmietanką i postawiła przed nim. Ten gest nadał jej bardziej ludzki charakter i Ania pozbyła się lęku przed ostatnią z Tomgallonów.

- Niech pani zje brzoskwinie, kochanie. Nic pani nie jadła... zupełnie nic.

- Och, panno Tomgallon, bardzo...

- Tomgallonowie zawsze podawali wykwintne potrawy - rzekła panna Minerwa z zadowoleniem. - Moja ciotka Zofia robiła najlepsze drożdżowe ciasto, jakie jadłam w życiu. Wydaje mi się, że jedyną osobą, którą ojciec niechętnie zapraszał do domu, była jego siostra Maria, która cierpiała na brak apetytu. Tylko dziobała widelcem po talerzu i jadła ledwo co. Ojciec uważał to za osobistą obrazę. Niełatwo dawał się przeprosić. Nigdy nie wybaczył memu bratu, Ryszardowi, który ożenił się wbrew jego woli. Wyrzucił go z domu i zabronił wracać. Codziennie rano ojciec odmawiał modlitwę. Gdy Ryszard się ożenił, ojciec zaczął opuszczać zdanie „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Widzę go jeszcze teraz - zakończyła panna Minerwa z rozmarzeniem - jak klęczy i w modlitwie pomija to zdanie.

Po kolacji przeszły do najmniejszego z trzech gabinetów, który i tak był wystarczająco duży. Spędziły wieczór przy wesołym ogniu trzaskającym na kominku. Ania szydełkiem wykańczała serwetki, a panna Minerwa robiła na drutach i wygłaszała monolog, dotyczący głównie ponurych i fantastycznych dziejów Tomgallonów.

- Jest to dom pełen tragicznych wspomnień, kochanie.

- Panno Minerwo, czy nigdy nie zdarzyło się tu nic przyjemnego? - Ani nareszcie udało się wygłosić całe zdanie.

Panna Minerwa przestała mówić, by wytrzeć nos.

- Sądzę, że niekiedy zdarzało się i coś wesołego - przyznała niechętnie. - Gdy byłam dziewczyną, czas upływał tu dość miło. Mówiono mi, kochanie, że pani pisze książkę o wszystkich mieszkańcach Summerside.

- Nie... Nie ma w tym ani słowa prawdy...

- Och! - panna Minerwa była najwyraźniej rozczarowana. - Ale jeśli będzie pani chciała, może pani opisać jakąś historię z tych, które pani opowiedziałam. Niech tylko pani zmieni nazwiska. A co by pani powiedziała na parchesi*?

- Obawiam się, że muszę już iść...

- Och, kochanie, nie pójdzie pani dziś do domu. Żal byłoby psa wyrzucić na dwór. Niech pani posłucha, jak wyje wiatr. Nie warto trzymać powozu dla jednej osoby, więc nie mam czym pani odwieźć, a w tym deszczu nie pójdzie pani piechotą. Zostanie pani u mnie na noc.

Ania nie miała ochoty nocować w domu Tomgallonów. Lecz również nie chciało jej się iść w marcowej ulewie do Szumiących Topoli. Więc zagrały w parchesi. Panna Minerwa zaangażowała się tak bardzo w grę, że przestała opowiadać o potwornych wydarzeniach. A potem, przed położeniem się do łóżka, nastąpiła przekąska. Wypiły kakao z przepięknych, rodowych filiżanek i zjadły po ciasteczku cytrynowym.

Wreszcie panna Minerwa zaprowadziła Anię do pokoju. Ania stwierdziła z ulgą, że nie będzie nocowała w sypialni, w której zmarła siostra panny Minerwy. - To jest pokój ciotki Arabelli - rzekła panna Minerwa. Zgasiła lampę i zapaliła świecę w srebrnym świeczniku na pięknym stole. - Była najpiękniejsza w całej rodzinie. Nad lustrem wisi jej portret. Widzi pani te dumnie zarysowane usta? To ona zrobiła tę idiotyczną kapę na łóżko. Mam nadzieję, kochanie, że będzie pani wygodnie. Maria wywietrzyła pościel i ogrzała łóżko butelkami z gorącą wodą. Wywietrzyła też koszulę nocną - gospodyni wskazała flanelowe cudo, przewieszane przez fotel. Pachniało ono intensywnie naftaliną. - Mam nadzieję, że będzie na panią dobra. Nikt jej nie nosił od dnia, gdy umarła w niej moja biedna matka. Byłabym zapomniała powiedzieć - panna Minerwa jeszcze odwróciła się w drzwiach - w tym pokoju ożył Oskar Tomgallon. W dwa dni po śmierci. Nikt sobie nie życzył jego zmartwychwstania, i to była cała tragedia. Mam nadzieję, że będzie pani dobrze spała, kochanie.

Ania powątpiewała, czy w ogóle zaśnie. Pokój wydawał się jej obcy i trochę przerażający. Ale czy jakikolwiek pokój, który widział tyle pokoleń, mógłby sprawiać inne wrażenie?

Na pewno był to dość ponury dom. Błądziły po nim duchy zmarłych mieszkańców, zdawał się rozbrzmiewać echem dawnych nienawiści i zawodów, a podle czyny, które nigdy nie wyszły na jaw, czały się po kątach. Zbyt dużo kobiet tutaj płakało. Wśród świerków za

* Parchesi - gra indyjska (przyp. tłum.)

oknami żalobnie zawodził wiatr. Ania miała przez chwilę ochotę uciec stąd bez względu na burzę.

Ale wzięła się w karby i odwołała do zdrowego rozsądku. Nawet jeśli przed laty zdarzyło się tu tyle tragedii, na pewno nie brakowało i miłych wydarzeń. Roześmiane, ładne dziewczęta tańczyły na balach i szeptem zwierzały się sobie ze słodkich tajemnic. W tych komnatach przychodziły na świat pulchne dzieci, w obszernych salach odbywały się wesela i przyjęcia, rozbrzmiewała w nich muzyka. Dama od drożdżowego ciasta na pewno była sympatyczną paniusią, a Ryszard, który nie doczekał się przebaczenia - uroczym młodzieńcem.

„Pomyślę o tym i położę się. Co za kołdra! Ciekawe, czy po nocy spędzonej pod czymś takim nie obudzę się szalona. I przecież to jest pokój gościnny! Nigdy nie zapomnę, jakiego zawsze doznawałam dreszczu, gdy spałam w gościnnym pokoju”.

Ania rozplotła i wyszczotkowała włosy tuż pod nosem Arabelli Tomgallon. Na twarzy dumnej damy malowała się pycha, próżność i pewność siebie wielkiej piękności. Ania poczuła się trochę niepewnie, gdy nieśmiało zerknęła w stronę zwierciadła. Kto wie, jakie twarze spojrzą na nią z jego tafli? Może zobaczy wszystkie nieszczęsne panie, które kiedyś się w nim przeglądały? Odważnie otworzyła drzwi do rozbieralni. Była niemal pewna, że usłyszy klekot uciekających kościotrupów. Odwiesiła suknię. Potem spokojnie usiadła w fotelu, który wyglądał tak, jakby uważał za osobistą obrazę fakt, że ktoś ośmiela się w nim usiąść, i zdjęła pantofle. Włożyła flanelową koszulę nocną, zdmuchnęła świecę i położyła się do rozkosznie ciepłego łóżka, ogrzanego przez Marię butelkami z gorącą wodą.

- Było mi bardzo przyjemnie panią gościć, kochanie - zegnała Anię panna Minerwa po śniadaniu. - Wesóło spędziłyśmy czas, prawda? Chociaż już tak długo mieszkam sama, że prawie zapomniałam mówić. I chyba nie potrzebuję dodawać, że miło jest w dzisiejszych zepsutych czasach spotkać czarującą młodą dziewczynę. Nie wspominałam pani wczoraj, ale to był dzień moich urodzin. Tym bardziej cieszyłam się obecnością kogoś młodego. Teraz nie ma już nikogo, kto by pamiętał o moich urodzinach - panna Minerwa westchnęła - a kiedyś było wiele takich osób.

- Sądzę, że wysłuchałaś okropnie nudnej kroniki - powiedziała tego wieczoru ciocia Misia.

- Ciociu, czy to wszystko, o czym mówiła panna Minerwa, rzeczywiście się zdarzyło?

- Dziwne, ale tak było - rzekła ciocia Misia. - Tajemnicze sprawy i straszne rzeczy działały się w domu Tomgallonów.

- Chyba nie więcej niż w każdej równie licznej rodzinie przez sześć pokoleń - odezwała się ciocia Kasia.

- Sądzę, że więcej. Doprawdy wydaje się, że ciążyła na nich klątwa. Tak wielu zmarło nagłą i niespodziewaną śmiercią. Tomgallonowie są oczywiście trochę zwariowani, każdy o tym wie. Ta klątwa. Słyszałam tę historię... Nie pamiętam szczegółów, ale chodziło o architekta, który wybudował ten dom, a potem rzucił nań przekleństwo. Zdaje się, że z powodu kontraktu - stary Paweł Tomgallon zmusił go do przyjęcia pewnych warunków i w rezultacie architekt poszedł z torbami, bo dom kosztował dużo więcej, niż pan Paweł obliczył.

- Panna Minerwa jest chyba dumna z tej klątwy - powiedziała Ania.

- Biedaczka, tylko tyle ma z życia - rzekła Rebeka Dew.

Ania uśmiechnęła się, słysząc, że dostojna panna Minerwa została nazwana biedaczką.

XII

Mała Elżbieta Grayson żyła pełna ciągłego oczekiwania na zdarzenia, które nadejdą.

Przy surowym wychowaniu babci rzadko cokolwiek się zdarzało, a Kobieta starała się, żeby nadzieje dziewczynki pozostały nie spełnione. Ale to tylko oznaczało, że wyczekiwane przygody zostały zaczarowane i zdarzą się kiedyś - jeśli nie dziś, to Jutro.

Kiedy do Szumiących Topoli przybyła panna Shirley, Elżbieta poczuła, że Jutro jest już bardzo blisko. Wizyta na Zielonym Wzgórzu prawie do niego należała. Ale w czerwcu tego roku panna Shirley wyjedzie z Summerside na zawsze. Na tę myśl serce Elżbiety chowało się w pięty, obute w śliczne pantofelki z guziczkami, które kupiła jej babcia. Wiele dziewczynek w szkole zazdrościło jej tych pantofelków. Ale mała Elżbieta nie dbała o żadne pantofle, skoro nie mogły one zaprowadzić jej na drogę do wolności. A jeszcze w dodatku ukochana panna Shirley odjedzie od niej na zawsze. W końcu czerwca opuści Summerside i powróci na przepiękne Zielone Wzgórze. Mała Elżbieta po prostu nie mogła znieść tej myśli. Co z tego, że panna Shirley obiecała zabrać ją do Avonlea na lato, zanim wyjdzie za mąż. Dziewczynka czuła, że tym razem babcia nie pozwoli jej pojechać. Wiedziała, że pani Campbell wcale nie jest zachwycona przyjaźnią wnuczki z panną Shirley.

- Wszystko się skończy - płakała dziewczynka.

- Miejmy nadzieję, że raczej zacznie się coś nowego - rzekła Ania pogodnie, chociaż sama czuła się zgnębiona. Ojciec Elżbiety nie odpisał. Może nie otrzymał jej listu? Albo nie obchodzą go losy córki? Co stanie się z Elżbietą? Miała wystarczająco okropne dzieciństwo, więc co będzie później?

- Te stare paniusie „zakomenderują” ją na śmierć - orzekła Rebeka Dew.

Ania czuła, że w tej uwadze było dużo prawdy.

Elżbieta wiedziała, że nią „komenderują”. Szczególnie nie lubiła poleceń Kobiety. Nie lubiła też oczywiście rozkazów wydawanych przez babcię, choć niechętnie przyznawała, że babcie mają pewne prawa, by komenderować wnuczkami. Ale Kobieta? Elżbieta często miała ochotę wprost ją o to zapytać. Zrobi to kiedyś, gdy nadejdzie Jutro. O, jak się wtedy ubawi na widok twarzy Kobiety!

Babcia nigdy nie pozwalała Elżbiecie chodzić samej na spacer. Mówiła, że się boi, aby nie porwali jej Cyganie. Podobno czterdzieści lat temu porwali jakieś dziecko. Teraz rzadko spotykało się ich na Wyspie i Elżbieta wiedziała, że babcia chce w ten sposób uniknąć jej próśb. A tak naprawdę to Elżbietę mógłby ktoś porwać i pani Campbell wcale by się tym

nie przejęła. Nie kocha jej. I Kobieta też nie. Żadna z nich nawet nie zwraca się do niej po imieniu, jeśli tylko może tego uniknąć. Zawsze wołają: „Dziecko!” Och, jak Elżbieta tego nienawidzi. Równie dobrze mogłyby się tak zwracać do psa lub kota, gdyby go miały. Kiedy raz dziewczynka odważyła się zaprotestować, babcia rozgniewała się i ukarała ją za bezczelność, a Kobieta patrzyła na to z zadowoloną miną. Elżbieta często zastanawiała się, dlaczego Kobieta jej nienawidzi. Jak można nienawidzić kogoś, kto jest tak malutki? Czy w ogóle warto marnować takie uczucia na dziecko? Elżbieta nie wiedziała, że jej matka, która umarła wydając ją na świat, była dla Kobiety wszystkim. Gdyby zresztą wiedziała i tak nie zrozumiałaby, jak dziwnymi drogami chodzi miłość i jak niepojęte przybiera postaci.

Mała Elżbieta nie cierpiała ponurej i wspaniałej Wiecznej Zieleni. Ten dom zawsze był jej obcy, choć spędziła w nim całe życie. Od dnia gdy do Szumiących Topoli przyjechała ‘panna Shirley, świat zmienił się w cudowny sposób. Dziewczynce wydawało się, że żyje w krainie baśni. Wszystko dokoła nagle stało się piękne. Szczęśliwie babcia i Kobieta nie mogły zabronić jej patrzeć, choć Elżbieta nie wątpiła, że uczyniłyby to z radością. Krótkie spacery po czerwonej drodze wiodącej do przystani - spacer, na które panna Shirley tak rzadko uzyskiwała zgodę pani Campbell - były promykiem światła w smutnym życiu dziewczynki. Cieszyła się wszystkim, co widziała: podziwiała odległą latarnię morską, malowaną w białe - czerwone pasy, dalekie, błękitne wybrzeża; drobne, srebrne fale; światła rozbłyskujące w fioletowym zmierzchu... Wszystko to budziło w niej niemal bolesny zachwyt. A zatoka, na której w purpurze zachodzącego słońca mgliście rysowały się wyspy! Elżbieta często obserwowała je poprzez wierzchołki drzew ze strychu. Wpatrywała się w statki, płynące szlakiem wschodzącego księżyca. Statki, które wróciły... i te, które nie wróciły nigdy. Marzyła, że popłynie kiedyś na jednym z nich. Popłynie wprost na Wyspę Szczęścia. Statki, które nie wróciły do portów, zostały właśnie tam. Tajemnicza droga biegła przed siebie, a nóżki dziewczynki dążyły po niej. Dokąd prowadziła? Czasem Elżbieta myślała, że umrze, jeśli się tego nie dowie. Ale gdy nadejdzie Jutro, pójda z panią Shirley aż do końca i może znajdą wyspę, na której zamieszkają. Babcia i Kobieta nigdy do nich nie przyjdą. Nie cierpią wody i za skarby świata nie wsiądą do łódki. Mała Elżbieta wyobrażała sobie z rozkoszą, że stoi na brzegu wyspy i widzi je, jak wściekle stoją na przeciwległym brzegu i nie mogą do niej dotrzeć. Wytykałyby je palcem i dokuczały:

- Tu jest Jutro. Nie możecie mnie złapać. Ciągłe jesteście w Dzisiaj! Och, jaka to by była zabawa! Jaka zła byłaby Kobieta!

Pewnego wieczoru pod koniec czerwca zdarzyło się coś niezwykłego. Panna Shirley spytała panią Campbell, czy może zabrać Elżbietę na Latającą Chmurę. Jedzie tam na

spotkanie z niejaką panią Thompson, z którą musi przedyskutować sprawę kolacji dla Koła Pomocy Pań. Pani Campbell niechętnie się zgodziła. Elżbieta nie mogła się temu nadziwić. Nie wiedziała, dlaczego Pringle'owie boją się Ani”.

- Gdy załatwię swoje sprawy na Latającej Chmurze - szepnęła Ania - pójdziemy aż do ujścia zatoki.

W przeddzień wycieczki Elżbieta położyła się spać tak przejęta, że nie mogła zasnąć. Nareszcie odpowie na wezwanie drogi, która wabiła ją od tak dawna. Mimo podniecenia porządnie dokonała wszystkich czynności związanych z położeniem się do łóżka. Umyła zęby, wyszczotkowała złociste włosy i złożyła ubranie. Uważała, że ma dość ładne włosy, choć wcale nie przypominały falujących, kasztanowatych włosów panny Shirley, które tak miło układały się w loki przy uszach. Mała Elżbieta oddałaby wszystko, żeby mieć takie włosy jak panna Shirley.

Przed położeniem się do łóżka dziewczynka wyciągnęła jedną z szuflad w wysokim, czarnym biurku i ostrożnie wyjęła, ukrytą pod stertą chusteczek, fotografię panny Shirley. Wyciąła ją z „Kuriera Tygodniowego”, w którym zamieszczono zdjęcia ciała pedagogicznego Wyższej Szkoły w Summerside.

„Dobranoc, kochana panno Shirley”. Ucałowała fotografię i schowała ją z powrotem. Potem wdrapała się do łóżka i zawinęła w koc, gdyż czerwcową noc była chłodna, a od zatoki wiał zimny wiatr. A może było to coś więcej niż wiatr? Tak zawodził, jęczał i stukał... Elżbieta wyobraziła sobie, jak teraz wygląda zatoka pokryta groźnymi falami, migocącymi w blasku księżyca. Jak cudownie byłoby wykraść się z domu, pobiec nad wodę, mieć nad głową księżyc! Ale coś takiego może się zdarzyć dopiero Jutro.

Gdzie leży Latająca Chmura? Co za nazwa! Prosto z Jutra. Smutne być tak blisko Jutra i nie móc go odnaleźć. A jeśli rano zacznie padać deszcz? Wtedy babcia nie pozwoli jej pójść! Dziewczynka usiadła na łóżku i złożyła ręce.

- Dobry Boże - powiedziała - nie lubię wtrącać się w nie swoje sprawy, ale czy mógłbyś zrobić tak, żeby jutro była ładna pogoda?

Pogoda dopisała. Elżbieta, wychodząc z ponurego domu, miała wrażenie, że udało jej się zrzucić niewidzialne kajdany. Nawet świadomość, że Kobieta patrzy za nią i panną Shirley przez czerwoną szybę frontowych drzwi, nie mąciła jej radości.

Po obu stronach drogi rozciągały się łąki pełne bratków i koniczyzny, w której brzęczały pszczoły. Od czasu do czasu wprost pod stopami rozkwitały białe dywany stokrotek. Z dala uśmiechały się wody zatoki, wyglądające jak masy srebrzystego jedwabiu. Zatoka podobała się dziś Elżbiecie o wiele bardziej niż wtedy, gdy widziała ją gładką i

błękitną jak bladoniebieska satyna. Z rozkoszą zachłysnęła się wiatrem, który mruczał pieszczotliwie, jakby chciał się z nimi pobawić.

- Jak miło jest spacerować z wiatrem - powiedziała Elżbieta.

- Z miłym, pachnącym i przyjacielskim wiatrem - rzekła Ania bardziej do siebie niż do Elżbiety. - Zawsze nazywałam taki wiatr mistralem. Mistral pewnie też tak szumi. Byłabym bardzo rozczerowana, gdyby się okazało, że mistral to nieprzyjemny, ostry wiatr.

Elżbieta niezupełnie ją rozumiała. Nigdy nie słyszała o mistralu. Ale wystarczała jej muzyka głosu Ani.

Latająca Chmura była to długa i wąska wyspa leżąca w odległości ćwierć mili od brzegu. Wśród rosnących na niej drzew widniał dach domu. Mała Elżbieta zawsze pragnęła mieć własną wyspę, a na niej kotlinkę pełną srebrzystego piasku.

- Jak się tam dostaniemy?

- Popłyniemy - powiedziała Ania, ujmując wiosło niewielkiej łódki, przywiązanej do pochylonego nad powierzchnią wody drzewa.

Panna Shirley umiała wiosłować! Czy w ogóle istnieje cokolwiek, czego nie umiałaby zrobić? Gdy wylądowały na wyspie, okazało się, że jest to jedno z tych cudownych miejsc, gdzie wszystko może się zdarzyć. Takie wyspy istnieją tylko Jutro. Nie mają nic do roboty w prozaicznym Dziś.

Mała służąca, która otworzyła Ani drzwi, powiedziała, że pani Thompson zbiera poziomki na odległym brzegu wyspy. Och, wyobrazić sobie tylko wyspę, na której rosną poziomki!

Ania poszła na poszukiwanie pani Thompson. Elżbieta miała poczekać w domu. Ania uważała, że dziewczynka jest zmęczona długim spacerem i przydałby się jej odpoczynek. Elżbieta nie podzielała tego zdania, ale wola panny Shirley była dla niej święta.

Służąca zostawiła ją w pięknym pokoju pełnym kwiatów. Przez okno wiał wiatr od morza. Dziewczynce podobało się lustro, które wisiało nad kominkiem. Odbijał się w nim cały pokój i okno, poza którym było widać kawałek zatoki i leżące nad nią wzgórza.

Nagle w drzwiach pojawił się jakiś człowiek. Elżbieta przeraziła się. Czy to Cygan? Co prawda, inaczej sobie wyobrażała Cygana, ale nigdy żadnego nie widziała. Postanowiła, że jeśli ją porwie, to dobrze. Podobały jej się jego orzechowe oczy, skręcone włosy, kwadratowy podbródek i uśmiech. Gdyż uśmiechnął się do niej.

- Kim jesteś? - spytał.

- Ja... ja... - jąkała się Elżbieta, ciągle trochę przestraszona.

- Tak, właśnie ty. Pewnie wynurzyłaś się z morza albo zgubiłaś drogę do dalekich łąk... i nie masz imienia znanego śmiertelnikom.

Elżbieta poczuła, że ten pan trochę się z niej naśmiewa. Ale nie sprawiło to jej przykrości. Nawet spodobało się. Jednak odpowiedziała dość ostro:

- Nazywam się Elżbieta Grayson.

Zapanowało milczenie... bardzo dziwne milczenie. Przez chwilę obcy pan patrzył na nią bez słowa. Potem uprzejmie poprosił, żeby usiadła.

- Czekam na pannę Shirley - wyjaśniła. - Przyjechała do pani Thompson w sprawie Koła Pomocy Pań. Kiedy wróci, pójdziemy razem na kopiec świata.

No, teraz tylko spróbuj mnie porwać, panie Człowieku!

- Naturalnie. Ale zanim ona nadejdzie, możesz chyba usiąść. Będzie ci wygodniej. Postaram się czynić honory pana domu. Co byś sobie życzyła wypić? Pani Thompson ma pewnie czarodziejski stoliczek „Nakryj się”.

Elżbieta usiadła. Czuła się dziwnie szczęśliwa i bezpieczna.

- Czy mogę naprawdę powiedzieć, co bym chciała?

- No pewnie.

- Więc - rzekła Elżbieta z triumfem w głosie - chcę lodów z dżemem truskawkowym.

Człowiek zadzwonił po służącą i wydał polecenie. Tak, to musiało być Jutro... bez wątplenia. Lody z dżemem truskawkowym nie zjawiają się w tak cudowny sposób. Dziś... choćby istniały czarodziejskie stoliczki.

- Razem poczekamy na tę twoją pannę Shirley - powiedział obcy pan.

Szybko się zaprzyjaźnili, choć pan mówił niewiele. Za to wciąż przypatrywał się dziewczynce. Na jego twarzy malowała się czułość; czułość, jakiej Elżbieta nie widziała u nikogo, nawet u panny Shirley. Czuła instynktownie, że ten pan ją polubił. Ona też go polubiła.

Wreszcie pan wstał i spojrzał przez okno.

- Obawiam się, że muszę już iść - powiedział. - Widzę, że twoja panna Shirley nadchodzi, więc już nie będziesz sama.

- Nie poczeka pan na nią? - spytała Elżbieta, wylizując łyżeczkę, żeby ani odrobina dżemu się nie zmarnowała. Babcia i Kobieta pewnie by umarły z oburzenia widząc ją teraz.

- Nie - powiedział mężczyzna. - Zobaczę ją kiedy indziej. Elżbieta zrozumiała już, że wcale nie zamierzał jej porwać. Czuła się nieco rozczarowana.

- Do widzenia. Dziękuję panu - powiedziała grzecznie. - Tutaj, w Jutrzejszym Dniu, jest bardzo miło.

- W Jutrzejszym Dniu?

- To jest Jutro - wyjaśniła Elżbieta. - Zawsze chciałam tam się znaleźć i wreszcie mi się to udało.

- Aha, rozumiem. Cóż, przykro mi stwierdzić, że nie dbam zbyttnio o Jutro. Wolałbym wrócić do Wczoraj.

Elżbiecie zrobiło się żal tego pana. Czy mógł być nieszczęśliwy? Czy ktoś żyjący Jutro może być nieszczęśliwy?

W powrotnej drodze dziewczynka tęsknie patrzyła za oddalającym się wybrzeżem Latającej Chmury. Po wyjściu z łódki obejrzała się raz jeszcze, aby ostatnim spojrzeniem pożegnać niknącą za grupą świerków wyspę. W tej chwili zza zakrętu wypadł kabriolet, zaprzężony w konie, nad którymi najwidoczniej woźnica stracił panowanie. Elżbieta usłyszała krzyk panny Shirley...

XIII

Pokój dziwacznie kręcił się w kółko. Meble chwiały się i podskakiwały. Łóżko... Jakim sposobem znalazła się w łóżku? Zza drzwi właśnie wyszedł ktoś w białej czapce. Co to za drzwi? Jak dziwnie ciąży jej głowa... Skądś dobiegały ściszone głosy. Nie widziała rozmawiających, ale czuła, że są to panna Shirley i ten pan z wyspy. O czym rozmawiali? Od czasu do czasu Elżbiecie udawało się uchwycić pojedyncze słowa, wypowiedziane nieco głośniejsze.

- Czy jest pan rzeczywiście? - pytała panna Shirley. W jej głosie brzmiało wzruszenie.

- Tak. Pani list... zobaczyć sam... zanim spotkam panią Campbell. Latająca Chmura... Letnisko naszego generalnego dyrektora.

Gdyby tylko ten pokój zechciał się zatrzymać! Doprawdy, przedmioty martwe zachowywały się w Dniu Jutrzejszym dość dziwnie. Gdyby mogła odwrócić głowę i spojrzeć na rozmawiających.

Westchnęła.

Wtedy podeszli do niej - panna Shirley i ten pan. Panna Shirley w białej sukni wyglądała jak lilia. Była bardzo blada, jak po strasznym wstrząsie, ale promieniowała z niej jakaś cicha radość. Wydawało się, że to promień zachodzącego słońca pada na jej twarz. A pan spojrzał w dół na dziewczynkę. Elżbieta poczuła, że on ją bardzo kocha. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że panna Shirley i pan mają jakąś cudowną tajemnicę, z którą i ona się zapozna, gdy nauczy się języka ludzi Jutra.

- Czy czujesz się lepiej, kochanie? - spytała panna Shirley.

- Czy jestem chora?

- Wpadł na ciebie kabriolet ciągnięty przez spłoszone konie - powiedziała panna Shirley. - Ja... nie byłam dość szybka. Myślałam, że nie żyjesz. Przyniosłam cię tu, a twój... a ten pan wezwał doktora i pielęgniarkę.

- Czy umrę? - spytała mała Elżbieta.

- Nie, kochanie. Tylko zemdląłeś. Szybko wrócisz do zdrowia. A to, kochanie, jest twój ojciec.

- Tata jest we Francji. Czy ja też jestem we Francji? - nawet to by nie zdziwiło Elżbiety. Przecież było Jutro. Zresztą meble w pokoju ciągle skakały. (

- Tatuś jest tu, kochanie - obcy pan miał bardzo miły głos. Za sam głos można by go kochać. Pochylił się i ucałował ją. - Przyjechałem po ciebie. Już się nigdy nie rozłączymy.

Do pokoju weszła kobieta w białym czepeczku. Elżbieta instynktownie poczuła, że jeśli chce coś powiedzieć, musi to zrobić, zanim ta pani podejdzie bliżej.

- Będziemy razem mieszkać?

- Zawsze - odrzekł ojciec.

- A czy babcia i Kobieta zamieszkają z nami?

- Nie.

Purpura zachodzącego słońca zaczęła szarzeć, a pani w białym czepeczku miała bardzo niezadowoloną minę. Lecz Elżbietę to mało obchodziło.

- Znalazłam Jutro - powiedziała, gdy pielęgniarka kazała tatusiowi i pannie Shirley wyjść z pokoju.

- Nie wiedziałem, że mam taki skarb do odnalezienia - powiedział Piotr Grayson, gdy pielęgniarka zamknęła za nimi drzwi. - Nigdy nie zdołam się pani odwdzińczyć, panno Shirley.

„A więc - pisała tego wieczoru Ania do Gilberta - tajemnicza droga Elżbiety doprowadziła do końca jej dotychczasowego życia i do szczęścia

XIV

Szumiące Topole

Aleja Duchów

(po raz ostatni)

27 czerwca

Najdroższy!

Doszłam do następnego zakrętu na swojej drodze. W ciągu trzech ostatnich lat napisałam do Ciebie dużo listów. Sądzę, że ten będzie zamykał naszą korespondencję i wiele lat upłynie, zanim powstanie następny. Za kilka tygodni będziemy należeć do siebie na zawsze, będziemy razem. Pomyśl tylko - być razem, razem spacerować, jeść, marzyć, planować wszystko wspólnie, razem przeżywać cudowne chwile w naszym domu. Nasz dom! Czy to nie brzmi cudownie? Przez całe życie budowałam wymarzone domki, a teraz jeden z nich przeniesie się ze świata fantazji do rzeczywistości. Co do tego, z kim pragnę zamieszkać w moim domu - cóż, już niedługo Ci powiem.

Trzy lata. Na początku wydawało mi się, że nigdy nie upłyną. A teraz są już za mną jak bezsenna noc. Były to szczęśliwe lata - poza pierwszymi miesiącami, które mi zatruli Pringle'owie. Potem życie płynęło jak złocista rzeka, przynosząc mi same przyjemności. Walka z Pringle'a wydaje się dziś snem. Teraz po prostu mnie lubią, zapomnieli, że mnie nienawidzili. Wczoraj Kora Pringle przyniosła mi bukiet róż, do którego był przyczepiony bilecik „Najsłodszej nauczycielce na świecie”. Kto by się spodziewał czegoś takiego po Pringle'ównie!

Janka jest zrozpaczona, że wyjeżdżam. Z zainteresowaniem będę śledziła rozwój tej dziewczynki. Jest bardzo inteligentna i niepospolita. Jedno nie ulega wątpliwości - Janka nie przejdzie przez życie jak przeciętny człowiek. Nie darmo wygląda jak Becky Sharp.

Lewis Allen wybiera się na uniwersytet do MacGill.

Zosia Sinclair idzie na Uniwersytet Królewski. Potem będzie pracowała jako nauczycielka. Chce zarobić tyle pieniędzy, żeby wstąpić do Szkoły Dramatycznej w Kingsporcie.

Mira! Pringle zamierza „wejść w świat”. Jest tak ładna, że brak znajomości gramatyki nie powinien jej w tym przeszkodzić.

Mała sąsiadka zza zarośniętej bluszczem furtki zniknęła. Elżbieta na zawsze opuściła stary, ponury dom. Pojechała do swojego Jutra. Boleśnie bym przeżyła jej wyjazd, gdybym

zostawała w Summerside. Cieszę się, że ojciec ją zabrał. Piotr Grayson nie wraca do Paryża. Zamieszka z córką W: Bostonie. Elżbieta gorzko płakała, gdy się żegnała ze mną. Ale jest szczęśliwa z ojcem i te łzy szybko wyschną. Pani Campbell i Kobieta niechętnie odniosły się do całej tej sprawy. Oczywiście uważają mnie za główną winowajczynię, z czym pogodnie, bez cienia pretensji się zgadzam.

- Miała tu dom - rzekła pani Campbell majestatycznie.

„W którym nigdy nie usłyszała ani jednego ciepłego słowa” - pomyślałam.

- Myślę, że teraz już na zawsze będę Elżunią, kochana panno Shirley - pożegnała mnie Elżbieta, a gdy pociąg ruszył, zawołała: - Oprócz chwil, gdy będę za panią tęskniła. Wtedy będę Elżusią.

- Nie bądź nigdy Elżusią, choćby nie wiem co się działo - odpowiedziałam.

Dałam naszą mapę Krainy Czarów do oprawienia i ofiarowałam Elżbiecie na pożegnanie.

Ze smutkiem opuszczam Szumiące Topole. Oczywiście trochę się zmęczyłam tym życiem na kufrach, ale lubiłam ten dom. Kochałam zimne ranki, spędzane przy oknie, łóżko, do którego co wieczór wdrapywałam się po schodkach, śmieszne, puchate poduszki, nawet wszystkie wiatry, które wiały wokół wieży. Chyba nigdzie już nie zaprzyjaźnię się z wiatrami tak jak tutaj. I czy zamieszkam jeszcze kiedyś w pokoju, z którego można podziwiać zarówno wschód, jak i zachód słońca?

Nadszedł kres dla epoki Szumiących Topoli. Wszystkim dochowałam wiary. Nie zdradziłam skrytek cioci Misi ani nie wydałam tajemnicy maseczek ze śmietanki.

Wydaje mi się, że ze smutkiem rozstaną się ze mną. Cieszę się z tego. Byłabym bardzo nieszczęśliwa, gdyby mój wyjazd sprawił im radość. Przez cały ten tydzień Rebeka Dew gotowała moje ulubione potrawy - wyobraź sobie, że dwukrotnie poświęciła po dziesięć jajek na mazurek królewski - a do stołu nakrywała wytwornym serwisem „dla gości”. W oczach cioci Misi błyskają łzy, skoro wspominam o wyjeździe. Nawet Marcin spogląda na mnie z wyrzutem.

W zeszłym tygodniu dostałam długi list od Julianny. Ma ona dar pisania pięknych listów. Została sekretarką jakiegoś jegomościa, który bezustannie podróżuje po całym świecie. Podróżować po całym świecie! Samo to zdanie brzmi fascynująco. Ktoś, kto mówi „Pojadę do Egiptu”, jakby chodziło o podróż do Charlottetown. Takie życie na pewno będzie odpowiadało Juliannie.

Twierdzi ciągle, że to ja wpłynęłam na zmianę jej losów. „Chciałabym Ci powiedzieć, ile wniosłaś do mojego życia” - napisała. Sądzę, że rzeczywiście jej pomogłam. Nie było to

wcale łatwe. Rzadko odzywała się bez dotkliwej ironii ukrytej pod grzecznymi słowami, a moich uwag co do pracy w szkole słuchała zawsze jak majaczeń chorego. Ale już o tym zapomniałam.

Wszyscy po kolei zapraszali mnie na „pożegnalną kolację”. Nawet Paulina Gibson. Stara pani Gibson umarła kilka miesięcy temu, więc Paulina mogła wydać przyjęcie na moją cześć. Byłam też jeszcze raz w domu Tomgallonów i wysłuchałam kolejnego monologu panny Minerwy. Ale bawiłam się dobrze, z przyjemnością zjadając przygotowane przez nią smakołyki. A ona z równą przyjemnością opowiedziała mi o kilku, innych tragediach. Panna Minerwa nawet nie stara się ukryć politowania dla wszystkich, którzy nie urodzili się Tomgallonami. Ale powiedziała mi kilka miłych komplementów. Dostałam też od niej śliczny pierścionek ze szmaragdem, w którym lśni seledynowy blask księżyca. Dar od ojca panny Minerwy na jej osiemnaste urodziny.

- Gdy byłam młoda i ładna... całkiem ładna, kochanie. Sądzę, że teraz mogę to już przyznać.

Cieszę się, że ten pierścionek należał do panny Minerwy, a nie do żony stryja Aleksandra. Gdyby jego poprzednią właścicielką była tamta dama, nie mogłabym go nosić. Jest śliczny. Kocham kamienie koloru morza. Dom Tomgallonów, tonący w powodzi drzew i kwiatów, jest na pewno wspaniały. Ale nie oddałabym swego Wymarzonego Domku za te wszystkie cuda wraz z zamieszkującymi je duchami. Chociaż uprzejmy i dobrze wychowany duch na pewno byłby miłym kompanem. Jedyny zarzut, jaki stawiam Alei Duchów, to fakt, że nie spotkałam w niej żadnego ducha.

Wczoraj poszłam na ostatnią przechadzkę po starym cmentarzu. Okrążyłam wszystkie kwatery. Powiedziałam też do widzenia Królowi Burz, za którym chowało się słońce. Pożegnałam moją kochaną kotlinkę, królestwo świetlistego zmierzchu.

Miesiąc egzaminów, pożegnań i załatwiania ostatnich spraw trochę mnie zmęczył. Zamierzam przez pierwszy tydzień na Zielonym Wzgórzu leniuchować. Będę chodziła na spacer i cieszyła się zielonym światem. O zmierzchu będę marzyła przy Zwierciadle Driad, wypłynę na Jezioro Lśniących Wód w łódce. A jeśli zabraknie takiej, wystarczy mi łódź pana Barry. Będę zbierała dzwonki w Lesie Duchów. Odnajdę poziomkowe polany na pastwiskach pana Harrisona. Razem ze świetlikami zatańczę w Alei Zakochanych, pójdę do starego, zapomnianego ogrodu Heleny Gray, usiądę na kamiennych schodkach pod rozgwieżdżonym niebem i posłucham, jak morze układa się do snu. A gdy minie tydzień, powrócisz do domu... i wtedy nie będę już chciała niczego więcej.

Gdy nazajutrz Ania żegnała się z mieszkańcami Szumiących Topoli, Rebeki Dew nie było. Ciocia Kasia z powagą wręczyła Ani list.

„Droga panno Shirley - pisała Rebeka Dew. - Piszę na pożegnanie ten list, bo nie ufam sobie, że powiem Pani to wszystko, co chcę. Przez trzy lata mieszkała pani pod naszym dachem. Obdarzona pogodą ducha i właściwym młodości poczuciem humoru nigdy nie zniżyła się Pani do próżnostek i przyjemności pospolitego tłumu. Zawsze zachowywała się Pani wobec wszystkich, a szczególnie wobec kreślącej te linie, z ogromną delikatnością. Odnosiła się Pani z szacunkiem do moich uczuć i czuję głęboki smutek z powodu Pani wyjazdu. Lecz nie możemy protestować przeciwko rozkazom losu.

Wszyscy w Summerside, którzy mieli szczęście Panią znać, będą rozpaczali. Wiele wdzięcznych, choć prostych serc będzie o Pani pamiętało. Do końca życia będę się modliła o szczęście i pomyślność dla Pani na tym świecie, a także o wieczną radość w przyszłym.

Wydaje mi się, że niedługo Pani pozostanie panną Shirley. Połączy się Pani więzami duszy i serca z człowiekiem, którego Pani wybrała. Z tego, co słyszałam, jest to wyjątkowy pod każdym względem młody człowiek. Autorka tego listu, obdarzona znikomą ilością uroków osobistych i zaczynająca odczuwać swój wiek (co nie znaczy, że nie będę krzepka jeszcze przez parę ładnych lat), nigdy nie pozwoliła sobie na jakieś matrymonialne aspiracje. Lecz nie zaprzecza, że interesuje się żywo szczęściem swoich przyjaciół. Czy mogę wyrazić życzenie, aby Pani małżeńskie życie było nieprzerwanym pasmem Szczęśliwości?

(Tylko niech Pani nie oczekuje zbyt wiele od mężczyzny).

Moje poważanie, i jeśli mogę to powiedzieć, uczucia moje dla Pani będą wieczne. Gdy kiedyś nie będzie Pani miała nic lepszego do roboty, proszę wspomnieć, że istnieje ktoś taki, jak

Pani oddana sługa

Rebeka Dew

Ania z wilgotnymi oczyma złożyła list. Aczkolwiek podejrzewała, że Rebeka Dew większość zdań przepisała z „Książki o zachowaniu się i etykiecie”, nie ujmowało to im szczerości.

- Proszę powiedzieć kochanej Rebecce Dew, że nigdy jej nie zapomnę i że będę was odwiedzała każdego lata.

- Nic nie zatrze nam wspomnień o pani - szlochała ciocia Misia.

- Nic - z naciskiem potwierdziła ciocia Kasia.

Gdy Ania ruszyła sprzed Szumiących Topoli, ujrzała w oknie wieży powiewający biały ręcznik kąpielowy. Machała nim Rebeka Dew.